ISSN 1897-1083

ECHA POLESIA

№ 2(42)2014 KWARTALNIK POLAKÓW NA POLESIU



POLESIE MOZYRSKIE

W CIENIU CZARNOBYLA

MATKA BOŻA JUROWICKA

Cudna Prypeć o każdej porze roku, dnia i nocy. W dnie pogodne woda je mieniła się przechodząc z niebieskiego koloru w ciemny granat. W dnie zaś burzliwe miała być groźną, ciemną i czarną, lecz zawsze czystą i przezroczystą. Przeciwległy brzeg rzeki był niski, pokryty przepięknymi łąkami z mnóstwem przeróżnego kwiecia oraz pojedynczo rosnącymi na nich pięknymi dębami. Zwłaszcza w porze wiosennej, gdy doliną Prypeci spływały do Dniepru ogromne ilości wody i cały przeciwległy brzeg na kilka kilometrów szerokości był zalany – niezrównanie piękna roztaczała się panorama.

Atrakcją i wielką dla nas wygodą był duży ruch na rzece, zwłaszcza w porze wiosennej. Przy tak zwanej wysokiej wodzie kursowały pomiędzy Kijowem a Pińskiem bardzo duże i wygodne statki osobowe oraz moc statków towarowych, holujących w górę rzeki barki z różnymi towarami, lub też tak zwane pasy, czyli obrobione już materiały drzewne przeznaczone na zbyt za granicę. W przeciwnym zaś kierunku spływały tratwy drewna na rynki krajowe.

W pewnej odległości od domu była przystań, przy której w razie zapotrzebowania statki osobowe się zatrzymywały. W nocy na brzegu zapalano wtedy latarnie, w dzień zaś wywieszano chorągiew.

Antoni Kiniewicz,
"Nad Prypecią dawno temu"

Z tego miejsca rozciągał się najrozleglejszy widok na Prypeć. Płynęla ona szerokim korytem od zachodu, zataczając krąg przed dworem, i odchodziła ku wschodowi za horyzont zamknięty przez wieś Hołubicę i topole Paulinowa. Na przeciwległym brzegu ciągnęły się łąki zarośnięte kępami drzew i pojedynczymi dębami. Koryto Prypeci nie było uregulowane, zmieniała ona bieg i naporem wody uderzała kolejno w różne miejsca.Główny nurt otaczały odnogi i jeziorka. Wzdłuż sadu płynęła ona wartko, głęboka i potężna, podmywając jego piasczyste osypiska, słabo bronione zaporami z wikliny.W dni pogodne na wodzie tańczyły srebrne smugi słońca, przetykając błękitną powierzchnię lśniącymi błystkami. Pod wieczór powierzchnia gładka jak lustro odbijała każdą smugę i chmurkę zachodu, aż nie spłynął na nią mrok błękitno-liliowy. Słońce latem wstawało nad Paulinowem i zachodziło jak czerwona kula nad ciepłymi od upału piaskami i chaszczami dereszewickiej wioski.

Kiedy się wyjechało na przeciwległy brzeg i stanęło na mokrym, drobnym piasku, dwór z białymi słupami i ciemna ściana parku odbijały się w wodzie jak w zwierciadle. Sunęły po niej tratwy, szerokie i mocne łodzie, a czasem mała łódeczka z zadartym dziobem, wyżłobiona z pnia dębu i zwana duszehubką. Siedzący w niej człowiek jak gondolier wiosłował jednym wiosłem, używając go zarazem jako steru.

Janina z Puttkamerów Żułtowska,
"Inne czsy, inni ludzie"



SPIS TREŚCI



4 HISTORIA NASZYCH MAŁYCH OJCZYZN: ZIEMIA MOZYRSKA

4 Alina Jaroszewicz, *O Ziemi Mozyrskiej i jej Mieszkańcach*

10 Ks. Józef Dziekoński, *Z Polesia Mozyrskiego – poetyckie impresje*

12 Anna Godunowa, *Notatki z podróży po Polesiu Mozyrskiemu*

17 Ks. Józef Dziekoński, *Odnowa wiary na Polesiu Mozyrskim*

20 Rusłan Garodka, *Katolickie Lelczyce: parafia w głębi Polesia*

22 Roman Aftanazy, *Dwór Dereszewicze*

24 Leszek Kieniewicz, *Wspomnienia z podróży sentymentalnej Leszka Kieniewicza*

27 LEKTURA DLA CIEBIE

Janina z Puttkamerów Żółtowska, *„Inne czasy, inni ludzie„*

36 HISTORIA

Trochę historii. Bitwa pod Czarnobylem

38 Dymitr Zagacki, *Przedwojenne zawody marszowe na szlaku Biała-Podlaska-Brześć*

40 Z LAMUSA WSPOMNIEŃ

Karina Homziuk, *„Pamiętania" Ludmiły Jakobson*

45 Z LISTÓW CZYTELNIKÓW

Antoni Godycki Ćwirko, *List z Trzebnicy*

46 Anna Błażejewicz *Wspomnienie o ks. Woroneckim*

47 WIDZIANE Z LIDY

Aleksander Siemionow, *Przegląd prasy polskiej i polonijnej*

50 Z TEKI POLESKIEGO ARCHIWISTY

Kobieta na Polesiu

59 CZARNOBYL

Polesie czarnobylskie oczami Andrzeja Aleksiejuka

63 Anna Godunowa, *Teatr „Kryły Hałopa" z projektem „Czarnobyl"*

65 PRZYRODA

Aleksander Jelski, *O Prypeci*

69 Z NASZEGO ŻYCIA

Zalesie

70 Olga Semianiuk, *"Niech żyje bal„*

72 Hanna Paniszewa, *Chór „Zgoda" zaśpiewał w Filharmonii Brzeskiej*

73 Hanna Paniszewa, *Sezon jarmarkowy rozpoczęty*

74 *Inwentaryzacja na rzymsko-katolickim cmentarzu w Prużanie*

75 *Jubileusz XXX-lecia święceń kapłańskich ks.biskupa Kazimierza Wielikosielca*

76 *Anatol Franciszek Sulik*

79 RELIGIA

Matka Boża Jurowicka

'ECHA POLESIA'
Kwartalnik Polaków na Polesiu

Adres Redakcji:
Brześć, 224023
ul. Moskiewska 344 - 56
e-mail: klub_polski@wp.pl
www.echapolesia.pl
tel.: w Brześciu:
00-375-162/42-45-72
Kom. z RB MTS (33) 672 19 37
Kom. z RP 0-037533 672 19 37

Redaktor naczelny:
Alina Jaroszewicz

Projekt jest rrealizowany we współpracy z Fundacją Wolność i Demokracja i współfinansowany ze środków otrzymanych z Ministerstwa Spraw Zagranicznych w ramach konkursu na realizację zadania "Współpraca z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

Rzeczpospolita Polska
Ministerstwo
Spraw Zagranicznych

Dziękujemy za współpracę Fundacji Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie im. T. Goniewicza, wszystkim naszym Wiernym Czytelnikom, Przyjaciołom i Wolontariuszom, miłośnikom Polesia.

Adres korespondencyjny:
Alina Jaroszewicz
ul.N.Paganiniego 7/21
20-850, Lublin

Kolportaż: Polska, świat
Fundacja im. Goniewicza,
20-611 Lublin
ul. Kazimierza Wielkiego 9/60
tel.: (81) 444-8531
kom.: 605-828-137
e-mail: fundgon@gmail.com
www.fundacjagoniewicza.com.pl
KRS 0000103209

Skład i łamanie:
Olga Brazińska

Druk: Wydawnictwo Muzyczne POLIHYMNIA

Zapraszamy do polubienia naszej strony na Facebooku
facebook.com/EchaPolesia

facebook



Atina Jaroszewicz

O ZIEMI MOZYRSKIEJ I JEJ MIESZKAŃCACH

Modlitewniki z XIX w., które służyły 3-4 pokoleniom wiernych Ziemi Mozyrskiej

Drodzy Czytelnicy, po powrocie z wyprawy redakcyjnej "do kresów Kresów" pragniemy podzielić się z Państwem wrażeniami z tej podróży, zaprezentować nasze fotoreportaże, zapoznać z mieszkańcami tych oddalonych zakątków Polesia. Była to podróż do malowniczej krainy, leżącej na morenowych wzgórzach Grzędy Mozyrskiej, ciągnących się wzdłuż Prypeci. To jedyny fragment doliny Prypeci, w którym rzeka sąsiaduje z wysokimi wzgórzami. Celem naszej podróży było poszukiwanie śladów polskości, pamiątek naszej historii i kultury duchowej, spotkania z miejscowymi Polakami. Polacy zamieszkiwali tę ziemię od XVI wieku, od królowej Bony. Burzliwa historia oraz nieszczęśliwe sąsiedztwo nie oszczędziły Ziemi Mozyrskiej, a skutki politycznych żywiołów odbiły się na losach polskich rodzin. Po wojnach, "czystkach" – carskich, bolszewickich i faszystowskich, po latach bezbożności i sowieckiego internacjonalizmu, pozostało ich tak niewielu, garstka, ale jaka! "Nie musimy szukać Polski za granicą, nie musimy jechać po Polskę do Polski. Jest ona tu, w naszych sercach, w naszej pamięci, na naszych cmentarzach i w naszych kościołach. Była tu, będzie , póki my tu będziemy" – tak mówił do nas miejscowy Polak, nasz rozmówca. Jakimś cudem zachowały się na tej ziemi okruchy Polski, polskości i wiary katolickiej. O odrodzeniu wiary w Mozyrzu i okolicach przeczytają Państwo w tekście ks.Józefa Dziekońskiego, wybitnego kapłana, poety, filozofa, który przez 16 lat pełnił posługę na Polesiu Mozyrskim, w strefie czarnobylskiej. Na Ziemi Mozyrskiej w latach 20-30-tych XX wieku świątynie były pozamykane, represjonowano kapłanów i tysiące Polaków, zniszczono wszystkie dwory ziemiańskie, wszystko spod znaku krzyża i Orła Białego, nie oszczędzono parków, ogrodów, cmentarzy. Zobaczą dziś Państwo, jak wyglądają obecnie dawne pałace i dwory Kieniewiczów, Oskierków, Horwattów, Wańkowiczów, Jastrzębskich...

Duchowni, którym było wolno w latach 90-tych prowadzić swoją pracę duszpasterską na tej ziemi, zaczęli "zbierać do koszów

ułomki", które pozostały. W sensie przenośnym i realnym. Ksiądz Witalis Myszona, proboszcz parafii p.w. Najświętszego Serca Pana Jezusa i MB Fatimskiej w Lepczycach, opowiedział nam o tym, jak znalazł nagrobek z cmentarza z okolic Tonieża w pewnym domu.



Służył on gospodarzowi jako stopień do ganka. Ksiądz zabrał ten nagrobek – pamięć po zmarłej matce i jej dwojgu dzieci leży teraz obok kościoła. Ze spalonego w 1943 roku starego drewnianego kościoła lelczyckiego pozostał tylko relikwiarz, który przekazała księdzu jego parafianka, przechowując go przez 50 lat. Nie wytrzymały dwory i pałace Dereszewicz, Barbarowa, Hołowczyc ani stare parki i cmentarze. Przetrwała tylko ludzka pamięć, wiara, miłość i nadzieja tych, którzy przeżyli i potrafili pozostać sobą. Ludzie ci są solą Ziemi Mozyrskiej.



Ksiądz Witalis Myszona z relikwiarzem ze starego kościoła lelczyckiego, spalonego w 1943 r.

SÓL ZIEMI

Wysłuchaliśmy podczas naszej podróży niemało historii rodzinnych, jedną z nich Drogim Czytelnikom prezentuję poniżej.

HISTORIA MOZYRZANINA PIOTRA MYSZONY, OPOWIEDZIANA PRZEZ WNUKA

Urodził się na przedmieściu Mozyrza w 1905 roku w Nowikach. Ożenił się z moją babcią Martą z Lazaroskich z Siedzielnik. Pradziadkowie w Mozyrzu mieli dom swój, niedaleko kościoła, dzieci: Edytę, Władysława, Eleonorę, Piotra i Pawła. Piotr – to mój dziadek. Babcia była na gospodarce w domu. A pradziadek pracował w zakładzie zapałek. W domu mówiono po polsku.Były to czasy panowania rosyjskiego, nie było żadnych szkół polskich. Pradziadkowie zatrudniali nauczyciela języka polskiego i dzieci po kolei miały z nim zajęcia.Wisiał w domu portret Kościuszki .Dziadek potem mnie nauczył wierszyków swojego dzieciństwa: "Na Krakowskim rynku wszystkie dzwony biją, Cieszą się mieszczanie z wyciągniętą szyją, Na Krakowskim rynku tam ludzi gromada, Kościuszko przysięgę składa". To mój pierwszy polski wierszyk, miałem wtedy 4 lata.

Dziadek uczęszczał do gimnazjum w Mozyrzu. Gimnazjum mieściło się w domu Feliksa Kieniewicza. W latach 20-tych w jednym tygodniu stracił rodziców. Zmarli na tyfus. Wynajmował się do pracy do różnych ludzi. Ożenił się z Jadwigą z Robaków. Babcia moja pochodzi z Narowszczyzny. Wybudował dom w Mozyrzu. W latach 30-tych władza sowiecka kościoły pozamykała. Dziadek był wierzący, ale dosyć obojętny religijnie. Zaczęła się wojna. Dziadek trafił do obozu jeńców wojennych. W obozie przeszedł straszne doświadczenia. Opowiadał nam po latach: "Budzę się z rana, patrzę, a po lewą rękę cały rząd martwych, po prawej – to samo, martwi". Głód i epidemie kosiły ludzi każdego dnia. Pełny rozpaczy modlił się: "Panie Boże, jak ja przetrwam, wrócę do swoich dzieci, to do końca moich dni będę Tobie służyć i Ciebie będę czcił". Taki ślub uczynił. I niedługo po tym, jak Panu Bogu to przyrzekł, pewien Niemiec, który pracował w obozie, zobaczył jak dziadek żegna się po katolicku. Niemiec był katolikiem, powiedział wtem dziadkowi: "Słuchaj, Peter, to nie twoja wina, ani moja, że ta wojna trwa. To Hitler ze Stalinem wojują". I zaczął co jakiś czas dawać mu chleb. Jak dostawał chleb, to nie zjadał od razu, a tak kawałeczkami, żeby cały dzień ten organizm żywić. Tak ptrzetrwał i wrócił do domu. »»»



Mozyrzanin Piotr Myszona

»»» *I wtedy tu po wojnie do nas na Mozyrszczyznę dojeżdżał ksiądz Mieczysław Małynicz. Dzieci dziadka były ochrzczone w czasie wojny przez księdza kapelana niemieckiego. Ksiądz Małynicz odprawiał Msze święte w naszym domu i na ulicy Roboczej. Dzięki temu wielu katolików mozyrskich było ochrzczonych .Kiedy ksiądz Małynicz zmarł, a innego księdza nie było, to dziadek mój chrzcił z wody dzieci. Pogrzeby dziadek przez wiele lat odprawiał w Mozyrzu. Jako małe dziecko chodziłem czasami z nim na te pogrzeby. Dziadek jeździł również do Pińska. Utrzymywał kontakty z księżmi. Pamiętam, na Boże Narodzenie, zawsze z Pińska wysyłali mu opłatki. Szliśmy na pocztę i przynosili przesyłkę. Opłatki, krzyżyki, obrazki. Lubiłem ten czas. Roznosił po domach katolików. Miejscowi nazywali mojego dziadka "organista". Nie grał na organach, a była to jego funkcja. Ofiary zawoził do kościoła do Pińska. Zbierał też ludzi na modlitwy w wiosce Gruszówka. Do Gruszówki na Wielkanoc, na Wigilię , na największe święta dojeżdżali czasami z Kijowa i Żytomierza księża, msze odprawiali przy gruszowskim krzyżu, koło lasu. Tam też, często po nocach, chrzczono dzieci, tam też miałem swoją Pierwszą Komunię.*

Raz dziadka w latach 60-tych za odprawienie mszy aresztowali, ale potem wypuścili. Były to czasy sowieckie, ale można było prenumerować polskie gazety, dziadek całe życie dostawał "Życie Warszawy", był to dla niego głos z Polski. Nigdy swojej polskości nie krył i mnie tak wychowywał. Mama, przygotowując mnie do szkoły, uczyła czytać i pisać po rosyjsku, a dziadek po polsku uczył. Czytałem polski elementarz. W domu zawsze były polskie książki. Pieśni polskie śpiewaliśmy, gdy rodzina się zbierała. Sienkiewicza, Prusa w domu czytali na głos wieczorami.

Krucyfiks dziadek sam zrobił z figurką Jezusa od naszego prapradziadka. Krucyfiks stał podczas Mszy, gdy była odprawiana w naszym domu.

Piotra Myszonę, który był w Mozyrzu człowiekiem--instytucją, pełnił funkcję kapłana, organisty, kościelnego, ambasadora polskości, pamiętają do dziś. W 1793 roku , po drugim rozbiorze Ziemi Mozyrskiej i jej mieszkańcom Polska została odebrana na zawsze. W dwudziestoleciu międzywojennym młoda, odradzająca się Polska była tak blisko od Mikaszewicz. Kiedy obok, w II RP, odradzała się wiara, gospodarka, edukacja, tożsamość narodowa,w tym samym czasie Polaków i katolików Ziemi Mozyrskiej represjonowano i zsyłano, niszczono ich życie, majątki, zamykano kościoły, zapędzano do kołchozów... Dzięki takim Piotrom Myszonom, jego kolegom i koleżankom wiara ojców, mowa ojców i tożsamość jakimś cudem przetrwały.

Jeśli chcemy zrozumieć tę ziemię i jej ludzi, warto posłuchać opowieści starszych mieszkańców. Ośrodek "Karta" kilka lat temu zrealizował wspaniały projekt historii mówionej "Polacy na Wschodzie". W tym projekcie uczestniczyli również najstarsi mieszklańcy Ziemi Mozyrskiej. Prezentujemy poniżej Drogim Czytelnikom fragmenty ich opowieści.



REGINA ANTONOWICZ

z Kustownicy. Po odzyskaniu kościoła w Mozyrzu w 1991r. aktywnie uczestniczyła w reaktywowaniu parafii mozyrskiej. Wspomina, że we wsiach Kustownica, Pieńki, Goryczówka zawsze zamieszliwali Polacy. Wspomina o latach przedwojennych:

" W Kustownicy był ładny kościółek. Chodziłam do niego z mamą tylko przez dwa, może trzy lata, nie więcej. Księdza tam nie było i z drugiego kościoła ksiądz dojeżdżał. W trzydziestym którymś roku go zrujnowali i zrobili banię — łaźnię. Ludzie do niej chodzili, choć płakali, ale chodzili. 1937 rok jak przyszedł, tak wszystko zrujnowali, zmietli. Na tym miejscu, gdzie był kościół, pobudowali szkołę. Jak nie stało kościoła, my z mamą

modliłyśmy się się w domu, żeby okno było zakryte, żeby nikt nie słyszał. Wszystkie modlitwy, pieśni my śpiewaliśmy w czasie wojny, dużo ludzi się zbierało. Babka jedna za księdza była, bo księdza już nie było. Najpierw zbierali się u nas w domu. U nas domek stareńki taki był, mały. Potem modliliśmy się już po większych domach, na przykład u chrzestnej mojej matki".



ANNA MOSKALENKO

ze wsi Gruszówka między Mozyrzem a Czarnobylem (z domu Malinowska). Anna Moskalenko przeżyła całą wojnę w Gruszowce. Budynki ich gospodarstwa zostały spalone przez Niemców, w związku z czym rodzina przez całą okupację mieszkała w ziemiankach w lesie. Ojca Anny Moskalenko zabrano do Armii Czerwonej. Zginął w 19" roku na Ukrainie. Po wojnie wioska została odbudowana i Anna Moskalenko poszła do szkoły. Odmówiła wstąpienia do komsomołu, w wyniku czego musiała przerwać naukę po ukończeniu piątej klasy i rozpocząć pracę w kołchozie. Przepracowała tam całe życie. Walczyła o prawo do wyznawania religii katolickiej, przyjmowała księży, organizowała zakazane msze. Po uzyskaniu zezwolenia na odbywanie praktyk religijnych angażowała się w budowę kościoła w Gruszowce, a potem w Mozyrzu. W 1996 roku została przesiedlona z Gruszowki do Mozyrza.



KAMILA PARDA

ze wsi polskiej Dubnicka. Majątek rodzinny Kamili Pardy został skolektywizowany na początku lat 30. Ojciec, który był leśnikiem, został zamordowany przez NKWD w 1937 roku w Mozyrzu (ciało zamurowano w podziemiach dzisiejszej cerkwi). Matka w 1938 roku została zmuszona do pracy w kołchozie. Kamila Parda przed wojną ukończyła dwie klasy w szkole polskiej i trzy klasy w białoruskiej, po wojnie przez długie lata pracowała w kołchozie w zastępstwie siły pociągowej.

"U mamy było jedenaścioro dzieci. Później cztery zmarło. Ojca zabrało w 1937 roku NKWD, a mama została się jedna i nas siedmioro. Żyli my aż w lesie, nie było wiosek, a tylko porozrzucane chaty. Później już stali te kołchozy, już mamę zapisują w kołchoz! A u mamy siedmioro dzieci — nie można było wtenczas w kołchoz iść, wsio małe! Tylko jedna była córka większa. To później przyszli, zniszczyli nam chatę. Zwalili dach i wsio! Byli u nas taka szopka, tylko dla drzewa, z dziurami, to mama zawiesiła takimi prościelkami i my tam żyli w tej szopce.

Później, jak ojca zabrali, a ostało się tyle dzieci i mama sama, to mój Boże, jak my głodowali. Mama pójdzie, krupiwki (pokrzywy) narwie, oparzy, wyciśnie i troszku szczawlu, bo szczawiel mocno kwaśny, i tak zgotuje. Ani krupinki, ani mąki, ani chleba! Tak oto my żyli. Nie daj Boże, jak my chorowali. Odzienia nie było, to mama siała len i później ten len pięli, rwali, rozścielali, a potem jego ciapali, ciapali, i przędli. I tkała mama sama szyła nam spódnice płócienne. Jeszcze za mąż poszłam w płóciennej spódnicy, krasić jej nie było czym. A póki tata żył, cztery krowy byli i owce trzymali, i konia mieli. Było czym poorać, posiać, zabronować. Sieczkarka swoja była — konia zaprzęgną i sieczkę rżnęli: ciach, ciach, ciach. Wszystkie święta kościlne my świętowali. My znali każde święto jakie tylko było, nie pracowali nigdy w takie dni. Modlić się — nie było kościoła, to zbierali się do chaty. Nawet i w post na gorzkie żale — zawsze. Choć nie było kościołów, my w Boga wierzyli".



STANISŁAWA ZYSK

z polskiej wsi Dubnicka. Stanisława Zysk pochodzi z wielodzietnej rodziny. Od czasu kolektywizacji jej rodzice pracowali w kołchozie. Ojciec zmarł w 1936 roku. Matka od połowy lat 30. pełniła we wsi funkcję osoby prowadzącej nabożeństwa, udzielając chrztu. W trakcie wojny Stanisława Zysk wraz z matką i rodzeństwem ukrywała się w lasach w pobliżu wsi, natomiast około 1943 roku została wraz z rodziną przepędzona kilkadziesiąt kilometrów do Mozyrza, gdzie utrzymywała się chodząc po prośbie. Po wojnie pracowała w kołchozie. W 1967 roku wyszła za mąż za Polaka, który powrócił z zesłania w Archangielsku.

"Przed wojną nie było kościoła, zruinowali go, spalili. Ale zakazali chodzić do kościoła wcześniej, jak już była rozkułaczka. (kolektywizacja –red.) Wpierw, jeszcze był chłop tutaj jeden, Kowalczyk, to on prowadził nabożeństwo, a potem już jego zabrali NKWD, to mama jeszcze do wojny prowadziła nabożeństwa. W każdą niedzielę i święta zbierali się wszystkie, młode i stare, na mszę. Na Wielkanoc, na Boże Narodzenie i na Nowy Rok to zbierali się po chatach. Jak msze czytali i to, co w kościele się prawi, i pieśnie, i jakie tam inne święta, to te święta zawsze objawiali. A jak kto chory był, to mama chodziła zawsze i modlitwy odmawia".

POSTACIE ZIEMI MOZYRSKIEJ

Ziemia Mozyrska szczyci się nie tylko malowniczym położeniem, szacowną historią, ale przede wszystkim swoimi mieszkańcami. Wśród nich są polscy nauczyciele i duchowni, pisarze i poeci, naukowcy i badacze, a przede wszystkim ludzie bogaci siłą ducha, wierni tradycjom i wartościom ojców. Każda ze znanych postaci Ziemi Mozyrskiej zapłaciła wysoką cenę za bycie Polakiem, wolność ducha, za odwagę bycia sobą. Carat i imperium zła nigdy nie tolerowało odważnych intelektualistów polskich, więziło, wysyłało do najdalszych zakątków Syberii, niszczyło ich losy i ich majątki. Są oni dumą tej ziemi. Czy stać nas, ich potomnych, by o nich pamiętać, czcić, opowiadać o ich postawach następnym pokoleniom?

Jan Niepomucen Wiernikowski (ur.11 maja 1800 r.w Kosiejsku, w powiecie mozyrskim, zm.w 1877 r. w Charkowie)

Polski językoznawca, nauczyciel, syn Antoniego h. Janina i Marty z Wiernikowskich. W 1810 r. rozpoczął naukę w gimnazjum w Mozyrzu, od 1817 r. – na Uniwersytecie Wileńskim. Był skazany jako jeden z dziewięciu Filaretów, zesłany do Symbirska, gdzie został w gimnazjum nauczycielem języków starożytnych. Pracował także jako nauczyciel w Wiatce. Po powrocie z zesłania wykładał języki wschodnie i geografię starożytną w Charkowie. Był tłumaczem literatury starożytnej.

Emma Dmochowska z domu Jeleńska, ps. Elian (ur. 29 lutego 1864 r. w Komarowiczach w powiecie mozyrskim, zm. 24 stycznia 1919 r. w Wilnie)

Polska dramatopisarka, powieściopisarka i działaczka oświatowa. Urodziła się w zamożnej rodzinie ziemiańskiej. Była gorącą patriotką. Już na Polesiu zbierała pieśni, podania i przysłowia ludowe. Założyła tajne szkoły polskie w swych dobrach. Pomagała biednym chłopom. Po ślubie z Kazimierzem Dmochowskim od 1890 r. mieszkała w Wilnie, oddając się pracy pisarskiej, dobroczynnej i oświatowej, zajmowała się organizowaniem kursów dla nauczycieli. Pracowała w redakcji pisma "Zorza Wileńska" i Jutrzenka". Podczas I wojny światowej wydawała pismo "Unia", w którym ostrzegała rodaków, aby nie posyłali dzieci do szkół cerkiewnych, bo dzieci się rusyfikują. Za to została osadzona w więzieniu na Łukiszkach. Była założycielką Związku Patriotycznego Polek. W swojej twórczości literackiej poruszała problemy obyczajowe i społeczne, przywiązanie do ziemi ojczystej, tradycji szlacheckich. Jest m.in. autorką powieści "Panienka", "Dwór w Haliniszkach", "Matka". Jej utwory zostały przełożone na język niemiecki, czeski i rosyjski. Została pochowana na cmentarzu na Rossie.

Edward Piekarski (ur. w 1858 r. w folwarku Piotrowicze, zm.w 1934 r.w Petersburgu)

Wybitny polski badacz Jakucji, językoznawca, leksykograf, etnograf. Uczył się w gimnazjum w Mozyrzu, w Mińsku, Czernichowie. W 1877 r. rozpoczął naukę w Charkowie. W 1879 r. został aresztowany w Moskwie i po rocznym pobycie w więzieniu w Buturkach skazany na 15 lat ciężkich robót i pozbawienia praw obywatelskich. Wyrok zamieniono na bezterminowe osadzenie w najdalszych miejscach Syberii Wschodniej. Przez lata zesłania Piekarski uczestniczył w ekspedycjach etnograficznych, badających zwyczaje Jakutów oraz Tunguzów. Dokonania badawcze Piekarskiego pozwoliły mu na powrót z zesłania do Petersburga i publikację ponad 100 prac dotyczących kultury jakuckiej i tunguskiej oraz pierwszego słownika języka jakuckiego. Piekarski wraz z innym polskim zesłańcem, Wacławem Sieroszewskim, ma swój pomnik w Jakucku, jego imieniem nazwano tam jedną z ulic oraz szkołę, której przekazał przed śmiercią część księgozbioru. W tym roku przypada 80-lecie jego śmierci. Czy na Białorusi wspomnią o wybitnym Rodaku?

Mitrofan Downar-Zapolski (ur. w Rzeczycy w 1867r., zm. w 1934r.)

Wybitny badacz historii i kultury Białorusi. Był on autorem ponad 200 publikacji. W polu jego uwagi znajdowały się pradzieje Białorusi, przemiany ekonomiczno-społeczne w średniowieczu, ruchy polityczne po I wojnie światowej. Należał do uczonych rozwiązujących trudne zadania. Wyniki jego badań nie utraciły aktulaności do dziś. Uczył się w Mozyrzu. Spisywał miejscowe pieśni, opowieści, legendy, bajki. Publikował artykuły historyczne w prasie miejscowej, ale takze w gazetach Kijowa i Mińska. Podejrzenia o

aktywność rewolucyjną uniemożliwiły przystąpienie do matury. Dopiero po 2 latach zdał egzaminy maturalne w Kijowie. Studiował w Kijowie i Moskwie. Został redaktorem Rosyjskiego Towarzystwa Archeologicznego. Opublikował w 1901r. rozprawę "Gospodarka WKL za panowania Jagiellonów." W 1904r. pod jego redakcją ukazał się Podręcznik historii Rosji. Wykładał na uniwersytetach w Kijowie, Moskwie, Baku, Mińsku. Po rewolucji 1917r.stał się osobą niewygodną dla bolszewików i dla prawicy. Kilkakrotnie był aresztowany. Istotnym osiągnięciem było przygotowanie w 1919r. "Historii Biełarusi"Działalność M.Downara-Zapolskiego zasługuje na wydobycie z zapomnienia, a też na popularyzację.

Czesław Pietkiewicz – wybitny etnograf (ur. w Babczynie w 1856r., zm. w 1936r. w Warszawie) Autor dziesiątków monografii, które stanowią cenne źródło informacji o Polesiu Mozyrskim, Rzeczyckim, Wołyńskim. Wśród nich najważniejszym jest tryptyk: "Polesie Rzeczyckie".cz.I: "Kultura materialna", Cz.II : "Kultura duchowa Polesia Rzeczyckiego", cz.III: "Kultura społeczna Polesia Rzeczyckiego". Ostatnia książka miała ukazać się drukiem we wrześniu 1939 r. i ponad 70 lat uważana była za bezpowrotnie zaginioną. Cudownym trafem została odnaleziona i dzięki staraniom Muzeum Etnografii im.Marii Znamierowskiej-Prufferowej w Toruniu została wydana w 2013r.

Ks.Witold Iwicki herbu Paprzyca (ur.19 maja 1884r. w Wilnie, zm.22 stycznia 1943r. w Janowie Poleskim)-ksiądz, męczennik za wiarę, działacz oświatowy, rektor Wyższego Seminarium Duchownego w Pińsku w latach 1925-1926. Syn Teofila Iwickiego, powstańca styczniowego. W 1907 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Doktorat z prawa kanonicznego uzyskał w Gregorianum w Rzymie w okresie, gdy za działalność oświatową i patriotyczną w Mozyrzu był obłożony zakazem pracy duszpasterskiej, bowiem na skutek skargi gubernatora mińskiego, Piotr Stołypin zarządał od metropolity mohylewskiego usunięcia ks.Iwickiego z pełnionych funkcji w Mozyrzu. Od 1918 do 1920r. był proboszczem parafii św.Stanisława w Petersburgu. Aresztowany i więziony w Moskwie. W marcu 1921 r. w drodze wymiany wrócił do Polski. Zamordowany przez Niemców –rozstrzelany w Janowie Podlaskim jako zakładnik po akcji Wachlarza na więzienie w Pińsku. Nie skorzystał z propozycji uwolnienia w ostatniej chwili, oddając swe życie za innego zakładnika, naczelnika stacji kolejowej w Pińsku.

Ks.Józef Dziekoński (Ur.w 1948, na kresach Podlasia, w parafii Trzcianne)

Polski ksiądz, utalentowany poeta, filozof. Pracowitości i wiary uczyli go rodzice: Jan Dziekoński oraz Apolonia z Wiszowatych, herbu Awdaniec, a także wspólnie mieszkająca z nimi ciotka Felicja, która jako tercjarka franciszkańska, żyjąca w stanie bezżennym, pozostawiła mu dobry wzór życia chrześcijańskiego. Studiuje matematykę i filozofię na Uniwersytecie Warszawskim. Po studiach matematycznych zostaje przyjęty na etnografię . Próbuje sił poetyckich. Drukuje wiersze w awangardowym miesięczniku "Poezja" a w tygodniku "Literatura" – francuskie przekłady J. Preverta, rosyjskie I. Riadczenki oraz litewskie E. Mieżelajtisa. Eksperymentuje w rzeźbie i malarstwie . Zamach na papieża poruszy go do głębi; jakby z rany papieskiej narodzi się na nowo dla Boga. Wstępuje do seminarium duchownego i przyjmuje święcenia prezbiteratu. Po krótkim wikariacie , został posłany na Białoruś do Mozyrza, w strefie skażenia czarnobylskiego. Tam przebywał niemal szesnaście lat, pozostawiając kościoły: w Mozyrzu (odremontowany) i w Chojnikach (nowy). W Warszawie przyjaźni się poetycko z księdzem J. Twardowskim. Następnie przez 20 lat – dziekan i proboszcz parafii p.w.Podwyższenia Krzyża św. w Baranowiczach. Tu wydał 4 tomiki wierszy.

Tak bardzo by się chciało napisać tu o innych współczesnych – kapłanach, nauczycielach, pracujących tam ku chwale Boga i Ojczyzny, spotkaliśmy ich podczas naszej podróży. Kiedyś opowiemy i o nich. A Drogim Czytelnikom proponujemy tę listę zasłużonych, wybitnych mieszkańców Ziemi Mozyrskiej kontynuować, zachęcamy do tego miejscowych krajoznawców, nauczycieli, księży. Zapraszamy Państwo do lektury – podróży po Polesiu Mozyrskim.



Denis, harcerz Drużyny Harcerskiej im.Feliksa Kieniewicza



Z POLESIA MOZYRSKIEGO – POETYCKIE IMPRESJE

Ks. Józef Dziekoński

Na Polesiu

Tam w Mozyrskim na Polesiu
(Jak wieść gminna wszędzie niesie)
Dobrzy ludzie żyją – z kresów –
Czy to w miastach – nawet w lesie –
Są tam tacy na Polesiu
Znam ja serca ich gościnne
Tych co nie zgubili wiary
Też poznałem ich uczynność
(Tam obyczaj polski stary)
Nie inaczej też miłują
Bo gdy ktoś im w oko wpadnie
To chowają w sercu na dnie
I do śmierci zachowują
Wiem co mówię gdyż tam byłem
Bo radiację z nimi piłem

Doroszewicze

Doroszewicze zmyte czasem
Ząb jego zmiażdżył całą świetność
Została na pogardę szpetność
Prócz kępy parku albo lasu

Kalenkowicze

Wpierw plac pod kościół poświęcono
Krzyżem ogromnym oznaczony
Lecz Pan dał ludziom kościół w centrum
W tym Ojciec Efrem zasłużony

Kopatkiewicze

W Kopatkiewiczach kościół stanął
To Ojciec Efrem go fundował
Cztery kościoły ofiarował
Ludziom wierzącym i profanom

Petryków

Dwa lata wiernym tam służyłem
(Msza odprawiała się w sobotę)
Aż nowy kościół stanął potem
Przy poświęceniu jego byłem



Polski cmentarz w Petrykowie

Potasznia

W Potaszni krzyż jest przedwojenny
Prowadził wszystkich on na cmentarz
(I komża wojnę też pamięta)
Gdy nielzia było z Sakramentem
Ruda-Biełka (Oktiabrskij)
Wszystko zaczęło się z rodziny
(Mąż z żoną grali na bajanie)
Początek przez Niepokalaną
Modlitwy kościół ich wznosiły

W Biesiedach

W Biesiedach słychać polskie słowa
I pozdrowienie Chrystusowe
Mieszkają jakby w kącie świata
Nie zmył ich przewrót ani lata

W Braginie

Tam w centrum pomnik jest junaka
Był Czarnobylskim ratownikiem
(Tereny teraz wokół dzikie)
Bohaterowi dola taka
Mieszkała babcia tam wiekowa
Litanię tylko odmawiała
Maryja nam ją odszukała
Ktoś ją z pewnością już pochował



W Jelsku

Pobożna była tam niewiasta
(Nie znałem lepszej z tego miasta)
Do innych miast wciąż przyjeżdżała
W niej Bogu Jelsk oddawał chwałę

W Krusznikach

W tej wiosce jeszcze są Polacy
Którzy nie znają swojej mowy
Prości i bardzo Chrystusowi
Kto Sakramentem ich opatrzy?

W Lelczycach

W Lelczycach dobrze mnie goszczono
I tam przyjaciół wielu miałem
Ich dobrych serc nie zapomniałem
Tam nowy kościół im wzniesiono



W Bryniowie

W Bryniowie kościół nowy mają
Ojca Efrema kaprys taki
Bo mówił że tam są Ślązaki
Na Mszach po polsku też śpiewają

W Chojnikach

W Chojnikach kościół budowałem
Z babciami prawie stuletnimi
Ja mało młodszy między nimi
Tak się w tym mieście zakochałem

W Gruszówce

W wojnę bronili się obrazem
Dlatego wioski nie spalili
Widziałem raz jak wszyscy razem
Pod Twą obronę się modlili
To oni innym zaświadczyli
Jak można wierzyć bezgranicznie
Teraz ich cmentarz przyjął ślicznie
Kosy radiacji ich skosiły





W Myszance...

W Myszance Hlinkach Laskowiczach
Są katolicy rozproszeni
Niełatwo takim w tamtej ziemi
Na miłosierdzie Boga liczą
Ktoś mieszka w wiosce Bór Czerwony
Czemu czerwony nie wiedziałem
'To z Mickiewicza' pomyślałem
(Bór był zachodem prześwietlony)

W Narowli

Dzieci spod krzyża Czarnobyla
W kościele w centrum się zbierają
Początki wiary wspominają
I po eksplozji grozy chwile

W Żytkowiczach

Szmat czasu Msze u babci Stasi
Przeróżni księża sprawowali
A teraz kościół w całej gali
Tam ksiądz Witalij lud swój pasie.

NOTATKI Z PODRÓŻY Z POLESIA MOZYRSKIEGO

Anna Godunowa



Rzeka Uborć w Lelczycach

"Zielono mi"... Tak właśnie brzmiało hasło przewodnie przez kilka kolejnych dni po powrocie z Polesia. Bezkres zieleni i błękitu w postaci lasów, rzek, pól, bagien i oczywiście nieba. Naszego pięknego, czystego poleskiego nieba. Od czasu do czasu trafiają się niewielkie wsie i miasteczka. Przypominają one małe wysepki. O takich właśnie "polskich wysepkach" chcę dziś opowiedzieć.

Lelczyce

Jest to niewielkie zadbane miasteczko położone nad malowniczą rzeką Uborć.

Polacy zamieszkiwali te tereny od czasów królowej Bony. Niesamowite, ale bez względu na wszelkie zmiany, zachodzące przez wieki na tych ziemiach, jak również to, że "cywilizacja" pozostała gdzieś tam za rzekami i bagnami, ta "polskość" jest obecna. Wydaje mi się nawet, że czasem jest prawdziwsza i głębsza, niż gdziekolwiek indziej. To daje wiarę i wielkie natchnienie.

Nieodłącznym elementem Polesia były szlacheckie dwory i pałace – rodzinne gniazda polskich rodów. W okolicach Mozyrza najciekawsze są rezydencje w Barbarowie, Narowli i Hołowczycach. To były ośrodki, wokół których skupiało się życie towarzyskie, kulturalne i towarzyskie tego regionu.

Barbarów

Obecnie jest to spora wieś, leżąca nad brzegiem Prypeci.

Stał tu kiedyś średniowieczny zamek, który wielokrotnie niszczyły najazdy tatarskie. Później miejskie dobra przeszły w ręce Oskierków. Ostatnimi właścicielami majątku była rodzina Horwattów. To właśnie Ignacy Horwatt, sędzia grodzki mozyrski, wybudował tu pałac klasycystyczny i stworzył wielkopańską rezydencję.

Dziś na terenie dawnego majątku mieści się szkoła. Pałac został obrabowany i zniszczony doszczętnie w latach 1918-1920. Zachowała się jedynie stara brama oraz przerzedzona aleja lipowa, kończąca się przy kamiennym moście.





Barbarów

Narowla

Jest to kolejny majątek Horwattów, przepięknie położony nad brzegiem Prypeci. Rzeka w tym miejscu wygląda zjawiskowo. Czego niestety nie można powiedzieć o dawnej rezydencji… Późnoklasycystyczny pałac wzniesiony w 1850r. przez Daniela Horwatta dziś jest opuszczony i zdewastowany, a kiedyś przecież było tak: *"Pałac narowlański oraz wszystkie piękne budynki gospodarcze i fabryczne (cukierki owocowe) bardzo się pięknie prezentowały, gdy mijało się je w przejeździe po Prypeci statkiem parowym. Duże bardzo były w Narowli sady owocowe oraz plantacje przeróżnych jagód, służące do wyrobów cukierniczych. Nad brzegiem Prypeci była kaplica murowana z niewielkim cmentarzem z grobami rodzinnymi".*





Hołowczyce

Dawna rezydencja Oskierków skonfiskowana po powstaniu listopadowym. Przeszła na własność rosyjskiego generała Sieversa, od którego kupił ją Stanisław Horwatt. W posiadaniu Horwattów Hołowczyce pozostały aż do 1917 roku.

Zachował się klasycystyczny pałac wzniesiony w połowie XIX wieku. Obecnie mieści się tu ambulatorium lekarskie. Wygląd zewnętrzny budynku jest dosyć skromny. Kiedyś pałac zawierał bogatą kolekcję dzieł sztuki, gromadzoną przez Maurycego Horwatta.





Gruszówka



Lista poległych w czasie drugiej wojny światowej – potomkowie szlachty poleskiej.



Jest to duża wieś nad Słoweczną. Szerokie ulice, drewniana poleska zabudowa robią wrażenie. Gruszówka od lat była zamieszkiwana przez Polaków.

Najlepszą ilustracją jest zdjęcie pomnika, dedykowanego mieszkańcom wsi, poległym w czasie drugiej wojny światowej. Przeważająca liczba osób to potomkowie poleskiej szlachty.

W czasach radzieckich, gdy lelczyczki kościół i większość innych kościołów było zamkniętych, w największe święta msze odprawiano przy gruszówskim krzyżu. Do Gruszówki na Wielkanoc, na Wigilię dojeżdżali z Kijowa i Żytomierza księża , msze odprawiali przy gruszowskim krzyżu,. Tam też , czasami po nocach, chrzczono dzieci. Tam, pod gruszowskim krzyżem, przyjął swoją Pierwszą Komunię ksiądz Witalis Myszona. Po awarii na Czarnobylskiej AES władze pozwoliły na "legalne" odprawianie mszy świętej w Gruszówce raz do roku.

W okolicach Mozyrza zobaczyliśmy pomnik poświęcony ofiarom represji. Napis na pomniku: "W tym lesie w latach 1937-1939 odbywały się masowe egzekucje na niewinnych mieszkańcach Polesia – ofiar bezpodstawnych represji politycznych. "

Represje





Mozyrz

Jedno z największych miast nad Prypecią. Jego położenie jest dość nietypowe jak na Polesie – leży nie pośród równin i bagien, ale na wysokich wzgórzach Grzędy Mozyrskiej. To miasto wywarło na nas duże wrażenie właśnie ze względu na ogromną przestrzeń i piękną Prypeć, przeplatającą miasto tu i ówdzie.



Budynek dawnego gimnazjum męskiego (kiedyś – dom Feliksa Kieniewicza). Do gimnazjum uczęszczali synowie okolicznych polskich ziemian. Jednym z najbardziej znanych absolwentów gimnazjum był Edward Piekarski, zesłaniec, etnograf i językoznawca, autor słownika języka jakuckiego.



Fragment drewnianego krzyża z 1798 roku.



Klasztor cystersów, ufundowany w 1711 r. W czasach radzieckich urządzono tu fabrykę mebli. W chwili obecnej budynek jest pusty, ale bez prac renowacyjnych, w szybkim tempie ulegnie zniszczeniu.

Współczesny Mozyrz niemal niczym nie przypomina uroczego prowincjalnego miasta, jakim był w XIX i na początku XX wieku. Wtedy zabudowę tworzyły parterowe i piętrowe drewniane domy, rozciagnięte wzdłuż głównej ulicy Słuckiej i tłoczące się przy malowniczych zaułkach, wspinających się na nadrzeczną skarpę. Specyficzny charakter nadawał miastu ruchliwy port nad Prypecią, gdzie zawsze pływały dziesiątki najróżniejszych łodzi, statków i barek.Tylko na zboczach Góry Zamkowej zachowały się relikty dawnego Mozyrzu: otoczone ogródkami drewniane domki, z których z pewnością wiele pamięta carskie czasy.

W drodze powrotnej myślałam o przemijaniu. Trudny to temat, lecz wcześniej czy później dotknie również każdego z nas.. Myślałam o pięknej Narowli, o Horwattach i Kieniewiczach, o lipowych alejach, starych cmentarzach.. Wkrótce nie zostanie po nich nawet śladu. Przemijanie jest naturalną koleją rzeczy – umierają całe narody i cywilizacje. Lecz istnieje coś, co nigdy nie umiera. To, co czujemy, co niesiemy w naszych sercach przez całe życie – jest wieczne. Ludzie odchodzą, lecz pamięć o nich pozostaje na zawsze.

P.S. Redakcja pragnie z całego serca podziękować naszemu poleskiemu przewodnikowi –

Ks. Wincentemu Siewrukowi.



ODNOWA WIARY NA POLESIU MOZYRSKIM

ks. Józef Dziekoński

Polesie Mozyrskie to obszar na terenie południowo-wschodniej Białorusi, położony między rzeką Prypecią a Dnieprem. Zaszczepiona tu wiara katolicka przetrwała liczne najazdy, częste zmiany władzy i krwawe prześladowania, których ofiarą stał się między innymi św. Andrzej B obola, zwany apostołem Pińszczyzny.



Największe prześladowania chrześcijaństwa, tak prawosławia, jak i katolicyzmu, miały miejsce na tym terenie po rewolucji październikowej, w latach 1937-38, za czasów stalinowskich. Mówić o nich można było dopiero po rozpadzie Związku Sowieckiego. W jednym z lasów powiatu mo zyrskiego po upadku komunizmu ustawiono betonowy krzyż – znak pamięci i protestu. Stoi on bowiem w miejscu, gdzie strzałem w tył głowy masowo zabijano wierzących, wrzucając ich zwłoki do ogromnej jamy. Kolejne grupy rozstrzelanych w ten sposób katolików przysypywano wapnem.

Strzałem w tył głowy mordowano także wiernych w centrum miasta Mozyrza, w podziemiach byłego kościoła Bernardynów (dziś jest to prawosławna cerkiew). Niektóre ofiary prześladowań zostały tu żywcem zamurowane.



Dopiero w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia prawosławny biskup Piotr polecił zebrać kości pomordowanych i złożyć je w dwóch wbiorowych mogiłach, utworzonych w podziemiach byłego kościoła. Z pewnością niejedna z tych osób mogłaby uratować się, wypierając się swojej religii. Z relacji dzieci pomordowanych wiadomo, że nad ofiarami znęcano się w sposób bestialski. Łamano im palce w drzwiach, wbijano igły pod paznokcie, sadzano na krzesłach z ostrymi gwoździami, »»»



»»» wieszano za nogi głową w dół. Nieliczni, którzy przeżywali te męczarnie, wkrótce umierali na skutek tortur. Byli to wierni z powiatów: mozyrskiego, narowlańskiego, lelczyckiego, kalinkowickiego i petrykowskiego.

Prześladowania w pierwszym rzędzie dotyczyły księży i popów, których aresztowano i wywożono w nieznane. Spośród kapłanów katolickich wywiezionych z powiatów Polesia Mozyrskiego nie wrócił żaden. Do czasów pierestrojki podobnie było także w są siedniej Mohylowszczyźnie. Na terenie wschodniego Polesia w wielu miejscowościach i powiatach nie było więc księży, którzy mogliby sprawować posługę duszpasterską. Likwidowano kościoły, niszczono krzyże, zmuszano katolików do ukrywania się.

(...)

Do Mozyrza nad Prypecią przybyłem w czerwcu 1990 roku. Zostałem wyposażony w tak zwaną sprawkę, na mocy której mogłem sprawować niektóre sakramenty. Parafii w Mozyrzu nie było; nie było tam również katolickiej świątyni. Zamieszkałem kątem u jednej z moich przyszłych parafianek. Rozpocząłem od codziennej Mszy świętej w pokoju, w którym pozwolono mi spać. Kilka razy udało mi się sprawować Eucharystię w budynku byłego kościoła Cysterek, przemienionego na siedzibę Białoruskiego Centrum Wioślarstwa.

Pracę duszpasterską zacząłem od poszukiwania wiernych. W Mozyrzu informacje o nich zdobywałem od chorych, których odwiedzałem z wiatykiem. W powiatowych wioskach, do których docierałem, wchodziłem do pierwszego z brzegu domu i mówiłem: "Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus". W niektórych domach odpowiadano mi: "Na wieki wieków. Amen". W ten sposób zdobywałem wiadomości o kolejnych katolikach. Udało mi się dotrzeć do wielu wiernych w powiatach: narowlańskim, lelczyckim, żytkowickim, petrykowskim, kalinkowickim, chojnickim, oktiabrskim i bragińskim. Cały ten teren leży w strefie skażenia promieniotwórczego po wybuchu elektrowni atomowej w Czarnobylu. Nie było tu, podobnie jak zresztą w całym województwie gomelskim, żadnych kościołów, a najbliższy ksiądz mieszkał w Homlu, położonym 160 km od Mozyrza.

Początkowo, nie mając pozwolenia władz świeckich w konspiracji obsługiwałem powiatowe Lelczyce, wioskę Gruszowka w powiecie narowlańskim, a także wiernych w Mozyrzu. Po wielu staraniach i licznych próbach w końcu otrzymałem zezwolenie państwowe i dzięki niemu mogłem sprawować posługę duszpasterską, ale tylko w Mozyrzu. Stało się to możliwe po zarejestrowaniu parafii jako "osoby prawnej". Wielu wiernych nadal się bało, choć Gorbaczow gwarantował już wolność sumienia i wyznania. Mogliśmy więc zarejestrować parafię, a oprócz tego zwrócono nam wspomnianą wcześniej pocysterską świątynię. Jej stan był opłakany: dosłownie i w przenośni. Patrząc bowiem na stan zrujnowanego budynku, nie obyło się bez łez wiernych. Szło jednak ku odnowie, a w ludziach młodszego pokolenia rosła nadzieja na przyszłość.

Mimo formalnego zwrotu świątyni wraz z przyległym klasztorem nie mogliśmy od razu otworzyć kościoła. Po dwóch miesiącach mojegp pobytu w Mozyrzu wynająłem pokój u pewnej staruszki, a od miejscowego biskupa otrzymałem pozwolenie, by w

jej mieszkaniu przechowywać Naj świętszy Sakrament. Ukryty był w dwuczęściowym krzyżu zawieszonym pod sufitem. Po czterech miesiącach, w styczniu 1991 roku, zamieszkałem w klasztorze, w części znajdującej się obok wybudowanego w 1745 roku kościoła. Korytarz zwróconej części budynku klasztornego, po oddzieleniu od pomieszczeń zajmowanych przez sportowców Centrum Wioślarstwa, był miejscem sprawowania kultu. Kościół bowiem nadal był remontowany. Ta część klasztoru była także domem parafialnym, w którym siostry terecjanki z Podkowy Leśnej rozpoczęły katechizację. Warto w tym miejscu powiedzieć, że katecheza prowadzona w naszej parafii zaowocowała już dwoma powołaniami zakonnymi i jednym kapłańskim.

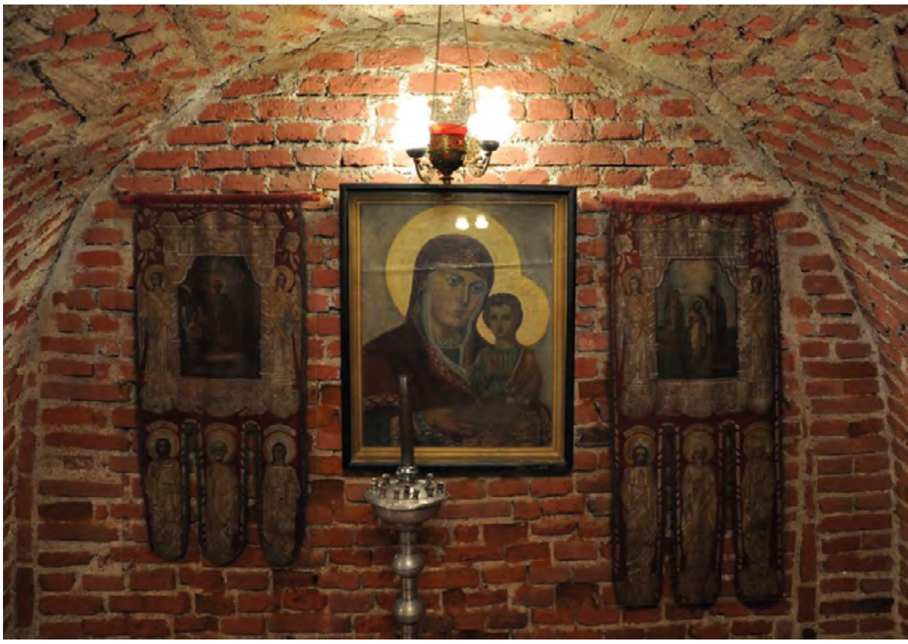
Z powodu czarnobylskiej awarii z wielu krajów przyjeżdżali do nas ludzie, którzy chcieli w jakiś sposób nam pomóc. Powstawały także różne organizacje pomocy dzieciom Czernobyla. Dzięki temu dzieci z naszej parafii mogły wyjechać na wakacje między innymi do Polski. Sprzyjało to pokonywaniu wśród miejscowej ludności prawosławnej barier i uprzedzeń do księży i Kościoła katolickiego.

W 1995 roku miała miejsce konsekracja naszej świątyni – kościoła pw. św. Michała. Został także wzbudzony kult Matki Bożej Jurewickiej, której wizerunek czczony jest u ojców jezuitów w krakowskim kościele pw. św. Barbary. Coroczne piesze pielgrzymki z Jurewicz do Mozyrza, gdzie znajduje się kopia obrazu Matki Bożej Jurewickiej, ożywiają nadzieję i wiarę ludu Bożego w cieniu śmierci grzechu i Czarnobyla.

Podsumowując moją kilkunastoletnią posługę na Polesiu Mozyrskim, nie mogę pochwalić się tłumami wypełniającymi nowo zbudowane kościoły. Mogę natomiast powiedzieć ewangelicznie, że zostały "zebrane do koszów ułomki", które nie zaginęły.







КАТАЛІЦКІЯ ЛЕЛЬЧЫЦЫ: ПАРАФІЯ Ў ГЛЫБІНЦЫ ПАЛЕССЯ

Руслан Гарадка



Лельчыцы ўпершыню ўзгадваюцца ў гістарычных хроніках у XVI стагоддзі як вёска ў Мазырскім павеце Кіеўскага ваяводства. З 1569 г. Лельчыцы ўваходзілі ў Мінскае ваяводства Вялікага Княства Літоўскага. Пасля далучэння да Расійскай імперыі ў 1793 г. мястэчка стала цэнтрам воласці ў Мазырскім павеце. Вядома, што ў 1866 г. у Лельчыцах налічвалася 366 жыхароў, 64 двары. У 1909 г. – 1216 жыхароў, 170 двароў. Сёння тут жыве каля 9 тысяч чалавек.

Гісторыя Лельчыцаў звязана са старажытным беларускім родам Тышкевічаў. Мястэчка было ўласнасцю графа Тышкевіча з 1874 года. Юзаф Тышкевіч меў пяць сыноў і тры дачкі. Ён памёр у 1908 годзе, пакінуўшы сваім дзецям вялікую спадчыну: сын Аляксандр атрымаў Крэтынгу і на Палессі Астражанку, Уладзіслаў – Ландвараў і Маневічы, Антон – Койраны, млыны ў Вільні і Асавец, Фелікс – Палангу і Лельчыцы, Юзаф – Затрочы.

Уладальнік Лельчыцаў Фелікс Тышкевіч у 1909 г. стаў ініцыятарам і фундатарам пабудовы першага мясцовага драўлянага касцёла. Святыня была асвечана ў 1913 г. арцыбіскупам Вінцэнтам Ключынскім. Вядома, што пробашчамі парафіі былі Казімір Даўгяловіч у 1909–10 гг. і Ян Жаўрыт у 1912–13 гг.

Захавалася вельмі цікавае апісанне першага лельчыцкага касцёла (Tarnowski S.): "Меў каля 10 метраў даўжыні. Драўляны, падмурак з каменю. На званіцы і касцёле былі пазалочаныя крыжы. Вокны вялікія. Пастаўлены былі вельмі высока. Мелі толькі белыя шыбы. Па правым баку было шэсць акон, бо з левага былі вежа і два акны меншыя. З правага боку ад уваходу ў касцёл быў уваход на хоры, з арганамі. Хоры былі падпёртыя трыма слупамі. Пры ўваходзе – вялікі крыж, з метр вышынёй. Распяты Езус. Пад сподам была місачка на свянцоную ваду ў выглядзе ракавіны. Бляшаная кропельніца прыбіта да слупа. Першыя дзверы былі цалкам драўляныя, з дубу. Астатнія дзверы былі зашклёныя да паловы.

Алтар быў зроблены з усходу. Да алтара вялі дзве ступені. Прэзбітэрый быў высланы дыванамі ручной работы. Алтар быў абгароджаны баляскамі, дзе быў раззалачоны ручнічок. Балюстрада была фігурнай з дрэва з пераходам каля метра-метра дваццаці. У вялікім алтары

быў пасярэдзіне каўчэг для святых дароў і абраз сэрца Езуса ў пазалочаных рамах. Над алтаром лунаў Святы Дух у выглядзе Голуба. Побач былі анёлы. З левага боку (касцёла) была амбона з пазалочанымі кантамі. Над амбонай – невялікі дашок, пакрыты белым матэрыялам. З левага боку быў таксама алтарык з фігурай святога Антонія, а з правага боку алтарык з Езусам. Пры св. Антонію была перагародка для хрысцільні.

Лаўкі ў касцёле былі шырокія. Па баках стаялі тры харугвы. Па правым баку звычайна сядзелі мужчыны, па левым – жанчыны. Стаялі дзве спавядальні. Падлога была чырвоная, сцены – белыя.

Касцёл атачала даволі вялікая плошча з зялёнаю травою. Па ёй свабодна можна было хадзіць з працэсіяй. Насупраць касцёла стаяла плябанія з невялікім агародам.

У 1922 г. савецкія ўлады зачынілі касцёл. Пазней святыню прыстасавалі пад сховішча. У 1943 г. будынак згарэў.

Парафія ў Лельчыцах адрадзілася ў 1990 годзе. У 1991 г. пачалося будаўніцтва парафіяльнага касцёла, завершанае ў 1998 г. пад кіраўніцтвам пробашча ксяндза Збігнева Бояра. 4 верасня 1998 г. новы дом Божы быў кансэкраваны кардыналам Казімірам Свёнткам. Касцёл атрымаў тытул Найсвяцейшага Сэрца Езуса і Маці Божай Фацімскай.

Пробашчам парафіі цяпер з'яўляецца ксёндз Віталіс Мышона. Ён нарадзіўся і вырас на Мазырскім Палессі, таму невыпадкова пасля заканчэння семінарыі ў Гродне, Божы Провід скіраваў яго ў самую палескую глыбінку. Працы тут шмат. У многіх вялікіх і малых вёсках святара чакаюць старыя ды нямоглыя, мноству моладзі і дарослых патрэбная евангелізацыя, дзецям – катэхізацыя.

Наваколле Лельчыцаў – найпрыгажэйшы куток Беларускага Палесся. Амаль 70% займаюць лясныя абшары, прарэзаныя рачулкамі з красамоўнымі назвамі Убарць, Балотніца, Сцвіга, Плаў... Тут знаходзіцца частка Прыпяцкага ландшафтна-гідралагічнага запаведніка, а таксама Букчанскі заказнік-журавіннік. Вельмі сумна, што Лельчыцкі раён – адзін з найбольш пацярпелых у выніку Чарнобыльскай катастрофы.

...Белая вежа касцёла – плён жывой веры палешукоў, сведка адраджэння Хрыстовага Касцёла на гэтай зямлі, адно з шматлікіх пацверджанняў Фацімскіх пасланняў. Невыпадкова, Маці Божая Фацімская – Апякунка парафіі ў Лельчыцах. Няхай жа Яна і надалей дапамагае сваім палескім дзецям, паказвае ім Дарогу, Праўду і Жыццё, вядзе да Хрыста.


Касцёл у Лельчыцах.



DWÓR DERESZEWICZE



Położone w środku pow. mozyrskiego, mniej więcej w połowie drogi między Mozyrzem od wschodu a Pińskiem od zachodu, obszerne dobra dereszewickie rozciągały się w kierunku północ – południe, nad obydwoma brzegami szeroko w tym miejscu rozlanej rzeki Prypeć. Prawdopodobnie wraz z niedalekim Petrykowem było to dawne dziedzictwo Chodkiewiczów, które jako ich fundacja, dostało się jezuitom. Po kasacie zakonu w 1773 r. majątki ich nominalnie przeszły na rzecz Komisji Edukacji Narodowej, faktycznie jednak znaczna ich część dostała się w ręce likwidatorów. W gronie ich był prezes Komisji Rozdawczej Litewskiej, biskup wileński Ignacy Massalski. On właśnie przejął dla siebie klucz dereszewicki. Sukcesorką księdza biskupa została jego bratanica, córka Józefa Adriana i Antoniny z Radziwiłłów – Helena z Massalskich. Helena w początkach XIX w. wyprzedała wszystkie swe majętności i na stałe osiadła w Paryżu. Dereszewicze nabył wówczas Antoni Nestor Kieniewicz (zm. ok. 1822), sędzia ziemski mozyrski, a z czasem także podkomorzy nowogródzki, żonaty z N. Odyńcówną.

Kieniewiczowie, pieczętujący się herbem Rawicz, byli szlachtą mało dotąd znaną i niezbyt zamożną, osiadłą głównie w Pińszczyźnie i w Nowogródzkiem. Jedną z niewielkich posiadłości Kieniewiczów, po uwłaszczeniu obejmującą ok. 160 ha, był Darew w pow. nowogródzkim. Właśnie z Darewa wywodził się Antoni Nestor Kieniewicz.

Opuścił on majątek rodzinny i prawdopodobnie za spłatę otrzymaną od rodzeństwa, a także za posag żony kupił Dereszewicze, w tym czasie zapewne znacznie mniejsze od późniejszych. Przed 1917 r. cały kompleks obejmować miał bowiem powierzchnię 60000 dziesięcin, głównie jednak lasów i nieużytków. W posiadaniu potomków w linii męskiej Antoniego Nestora Kieniewicza, pozostawały Dereszewicze, doskonale z czasem zagospodarowane, aż do traktatu ryskiego.

Feliks Kieniewicz (1802 – 1863), poseł na sejm w 1831 r., naczelnik powstania powiatu mozyrskiego, około 1825 r., opodal wsi Dereszewicze, na lewym stromym i wysokim brzegu Prypeci rozpoczął budowę dworu, której jednak nie dokończył, gdyż po upadku powstania zmuszony był emigrować za granicę. Dopiero w 1857 r., korzystając z amnestii powrócił do kraju i osiadł

w Mozyrzu. Rozpoczęty przez Feliksa dwór wykończył po dziesięciu latach jego brat Hieronim (ok. 1797 – zm. 1884), chorąży mozyrski żonaty z Katarzyną Horwatt, który ratując dobra od konfiskaty, wykupił Dereszewicze. Doprowadził on do końca nie tylko budowę domu, ale też założył wokół niego piękny park. Wzniósł poza tym w jego obrębie kaplicę z przeznaczeniem podziemi na groby rodzinne.

Spadkobiercą Hieronima Kieniewicza sen. był jego syn, także imieniem Hieronim (1830 – 1911), marszałek szlachty pow. mozyrskiego i członek organizacji "białych" w 1863 r., żonaty z cioteczną siostrą, Jadwigą Horwattówną z Barbarowa. W początkach XX w. dobra dereszewickie obejmowały dwa wielkie, uprzemysłowione majątki, zarządzane wspólnie przez dwóch synów marszałka: Dereszewicze, w których mieszkał Antoni Kieniewicz (1877 – 1960) i dokupiony ok. 1839 r. Bryniów, siedziba Hieronima Kieniewicza (1866 – 1925), żonatego z Adelą Jodko-Narkiewicz, także późniejszego działacza społecznego.

Dwór dereszewicki, zwrócony frontem ku północy, noszący cechy późnego klasycyzmu, wzniesiony został z drewna, na rzucie prostokąta. Był parterowy, w trójosiowej części podwyższony o piętro, w całości oszalowany pionowo deskami, nacinanymi poziomo w ten sposób, aby sprawiały one wrażenie kamiennej rustyki. Zarówno w jego elewacji frontowej, jak i ogrodowej, dominowały trzy akcenty: portyk na osi głównej oraz płytkie ryzality na osiach skrajnych. W elewacji frontowej klasycystyczny portyk tworzyły cztery, ustawione w jednym rzędzie kolumny toskańskie, wykonane z cegły i otynkowane.

Z czasem doszło do jeszcze większego naruszenia symetrii. Wzniesiony przez Antoniego Nestora Kieniewicza budynek dla rozrastającej się rodziny okazał się bowiem w końcu zbyt ciasny. Wobec tego w 1890 r. marszałek Hieronim Kieniewicz po wschodniej stronie dworu dobudował również drewniane, pięcioosiowe skrzydło mieszkalne. Wystrój plastyczny tej części poszerzonego dworu, podobnie jak łączącej go ze starszą częścią trójosiowej galerii, dostosowany został do wystroju domu pierwotnego. W efekcie takiej rozbudowy, dom zyskał wprawdzie szereg dodatkowych pomieszczeń, zatracił jednak swój dawny charakter ładu i harmonii.

Jeśli jednak od strony zewnętrznej siedziba Kieniewiczów zasługiwała jedynie na miano zamożnego dworu, to niektóre jej wnętrza, ze względu na ich wystrój plastyczny, nosiły już wyraźne cechy pałacowe.

Do dworu wiodła długa aleja wysadzana biełodrzewami i włoskimi topolami. Przed bramą wjazdową okrążała ona oryginalną studnię, nakrytą daszkiem, ustawionym na słupach. Między bramą a portykiem domu rozciągał się wielki kolisty trawnik, otoczony żywopłotem ze strzyżonej spirei. Rosły na nim akacje i amerykańska sosna, a z boku, w pobliżu domu – grupy potężnych świerków. Po wschodniej stronie gazonu stał wydłużony, parterowy budynek, także drewniany i dziewiętnastowieczny, kryty czterospadowym dachem z gontów. Mieścił on kuchnie, spiżarnie i mieszkania służby. Po stronie zachodniej dopiero w 1900 r. wzniesiona została jednokondygnacyjna oficyna, świetnie zharmonizowana z architekturą głównego domu mieszkalnego, a nawet sprawiająca wrażenie budowli starszej od niego.

Przestrzeń między domem a brzegiem Prypeci pokrywał taras ziemny, rodzaj wirydarza kwiatowego, poprzecinanego ścieżkami i grzędami rezedy, petunii, werweny, goździków i róż szlamowych. Z boku, po prawej stronie rósł okrągły kasztan, otoczony dokoła ławeczkami.

Park krajobrazowy o powierzchni ok. 8 ha, zapoczątkowany przez Hieronima Kieniewicza sen., a rozszerzony i szczególnie pielęgnowany przez jego synową, Jadwigę Kieniewiczową, ciągnął się stosunkowo wąskim pasmem długości ok. 1 km pomiędzy traktem prowadzącym z Turowa do Petrykowa a urwistym brzegiem Prypeci i jej starą odnogą.

Prawie na końcu parku, nad samą Prypecią, stal drewniany, piętrowy pawilon, w dolnej części obudowany, w górnej nakryty spiczastym dachem, wspartym na biało lakierowanych kolumnach, zw. "belwederem". Podziwiać stąd można było głównie szeroko rozlane koryto Prypeci, jej odnogę i sosnowy lasek, rosnący na pagórku. Po tej samej stronie, ale niemal przy trakcie, leżał cmentarz rodzinny Kieniewiczów, z kaplicą wzniesioną w połowie XIX w. w stylu neogotyckim o wyniosłej fasadzie, zwieńczonej trzema szczytami.

Jesienią 1917 r. dwór dereszewicki został splądrowany i obrabowany. W 1918 r. doprowadzony do stanu używalności, choć w innym charakterze, istniał jeszcze w okresie międzywojennym. W czasie drugiej wojny światowej został całkowicie zniszczony. Ocalały jedynie szczątki parku.

Według: **Roman Aftanazy**
Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej. Tom II
Wydawnictwo Ossolineum.
Wrocław. 1992

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY SENTYMENTALNEJ LESZKA KIENIEWICZA

OBJAZD NAUKOWY UNIWERSYTETU DRUGIEGO WIEKU

Pamiętam, że Djakow przywiózł Dziadziusiowi radziecką mapę Dereszewicz i okolic. Widziałem dobrze, bo Djakow siadał do tej samej kolacji co ja. Mapy tej dotąd nie odnaleziono, choć wydaje mi się, że byłem wtedy grzeczny. Dereszewicze są też na największej mapie Środkowej Europy jaką kiedykolwiek widziałem. Jedna taka wisi gdzieś tutaj. Druga znajduje się w gabinecie przewodniczącego Komisji Spraw Zagranicznych Senatu.

Do Dereszewicz pojechałem jako pierwszy z rodziny od 89 lat. To było strzelenie bramki kontaktowej pamięci. Dlaczego dopiero teraz, a nie 20 lat wcześniej? Każdy samochód wydawał się albo za dobry, albo za słaby. Takie nożyce strachu przed powrotem piechotą.

Łatwo było mnie namówić na wycieczkę mazowieckiego PTTK. Trasa jak na objazd II roku, ułożona według sugestii stałych bywalców. W gruncie rzeczy dwa dni były ustawione przez wielbicieli "Nad Prypecią, dawno temu..." Skład wycieczki był nastrojony nostalgiczno-patriotycznie, ale wydaje mi się, że poza nami nie była to pielgrzymka do stron rodzinnych. Raczej uzupełnienie Korony Kresów o miejsca tym cenniejsze, że rzadziej uczęszczane. W autokarze jeśli nie byliśmy, to robiliśmy z żoną za najmłodszych.

Turnus "Nie tylko Polesia czar..." to nie były tylko Dereszewicze. Przez Słuck i Bobrujsk znaleźliśmy się w aż Mścisławiu. Stąd na południe aż po Homel i następnie na Zachód. Wjechanie od wschodu miało swój smak, bo dopiero dzięki temu zrozumiałem, że twarde Kresy pozbawione są nacjonalistycznego podtekstu.

W Homlu w ramach imprez dodatkowych płynęliśmy statkiem po Soży. Rzeka z gatunku "pierwsze słyszę", ale rejs bardziej przemawiający niż potem górnym odcinkiem Prypeci. Po dwóch godzinach klimaty z Czechowa.

W pakiecie znalazł się także Mozyrz i cały jeden dzień Horwattowski, a także kawał Białorusi Zadnieprzańskiej. Renesansowa synagoga w Bychowie zadaje w sumie kłam teorii, że granice Europy wytyczają same tylko kolegia jezuickie, jak w tym przypadku w Mścisławiu i Jurewiczach. Monastyr św. Mikołaja w Mohylewie to z kolei prawosławny barok.

W Narowli doszedł mnie sygnał o Horwattowskich widelcu i pieczęci.

W muzeum nie starczyło refleksu, by kupić – ot tak, ze ściany – mały krajobraz poleski. Poszedł w ręce jednej pani bywałej w świecie. Miejscowy artysta-monopolista miał zresztą w tej samej sali wystawę, ale pytany, czy nie ma prac powstałych na plenerach bardziej w górę rzeki, gotów był jedynie przyjąć zaliczkę na cokolwiek sobie zażyczę. To było zresztą jedyne muzeum nie przyrodniczo-ludowo-rewolucyjne. Wisiał tam obrazek "Ławeczka pana Horwatta". W takim fotelu Memnona można sobie z kimś pomilczeć do rzeki.W Mozyrzu – teraz mówi się w Mozyrze – droga na Górę Zamkową za stroma, by wylać asfalt. Po tych kamieniach zatem musieli jechać pradziadowie na sejmik powiatu. Bo nie sejmik powiatowy. Teraz to jest wciąż ulica Dzierżyńskiego. W Mozyrzu kamienica, w której mieszkali Bezdomni. Prowadzi do niej opadającym łukiem ulica, po której Dziadziuś zjeżdżał na sankach. I gdzie bobków w kieszenie nazbierał. W krypcie kościoła (obecnie cerkwi) jedyne na Białorusi mauzoleum ofiar NKWD. Czy istnieje światowa sieć muzeów czaszek?

Dereszewicze leżą pomiędzy rzeką z holownikami i koleją żelazną do Homla. To była, mówiąc składnią francuskich mediów (czyli nominativus duplex), lokalizacja marzenie. Podobnie jak powojenne inwestycje Pradziada. Prypecki Park Narodowy chyba więcej niż w połowie musi składać się z Puszczy. To także bardzo przemawia. Za Petrykowem iglasty las choć młody, był miejscami całkiem gęsty. Uznałem, że pora wystąpić wobec współpasażerów jako gospodarz. Przy pomocy czekoladek z kliukwą odkupiłem, jak sądzę, nieprzynoszenie przez dwanaście lat cukierków do szkoły. Pogoda była słoneczna, ale zapas cierpliwości towarzyszy oceniałem na jakąś godzinę nad celem. Musiałem utrzymać uwagę autokaru na niczym.

Tablica DERESZEWICZE i nic. Bo to nie była ta tablica, o którą chodzi. Ważne natomiast, że uniknęliśmy kontaktu ze wsią o tej samej nazwie. Właściwy skręt wskazała pani Gizela Chmielewska z Bydgoszczy. Dalej orientowaliśmy się już na starodrzew.



STANOWISKO ARCHEOLOGII PAMIĘCI DERESZEWICZE-PARK

Obszar wykopalisk zaczyna się od tablicy. Takiej jak te informujące o inwestorze zastępczym. Blaszana, poobijana i bogata w pokrętną treść, sprowadzającą się do tego, że nie wolno. Pamiatnik kultury ohraniajetsia zakonom. Wodoohrannaja zona. Na dole dopisek flamastrem: "Pry Poliakach, pry Niemcach, pry komunistach – było można?"

Za tablicą, jak to w zonie, wszystko wydawało się już inne. Najpierw ponad chaszcze wystaje prosty drewniany krzyż. Obok starannie obmurowane groby. Małe i duże. Ciotki i dzieci. Stojąc przed kaplicą napotkałem wzrok Jarosława Komorowskiego. Strażnik grobów kresowych skinął przyzwalająco głową. Wszedłem po schodkach ponad łańcuchem. Poczułem się jakbym wstąpił na czerwony dywan.

Gdy w końcu docieramy do rzeki niczym w powieści Siesickiej, zjawił się miejscowy nauczyciel, Aleksander Pawłowicz Paszuk, który miejscem się opiekuje i jako wnuk współpracującego z dworem stelmacha z Łopczy zna całą tradycję ustną.

Obecny układ traktów wewnątrz parku nie pokrywa się z historycznym. Świerki głównej alei poszły na niemiecką przeprawę. Pan Paszuk posadził w ich miejsce szkółkę. Od tablicy gruntówka prowadzi do pomnika poległych marynarzy i alei sławy. Dzięki czynowi społecznemu zainicjowanemu przez Paszuka status Bryniowa i Dereszewicz na mapach turystycznych i samochodowych został utrzymany. Jest na nich znak, że jest tam pomnik, że coś jest. Sama aleja, założona przez miejscowych pionierów w 1980 roku, przypomina sad. Drzewka pobielone wysoko. Tego samego łańcucha, słupków i farby starczyło na zabezpieczenie także naszych grobów i fundamentów rodzinnej kaplicy. Nie widziałem tak starannie umocnionych grobów ani w Pińsku, ani w Mohylewie.

Aleksander Paszuk rozkręcił się i leciały same anegdoty. Pan Stanisław Poczobutt tłumaczył. Niestety, zabrakło refleksu by włączyć dyktafon w telefonie. Opowieść o tym, jak Antoni Kieniewicz godnie dał odpór rekietnikowi, owszem, podrzucając mu dyskretnie cielaka na wóz, brzmi dziś jak epizod z dobranocki o Rumcajsie. Co jeszcze przechowała wdzięczna pamięć? W 1908 roku 40 chałup spaliło się we wsi i pogorzelcy mogli sobie za darmo wyrąbać w lesie, by się odbudować. Słowin – osada ze Śląska. O mazurskiej już jednak nie słyszał. Złodziei gospodarz Dereszewicz zawstydzał. Do każdego bez wyjątku zwracał się per Wy. Innym znowu razem wiedział, że szerokie skiby po to były, aby można się w nich było z dziewczyną schować. Kolejki z przystani do Kopcewicz Niemcy nie zdążyli w 19" zdemontować. Należy rozumieć, że zdemontowali ją Rosjanie.

"Wisła", czyli dom warszawski na Czerwonego Krzyża, była tak blisko rzeki. Olśnienie, że "nad Prypecią" to nie jest tylko metonimia Dereszewicz. W moim życiu nigdy nie było dotąd rzeki. Zasilana wodą z melioracji Dereszewiczanka migocze pomiędzy liśćmi jak Białka na Bukowinie. Ale wielka woda stoi jak guma arabska. Miodem płynąca. Nie zmąciłbym jej. Trzeba się było wykąpać. Nie przyszło mi to do głowy. Przeżegnałem się z wody.

Z prawej ujście Dereszewiczanki i dawna przystań. Z lewej, wyjaśnia Aleksander Paszuk, leżą Żydzi z Petrykowa. A więc wszystko tu jest. Jak w Ziemi Świętej, jak przy pierwszym brodzie od morza. Jesiotry z czarną ikrą dopływały pod samą kapliczkę. Ikonę – mówi pan Aleksander. Brakuje tylko głuszców zlatujących się na barć na sąsiednim dębie. Albo klonie.

Od dębów marszobieg za Paszukiem aleją, tak jak była naprawdę, czyli na przełaj przez pokrzywy. Ogon towarzyszy wykrusza się. Brodząc w krzakach zwiedzamy miejsce po tygrysie. Nie okopał się w miejscu grzybka dla dzieci. »»»

»»» Ani przy klombie z barwinka, gdzie urządzano pokazy siłaczy. [...] Paszuk wie, gdzie było okrągłe, a gdzie owalne oczko. Tutaj gazon angielski – oświadczył nagle – skrzyżowanie alej do kaplicy i do szklarni. Barwinek taki sam jak pod oknem gościnnego pokoju na Zaciszu. Nie udało się dowieźć żywej rozsady.

Docieramy na zarośniętą polanę, gdzie stał dwór. Pan Paszuk opowiada, że na zarosłej samosiejką polanie jako komsomolec grał w piłkę i przyprowadzał tu dziewczyny. Co czułem słysząc, że w 1920 roku we dworze kwaterowali Woroszyłow i Stalin? Wszystko da się przedstawić jako pozytywną narrację. Pozytywną, czyli taką, którą można sprzedać w tygodniku ilustrowanym. Niech się schowa plebania w Wyszkowie. Wszedłem na ostatnią dziką jabłonkę nad brzegiem, którą widać na zdjęciu z 1913.

Czy mogłem nie wykonać zaproponowania pieniędzy? Na pożegnanie Paszuk przyniósł szyszki ze świerków, których pogłowie odbudowuje.

BRYNIÓW

Trasę udało się zrealizować w taki sposób, by przejechać przez całe dobra, na boku pozostawiając jedynie Kopcewicze. Wszystko wskazuje na to, że Bryniów to jakieś przedmieście Sierpa i Młota. Z programu wycieczki wynikało, że dwór w Bryniowie jeszcze stoi. Jednak okazało się, że program został napisany na wyrost. Pobożne życzenia miały zapewnić właściwą trasę. Na miejscu dowiedzieliśmy się, że Bryniów został spalony już przez bolszewików. Nie wiem, czy to sprzeczna informacja z relacją Putramenta, który go jeszcze widział. Ktoś z towarzyszy podróży ćwiczy chwyty reportażowe: A Państwo jak się nazywali? Dobrzy byli, ale nie mieli dzieci. Jest w tym jakieś zdziwienie, ślad dawnego współczucia, które przeszło



w zadumę. W każdym razie nie ma żadnej ulgi z powodu braku dziedzica. Nikt ponuro nie powiedział "Spodziewałam się tej wizyty". Historia tędy przeszła i czas po niej stanął, dając pole pamięci.

Dom pani Białostockiej stoi na fundamentach dworu. Mąż umarł po tym jak usuwał skutki Czarnobyla. Czworo dzieci jest w Szwecji. Mały francuski samochód w nieutrzymanym obejściu. Trudno ocenić jak dwór był zorientowany w stosunku do drogi, która oddziela dziś posesję od stawów. Ponownie pomnik bohaterów z drugiej wojny światowej. Polski ksiądz z Austrii przyjeżdża do kościoła z białej cegły w każdą sobotę. [...] Wieczorem odbywają się polskie modlitwy. Gdybyśmy o naszej wizycie uprzedzili, to urządzono by imprezę przy ognisku.

Fundamenty muszą być i w Dereszewiczach. Może butelka starki by się jeszcze gdzieś znalazła. Do głowy przychodzi mi próbka rodzinnego myślenia: gdybym zaczął kopać, to znalazłbym niewybuch. Albo niewypał. Kawałek muru nad rzeką należeć musiał do przystani.

ARCHEOLOGIA PAMIĘCI

Tymczasem blaszana stela z Dereszewicz wciąż przemawia. "Za Polaków", czyli – w XIX wieku. To by się zgadzało. Polskość najbardziej jest widoczna, gdy Polski nie ma. Przypomina się kwestia z filmu Sergio Leone "Dawno temu w Ameryce": In Kishyniow, Poland. Dereszewicki dwór formalnie nigdy w Polsce nie stał. A jednak była to najprawdziwsza Polska właśnie. Tak jak cottage w Old Scone. Przy okazji, skoro mowa o pamięci: tę scenę wciąż pamiętam inaczej niż na DVD. Gdy po raz pierwszy widziałem ten film w kinie Kijów w Krakowie, był to dialog Maxa i Noodles'a na ulicy: "Skąd jesteście?

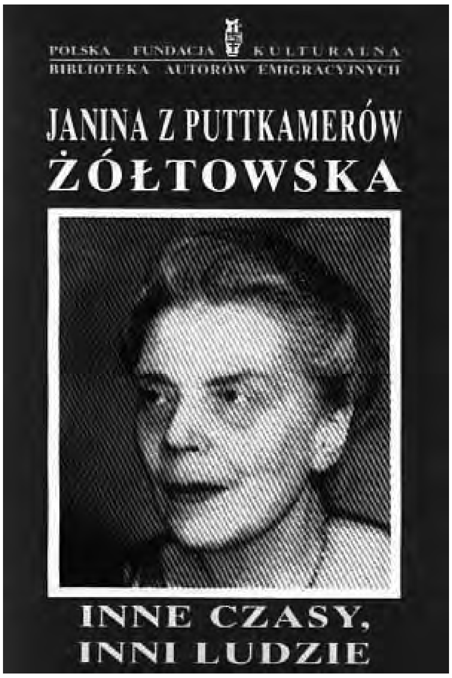
Z Kiszyniowa. A gdzie to jest?! A bo ja wiem? Gdzieś w Polsce!" Film wyświetlano równocześnie także pod tytułem "Zdarzyło się w Ameryce". Może więc w Krakowie zobaczyłem inną wersję, nie reżyserską?

Zdolność wspominania to jedyna rzecz, która poprawia się nam z wiekiem. Dziś w jednym życiu przeżywamy kilka żyć. To właśnie szok przyszłości, wywołał napisanie "Wspomnień zamierzchłej przeszłości". Historia jest jedyną poza fizyką nauką o czasie. Poczucie czasu jest naszym głównym narzędziem. Historyk nie jest od pamiętania. Smak życia towarzyszy nam póki zachowujemy zdolność generowania wspomnień. Czyli tego, co niepowtarzalne. Jedno, co wiemy o historii na pewno to, to że się nie powtarza. Jedno co wiemy o wspomnieniach to, to, że chcemy się nimi dzielić. Wspomnienia muszą zachować dendrologiczną ciągłość. Wtedy mamy już pamięć.

Moja płyta pamięci zachowała spacer po księżycu. I wiem, że byłem autorem bliskiego spotkania III stopnia dla emerytowanego nauczyciela wiejskiej szkoły na zapadłej białoruskiej prowincji. Jestem mu winien rodzinne zdjęcia do gazetki szkolnej.

Leszek Kieniewicz,
Relacja z wycieczki
na Białoruś latem 2009 r.

"INNE CZASY, INNI LUDZIE"



Drodzy Czytelnicy, dzis w rubryce "Lektura dla Ciebie" pragniemy zaprezentowć Państwu fragment niezwykle fascynujących pamiętników autorstwa Janiny z Puttkamerów Żółtowskiej. Książka "Inne czasy, inni ludzie" została wydana w Londynie w 1998 roku nakładem Fundacji Tadeusza Walczaka *w Published by Polish Cultural Foundation Limited, 63 Jeddo Road, London W12 9ED.* Publikowane dziś fragmenty pamiętników odtwarzają dawne życie dworu Dereszewicze i jego mieszkańców, atmosferę, obyczaje, dzwięki i barwy innego świata, tej na zawsze straconej polskiej kresowej Atlantydy. Tam, w Dereszewiczach, pozostały najszczęśliwsze lata autorki: lata beztroskiego, dostatniego dzieciństwa wśród licznej wielopokoleniowej kochającej rodziny, w otoczeniu malowniczej poleskiej przyrody . Zapach Prypeci , poleskich łąk i lasów. *" Krajobraz i dwór tworzyły dla mnie ramy świata, który wydawał się doskonały. Dziecinna moja miłość do Dereszewicz polegała na bezwzględnym zadowoleniu z tego, co było. Pobyty w Derewszewiczach łączyły się z pełnym radości używaniem czarów i zalet ukrytych w przyrodzie. Zawsze, i to od dziecka, czułam, że uczestniczę w czymś, co może być stracone."*

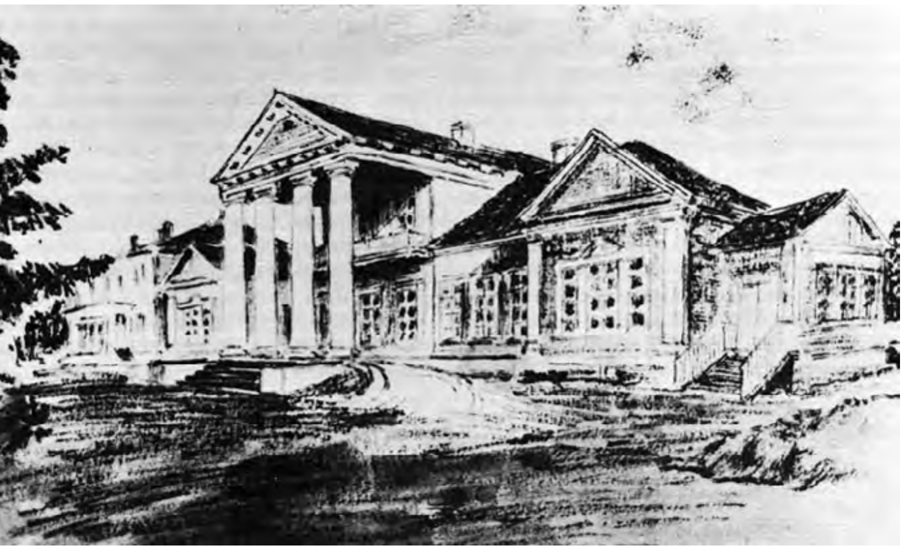
JANINA Z PUTTKAMERÓW ŻÓŁTOWSKA /1889-1968/

Urodziła się 27 czerwca/9 lipca 1889 r. w Wilnie, była córką Wawrzyńca Puttkamera i Zofii z Kieniewiczów, prawnuczką Maryli z Wereszczaków Puttkamerowej. Odebrała staranne wychowanie domowe, oparte na wielojęzycznych poważnych lekturach, wzbogacanych w toku podróży do Włoch. Brała lekcje rysunku i chętnie uprawiała malarstwo pejzażowe. We wrześniu 1910 r. wyszła za mąż za Adama Żółtowskiego. Otrzymała wówczas od ojca leśny majątek Rajcę w pow. nowogródzkim. Tu zaskoczyła ich oboje wojna; 2 lata spędzili pod okupacją niemiecką, na pierwszej linii frontu. W 1921 r. osiadła w Poznaniu, gdzie mąż jej objął katedrę na Uniwersytecie. Prowadziła salon intelektualny, w którym spotykał się świat ziemiański i profesorski, gościły odwiedzające Poznań sławy europejskie. Parała się piórem; jej powieść obyczajową pt. "Ballada", sytuowaną na Kresach przed I wojną światową, drukował w odcinku w 1925 r. "Dzień Polski". Pisała pod ps. Jan Rajecki. Zamieszczane w konserwatywnej prasie recenzje literackie sygnowała J.R.

Po śmierci ojca w 1923 r. odziedziczyli majątki: Bolcieniki w pow. lidzkim i Korelicze z przyległościami w pow. nowogródzkim. Nie zajmowała się administracją dóbr.W Koreliczach z jej inicjatywy założone zostało duże gospodarstwo rybne. Zabiegała o erygowanie w Koreliczach parafii rzymskokatolickiej i przyczyniła się do wystawienia tamże tymczasowej kaplicy. W Bolcienikach spędzała lato, na stałe zamieszkali tam w 1933 r. gdy mąż jej utracił katedrę w Poznaniu.

Po 17 września 1939 r. wydostała się wraz z mężem i matką, przez Kowno i Szwecję do Anglii. Resztę życia spędzili w Londynie. W 1949 skreśliła pamiętniki, poświęcone życiu obyczajowemu i umysłowemu ziemiaństwa w różnych częściach Polski. Początkowa ich partia, po rok 1909, ogłoszona została drukiem pt. "Inne czasy, inni ludzie" / Londyn, Alma Book 1959/. Maszynopis dalszej części, doprowadzonej do 1921 r. pozostaje w ręku rodziny. Fragmenty wspomnień, jak również recenzje z obcojęzycznej literatury, zamieszczała w londyńskich "Wiadomościach". Zmarła bezdzietnie w Londynie, w początku lutego 1968 r., pochowana obok męża. Dział rękopisów Biblioteki Narodowej w Warszawie przechowuje jej obszerne dzienniki sięgające lat panieńskich, aż po rok 1932 – celnie skreśloną kronikę rodzinną, obyczajową i polityczną, wartościową zwłaszcza dla okresu 1917-1932.

Stefan Kieniewicz



OBYCZAJE DERESZEWICKIE – BOŻE NARODZENIE – WIELKANOC – 4 SIERPNIA – PRZEDSTAWIENIA – GOŚCIE – DOMOWNICY

Krajobraz i dwór tworzyły dla mnie ramy świata, który wydawał się doskonały. Dziecinna moja miłość do Dereszewicz polegała na bezwzględnym zadowoleniu z tego, co było. Pobyty w Derewszewiczach łączyły się z pełnym radości używaniem czarów i zalet ukrytych w pogodzie. Zawsze, i to od dziecka, czułam, że uczestniczę w czymś, co może być stracone. Mój dziadek i moja babka grali dla mnie rolę dobrotliwych bóstw; ciotki, wujowie i kuzynki istot jeśli nie wyjątkowych, to odrębnych od innych ludzi. Uczestniczyłam w każdej rozmowie, chciwie łowiłam każdą zasłyszaną opinię. Wcale nie idealizowałam mojej rodziny. Pojęcie zła i dobra nie grało żadnej roli w jej ocenie. Moi krewni pociągali mnie, gdyż nie byli nudni, i jeśli coś męczyło mnie w ich towarzystwie, to różnica wieku i moja zależność od różnych prawideł bolcienickich, czyli przeszkoda w zabawie i używaniu. Patrzyłam na nich jak na bożków z Olimpu w podręcznikach mitologii. To, że się kłócili, gniewali, zdradzali nawzajem i mieli wiele ludzkich przywar, nie odejmowało im jednego bezcennego przywileju, swobody w działaniu. Wszystkiego, czego już zaznali, bogactwa, podróży, szczęścia, strojów, mogłam się dopiero doczekać. Ponieważ psuli mnie i dogadzali mi, więc w towarzystwie Dziuni i cioci Leli czułam się prawie dorosła.

Obyczaje dereszewickie splatały się z porami roku i jak one powtarzały. Można było przewidywać to, co nastąpi, i cieszyć z tego, że to jeszcze wróci.

Kiedy po przyjeździe z moją matką przywitałyśmy się z czekającymi na nas dziaduniem, babunią, ciocią Klosią i Dziunią, jadłyśmy śniadanie podane w czerwonym salonie, przy okrągłym stole, na drewnianej, ciemnej tacy, oprawnej w srebrną ramę. Składało się ono z herbaty, plasterków szynki, masła i świeżych bułeczek z kminkiem i odrobiną topionego masła na wierzchu. Potem prowadzono nas, zależnie od rozmieszczenia gości, do pokoju na dole albo na górze nowego domu. Duży, obity granatowym papierem, z oknem na dziedziniec, zwykle dostawał się w udziale cioci Isi, a nam mniejszy od rzeki albo jego odpowiednik na parterze. Pokoje zimą były ciepłe, ale prowadząca do nich galeria i sala jadalna lodowate. Wszędzie pachniało drewnem, czy od woskowanych posadzek, czy od palących się kłód w piecach. Moja babka asystowała naszemu myciu się za parawanem i niezmiernie ważnej czynności rozpakowywania. Z rozmowy dowiadywałam się o tym, co się dzieje, i o tym, co będzie. Zwykle Dziunią w pierwszym zdaniu dawała mi klucz do sytuacji, co zrobiła ciocia Lela albo Tonio, co powiedziała ciocia Isia. Najlepiej utkwiła mi w pamięci taka chwila, zaraz po przyjeździe, już po ślubie Toni, kiedy panna Dziekońska malowała portrety babuni i Madzi. Cały dom zdawał się być tylko zainteresowany malarstwem. Dziunia zaprowadziła mnie do rogowego pokoju na piętrze i pokazała żółtą różę wymalowaną przez siebie pastelami. Za oknem srebrna smuga światła tańczyła na wodzie.

Wydobywszy z kufrów najnowsze suknie i wystrojone w nie, przechodziłyśmy z Mamą do czerwonego salonu, gdzie przewlekle czekano na obiad.

Ciocia Isia mniej więcej o tej samej porze co my przyjeżdżała od strony Mińska. Przyjęcie jej było podobne do naszego, ale może otoczone jeszcze większymi względami. Zdawała się nie zmęczona drogą i już od południa ładnie ubrana i pachnąca. Siedziała za stołem, na sztywnej kanapie pod ścianą, kładąc obok siebie złotą papierośnicę. Na górze, przy rozpakowywaniu jej kufrów, panna służąca wyjmowała różne cenne przedmioty, a dla nas miłe prezenty.

W owych czasach strojono się o wiele więcej niż dzisiaj. Noszono suknie tak zwane wizytowe i powłóczyste. Moda przed rokiem 1900 wzorowała się na stylu Ludwika XV. Spódnice były szyte w falbany i szeleściły jedwabnymi podszewkami, staniki ściśnięte w pasie z bufiastymi rękawami, ubrane koronkami, futrem, haftami. Ruszano się o wiele mniej, a szczególnie w Dereszewiczach żadna kobieta nie uprawiała sportów. Ciocia Klosia występowała w hersowskiej sukni z cienkiego, pastelowego sukna, wypracowanej w zaszewki i przybranej gipiurową koronką. Długa spódnica przeszkadzała jej w ruchach, więc brała ją pod rękę unosząc znad ziemi.

Ciocia Lela, przyjeżdżająca z pobliskiego Bryniewa, wsiąkała do domu niepostrzeżenie, ale prawie zawsze zastawało się ją na miejscu. Z rana tak była

zajęta czytaniem, dykcjonarzami, pisaniem dziennika, a potem fryzurą, upinaną na jej głowie przez pannę służąca, że do salonu zjawiała się w ostatniej chwili przed obiadem. Było to zawsze wejście ukartowane z góry, jak aktorki na scenę. Raz skromna, cicha, obrzucała zebranych wejrzeniem powłóczystym, ciemnoniebieskich oczu; innym razem wchodziła głośno i ostentacyjnie dla pokazania nowego stroju. Wszyscy obecni panowie zaraz musieli być wciągnięci w jej orbitę. A jeśli gra się nie udała i nie było pola do popisu, siedziała na boku i tylko od niechcenia dorzucała do rozmowy zdania: Non? Vraiment? – Cen'est pas possible?

Obiad uważałam w dzieciństwie za nudną uroczystość. Składał się on zwykle z zupy z pasztecikami, pieczystego, drugiego mięsa z drobiu albo zwierzyny i słodkiego. W wielkie uroczystości poprzedzano go zakąskami. Bryniew, Łoszyca, nawet Bolcieniki miały doskonałych kucharzy, ale pod względem kuchni ambicje mojej babki nie dorównywały jej gospodarskiej umiejętności. Siedząc u szczytu stołu pytała się tylko ukradkiem: czy Rucio je? Wuj Hieronim, uśmiechnięty i milczący, tylko kosztował potrawy i odsuwał talerz. Przy stole najbardziej honorowany gość siedział po prawej stronie mojej babki. Obok, za węgłem mój dziadek, obok niego milcząca ciocia Klosia, naprzeciwko dziadka ciocia Isia, przy niej zięciowie albo szwagrowie, dzieci i guwernantki od strony kredensu.

Jeżeli zjazd wypadł w zimie, to po skończonym obiedzie, przy roznoszeniu czarnej kawy czy herbaty, już zapadał zmrok i mało zostawało czasu na przebranie się na codzienny spacer po parku albo po drodze wzdłuż sadu, prowadzącej do Hołubnicy. Trudno jest, po dwóch wojnach światowych i krwawych rewolucjach, oddać uczucie bezpieczeństwa, jakie panowało na pustym i zapadłym Polesiu. Okna nie miały okiennic, żadne drzwi dworu prowadzące na zewnątrz nie były zamknięte na klucz. Nie pamiętam złych psów ani wzmianki o stróżu nocnym. Szło się na spacer o zmroku, po śniegu, pustą drogą albo pustym parkiem. Spokój i cisza zalegały wielkie przestrzenie łąk, dębów, zmarzniętych pól i lasów. Może ostatnia smuga zachodu przeglądała przez drzewa i gasła, a wtedy życie, jak gdyby serce tych przestrzeni, koncentrowało się we dworze, w którym powoli zapalały się nieliczne lampy. Nieduża i mroczna świeciła w przedpokoju, dwie w czerwonym salonie, jedna w błękitnym. Noc ogarniała powoli wszystko inne. Przez galerię przechodziłam zawsze szybko, bo mi się wydawała pełna tajemniczego i groźnego niepokoju, i dopiero uspakajałam się zapalając drżącymi rękami świecę w gościnnym pokoju.

Jakże opisać urok dwóch świec w srebrnych lichtarzach? Urok głębokich cieni, jakie od przedmiotów padały na ściany, i nieprzeniknionych mroków czających się po kątach? Mając w świeżej pamięci śnieg i zimę spaceru, tym lepiej się odczuwało ciepło zamkniętego pokoju. Przy takich dwóch świecach, jak mogłam, czytałam, co mi do rąk wpadło, albo poprawiając włosy przed lustrem, myślałam o wszystkich osobach obecnych w domu. Współżycie z nimi było dla mnie wysiłkiem tak wielkim i tak wyczerpującym, że potrzebowałam chwili samotności, aby odpocząć i wrócić do równowagi.

Za wczesnych lat mego dzieciństwa wszyscy schodzili się jeszcze na ranne śniadanie do sali jadalnej. To grono rodzinne najżywiej utkwiło w mojej pamięci w połączeniu z pogodą wiosenną albo letnią. Moja babka i ciocia Kamilka Mikulska zajmowały szczyt stołu od okna. Siedziały w szlafrokach z batystu w kwiaty, przybranych wstążkami i koronkami. Moja babka dawała do pocałowania na powitanie odwróconą dłoń, ciocia Kamilka długą, białą, delikatną rękę ozdobioną pierścionkami. Mój dziadek, który jadł bardzo mało, odwracał krzesło w stronę okna i bystro śledził za czymś w głębi dziedzińca przy stajni albo za ruchem za bramą. Okno było otwarte, salę jadalną zalegała świeżość ranna pokoju zwróconego ku północy, ale cały dziedziniec był już zalany słońcem, już dach zaczynał się rozgrzewać, podczas gdy przy podmurowaniu i jeszcze w cieniu stado wróbli hałasowało tak donośnie, jak gdyby chciało przekrzyczeć siedzących przy stole.

Tocząca się rozmowa prawie zawsze graniczyła z lekkim podnieceniem. Obie starsze panie, pełne kobiecych zastrzeżeń i uprzedzeń, a równocześnie pełne uwielbienia dla mego dziadka, cichymi protestami przyjmowały jego zbyt szczere czy kategoryczne oświadczenia. Mój dziadek nie lubił jezuitów, gotów był ganić politykę Watykanu (zapewne za ugodowość w stosunku do Rosji), a ciocia Kamilka przywoziła z Rzymu ostatnie ultramontańskie poglądy. Polityka babuni krzyżowała zdecydowaną wolę mego dziadka. Krytyka Horwattów zapalała się sporadycznie, tym bardziej że p. Maurycy z Hołowczyc nie odznaczał się bezinteresownością we wspólnym interesie rektyfikacyjnym. Babunia, czując, że teren jest niepewny, poprawiała ręką uczesanie albo palcem przesuwała po ustach i mówiła: nie ma już moich starych Horwattów, ale to nie oznaczało potępienia, bo Horwattowie pozostali jej faworytami. Kiedyś, w taki ranek letni trafiłam na pierwszą dyskusję o nowej sztuce i wierszach Tetmajera. Ciocia Isia, ubrana jak z żurnalu, i młody człowiek, przyjezdny gość, p. Emanuel Bułhak, bronili poety, podczas kiedy starsze pokolenie wołało, "że jego wiersze nie mają treści i sensu". Jeden z niewyczerpanych tematów dotyczył złych manier i złego wychowania Tyszkiewiczów. Mój dziadek ich nie lubił i swoją antypatię ilustrował anegdotami, zwalczając energicznie opór obu pań; poza tym potępiał szkodliwy wpływ sportów, drwił z tenisa jako wymysłu cudzoziemskiego, gorszył się lekkomyślnością fircyków salonowych, którzy nie skończyli żadnego uniwersytetu, tylko trzy klasy, i to na Pradze. Jako groźne postacie rysowały się też hałaśliwe panny Rakowskie i pani Jakacka, nauczycielka i opiekunka dzieci z Hołowczyc. Wreszcie przy tym »»»

»»» rannym śniadaniu usłyszałam pierwsze sprzeczki o głośną sprawę Dreyfusa. Mój ojciec, ku powszechnemu zgorszeniu, twierdził niebacznie, że był on niewinny, a został wysunięty jako ofiara dla ukrycia nadużyć popełnionych przez innego.

Dziunia i ja starałyśmy się zjeść jak najprędzej nasze śniadanie i wybiec na ganek, gdzie stał pleciony wózek pełen kół, młotów i żelaznych bramek do krokieta. Popychałyśmy go po brukowanym bocznym zjeździe i wyjeżdżały wzdłuż krzaków spirei pod staraj amerykańską sosnę w parku. Na liściach igrało słońce. Pnie drzew otaczały mnie zewsząd, pełne smug świetlnych albo skąpane w cieniu. Wózek podskakiwał na korzeniach, które przerastały drogę, a pod drzewami czerwony i zielony mech pokrywał te same korzenie. W gęstwinie drzew pachniało grzybami. Wysoko pod błękitnym niebem chmary ptaszków prześcigały się w świergocie. Wiedziałam, że dwie godziny upłyną nam na zażartych partiach, w których przeważnie będę pokonana, aż od strony domu ukaże się ciocia Klosia, ażeby Dziunię odwołać na lekcję. Widzę ją zbliżającą się ku nam w tym letnim ogrodzie, w luźnej, jasnolila, batystowej sukni, zamyśloną, pozornie bierną, a tak z młodymi łagodną, że żadne spoufalanie się z nią nie wytrącało jej z równowagi.

Okna pokoju cioci Kamilki były otwarte do południa, a na nich wietrzyły się suknie przywiezione z Wiednia. Przywilejem nas, dziewczynek, było zbieranie kwiatów dla jej bukietu, za który dziękowała, każdą z nas po kolei nazywając mignonette cherie. Moda bukietów nie dotarła jeszcze do polskiego dworu, nie ubierano stołów sali jadalnej kwiatami. Bukiet dla ciocia Kamilki był małą wiązanką składającą się z paru róż, rezedy, heliotropu albo werweny. Mieścił się w dużym kubku szklanym do picia wód w Karlsbadzie. Zrywanie tych kwiatów w wirydarzu nad rzeką w godzinach popołudniowych sprawiało mi najżywszą przyjemność. Może dzieci, będąc małego wzrostu, są bliższe ziemi i łatwiej chłoną jej zapachy, toteż skacząc po trawie, między grzędami i klombami, i gromadząc moją wiązankę, rozróżniałam woń każdego kwiatu, ostrość werbeny, słodycz floksów, piżmowatość goździków. Dotykanie się łodyg, ich chropowatość albo gładkość także mnie czarowały. Ciocia Kamila była muzykalna i pod wieczór, kiedy sądziła, że mało jest osób w domu, siadała w błękitnym salonie do fortepianu i wówczas przez otwarte drzwi na ganek ulatywała ku mnie delikatna aria Chopinowskiej etiudy albo preludium i była dla mnie bajecznym, a więc zaczarowanym uzupełnieniem trawy, kwiatów i wielkiej, ciemnej ściany drzew, stojącej opodal.

Kiedy słońce prawie gasło, dziadkowie i ciocia Kamilka ukazywali się na ganku i schodzili ze stopni na piasek tarasu, przygotowując się na spacer. Obie starsze panie były przybrane w kapelusze z woalkami, rękawiczki i parasolki, czasem jedwabne pelerynki zdobne dżetem. Towarzyszące im ciotki musiały się posuwać równie powoli jak starsi państwo i często przystawać, jak tylko rozmowa nabierała żywszego tonu i mój dziadek gromił Dreyfusa albo Tyszkiewiczów. Całe towarzystwo zmierzało wzdłuż alei kwiatów przecinającej sad, pełnej zapachu nikocjany i floksów, do trzech ławek ustawionych na placyku, nad brzegiem rzeki. Wielka cisza i pustka zalegały dookoła. Woda Prypeci, szeroko rozlana, płynęła od zachodu ku wschodowi, przezroczysta i bez zmarszczek, odbijając różowo-liliowy kolor nieba. Topole paulinowskie błękitniały, jak widma na zimnym błękicie wschodu. Zdawać by się mogło, że w tej zadumie i ciszy wszystko trwać może wiecznie, że się nic w ogóle nie dzieje, że nic się stać nie może, tylko chłód spadającej rosy zastąpi upał rozgrzanej ziemi, a potem gdzieś nad horyzontem pierwsza gwiazda zabłyśnie drżąc i mrugając.

Co niedzieli, latem, przed południem gromadzono się znowu na ganku od strony zajazdu, ażeby razem ruszyć spacerem na nabożeństwo do kaplicy. Stała ona na samym końcu parku, od strony pola i szczęśliwie uniknęła zaniknięcia w okresie najgwałtowniejszego prześladowania katolicyzmu. Innym dworkom takie prywatne kaplice zostały zabrane na cerkwie prawosławne. Moja babka umiała zażyć mińskiego gubernatora i potrafiła go przebłagać. Z dzieciństwa nie pamiętam księdza, który by mszę odprawiał w kaplicy. W Petrykowie nie było proboszcza. Jedyny ksiądz katolicki, dziekan, mieszkał w Mozyrzu i tak się bał władz rosyjskich, że nabrał zwyczaju mówienia od rzeczy, nie wiadomo, czy dla zmylenia indagacji, czy dla odwrócenia uwagi. Przyjeżdżał on raz do roku do Dereszewicz i wówczas obowiązku zabawiania go podejmowała się ciocia Klosia, znana z cierpliwości, a gdy to się dało, urządzano dla niego partie winta. Obowiązek uczęszczania na mszę w niedzielę był niewykonalny, a gromadka wiernych podążająca latem do kaplicy nie przekraczała rodziny i paru osób ze służby, do których od drogi i jakby ukradkiem przyłączało się trochę starszych kobiet ze wsi Ślązaki.

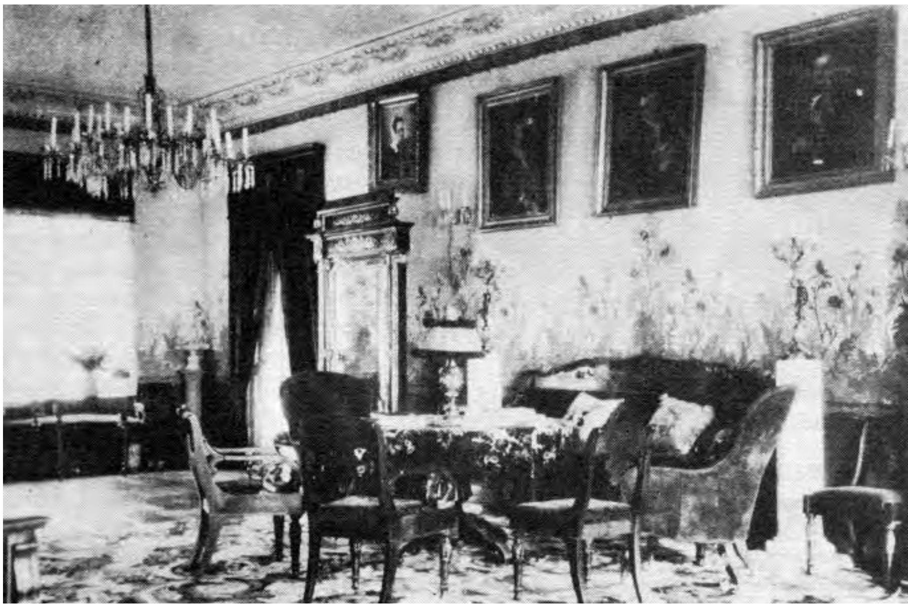
Jasne, falbaniaste suknie, słomkowe kapelusze zdobne w kokardy z tiulu albo bukiety kwiatów, koronkowe parasolki dodawały strojności towarzystwu, zanurzającemu się w parku. Równocześnie panny służące i gospodynie, także wystrojone i szeleszcząc krochmalonymi spódnicami, spieszyły w tę samą stronę przez aleję świerkową. Szło się środkiem parku, na prawo od krokietu, wzdłuż niższych spirei, pod akacjami do mostku prowadzącego na cmentarz otoczony przez rowy i rudą rzeczką w parowie. Dookoła kaplicy rosły stare drzewa. Była ona nieduża, murowana, miała okna wycięte w gotyckie łuki i gotyckie zakończenie drzwi, na zewnątrz i wewnątrz bielona. Wysoka, a zarazem ciasna, mieściła w środku malutką zakrystię, jeden ołtarz i trzy rzędy niewygodnych ławek. Wysoko umieszczone okna były oszklone kolorowymi szybami i rzucały na białe ściany smugi żółtego i fioletowego światła. Ołtarz był w stylu klasycznym, naśladującym szary marmur. Między jego kolumnami wisiały dwa

obrazy, wpuszczone do marmurowej ściany i oprawne w wąskie złote listwy Mater Dolorosa i Chrystus w cierniowej koronie. Mensę przykrywała serweta haftowana w ciężkie róże na kanwie. Moja babka, klęcząc na klęczniku przed kratkami, czytała z książki do nabożeństwa litanie i modlitwy oraz Ewangelię przypadającą na niedzielę. Czasem zastępowała ją ciocia Klosia, a po odmówieniu litanii ktoś ze służby intonował Zdrowaś Maria.

Wychodziło się z kaplicy na upał i świergot ptasi. Białe chustki włościanek i perkalowe suknie służących rozpraszały się powoli wśród drzew, jak plamy jasnych kwiatów. Nie wiem, czy ktokolwiek świadomie stwierdził, ze niedzielne nabożeństwo było jedyną i cotygodniową manifestacją katolicyzmu. Sądzę, że tego rodzaju stwierdzenie obudziłoby obawy przed możliwymi komplikacjami. Unikano starannie wszystkiego, co by mogło mieć pozory manifestacji. Fanatycy katoliccy mieli za złe ówczesnemu społeczeństwu jego ospałość. Prądy liberalne, a więc świeckie, bardzo wtedy przeniknęły umysły, ale wierność dla obyczaju i wrodzona poczciwość robiły swoje. Gdy się zważy, na jakie bezdroża zeszły inne, bardziej energiczne i mędrkujące narody, należy być wdzięcznym polskim dworom za ich silne przywiązanie do wiekowych tradycji i za prostotę i wytrwałość, z jaką umiano ją przechować.

Do roku 1900 co lato po parę miesięcy spędzałam pod opieką M'elle Heleny w Dereszewiczach. Moja matka jeździła do Francesbadu albo znów w Dereszewiczach odbywały się lekcje tańca z dwoma kuzynami z Rudakowa, Wańkowiczami, zwanymi bobasami. Do Dziuni przyjechała w tym czasie z Anglii bardzo przez wszystkich lubiana Miss Emma Grimshaw, która dawała jej lekcje rysunku i sama bardzo przyjemne robiła sketche. Ja uczestniczyłam w tym rysowaniu, ale najżywiej zapaliła się do niego ciocia Lela. Malowała ona razem z Dziunią różne modelki w pokoju nowego domu, dla swego przeznaczenia nazywanym studio.

Punktem kulminacyjnym lata były urodziny mojej babki 4 sierpnia (starego stylu), o wiele huczniej obchodzone niż imieniny w październiku. Różni Horwattowie i Wańkowiczowie wyładowywali ze statku na brzeg, zwykle o nieprawdopodobnych godzinach w nocy. Zacznę galerię tych krewnych od wuja Olesia Horwatta z Barbarowa, jąkającego się lekko i dlatego przezwanego "tego-tego", i jego żony, cioci Wiwy (z domu Krasickiej) z wielkim nosem, wypukłymi oczami i czubem czarnych włosów, uczesanych trochę jak wronie gniazdo. Płynęła ona krokiem kołyszącym się, podobna do żaglowej łodzi, szeleszcząc falbanami z jedwabiu i koronkowymi wstążkami, dzwoniąc brelokami i powiewając boa ze strusich piór. Była żywa, wesoła, niedyskretna i bardzo lubiła plotkować. Jej mąż, wuj Oleś, chyba od młodości wyglądał na bankiera z komedii Bałuckiego, uroczysty, z grubym złotym łańcuchem na wystającym brzuchu,



w binoklach, bardzo próżny, bogaty i skłonny do zgryźliwości. Jego młodszy brat Stanisław, suchy, szczupły, także w binoklach, z długimi spadającymi jasnymi wąsami, uchodził za ministerialną głowę. Czytał mało, ale żywo przejmował się tym, co czytał; jedna książka starczała mu za temat do rozważań na parę lat. Miał wykształcenie prawnicze i dużo wrodzonego zdrowego rozsądku. W Chabnie, leżącym na pograniczu Ukrainy, z żyzną ziemią, urządził chmielarnię i wszyscy interesowali się tym przedsięwzięciem. Ciocia Sofineta była bardzo zgrabna, czarnowłosa, z czarnymi oczami w podłużnej oprawie, mówiła trochę ochrypłym głosem; i strojami, i zachowaniem imponowała starszej siostrze, cioci Leli. Z Narowli przyjeżdżał wuj Edward Horwatt, wysoki, z jasnymi rumieńcami, krótkim nosem i wyrazem twarzy, który znikł razem z epoką, jowialnego pozytywisty. Pełen był temperamentu i humoru; żonaty z prześliczną i pełną uroku Jadwisią, Gusią, z domu Oskierczanką. Tej ostatniej nie pamiętam w Dereszewiczach. Słabego zdrowia, przesiadywała na Riwierze albo w górach. Ani ona, ani jej siostra, równie jak ona ładna, nie cieszyły się uznaniem mojej babki, przeciwnie, budziły silny jej sprzeciw, a to z tego powodu, ze pani Edwardowa miała kiedyś powiedzieć: "wszystkie swoje siostry osadzi na poleskich tronach", czyli po rezydencjach Horwattowskich. Z Rudakowa przyjeżdżał Stanisław Wańkowicz, także żonaty z Oskierczanką, ciocią Helcią (naturalnie związaną klanowym przymierzem z Oskierczanką z Narowli). Wańkowiczowie tworzyli najbardziej nowoczesną parę, wysportowaną i czynną, najbliższą prototypów angielskich. Wreszcie pan Maurycy z Hołowczyc, wdowiec po Horwattównie z Barbarowa, należący sam do starszego pokolenia, przywoził cztery swoje córki, Marysię, Janinkę, Lolę i Ryte. Janinka miała rysy regularne i wysoką, trochę masywną postawę, była kiedyś, to jest parę lat przedtem, przedmiotem pierwszej miłości Tonia. Najładniejszą była trzecia z rzędu, Lola, mająca piękny rysunek ust, owal twarzy i duże wyraziste oczy. Obecność tych starszych kuzynek »»»

»»» przygnębiała mnie, uważałam, że są mało grzeczne, niezależne i nie okazują mi tej życzliwości, do której przywykłam. W dodatku drażniono mnie, że są moimi ciotkami i że muszę całować je w rękę.

Pan Maurycy, z siwą bródką i mefistofeliczną zmarszczką na czole, miał aspiracje artystyczne, trochę malował, bardzo dużo mówił i dyskutował. Siedzące koło niego, grono pań zawsze było wciągnięte w protesty albo dyskusje. On stworzył teorię, że Horwattowie wielkością rodu dorównują Habsburgom. Jego starszy syn Stanisław, ociężały i o wybitnym typie murzyńskim, był żywym zaprzeczeniem wszelkiej dorodności rasy.

W okresie dorocznego zjazdu sierpniowego wypadała doroczna majówka, będąca wyprawą na Kacieczne, czyli łąki położone nad odnogą Prypeci. Służba występowała w przebraniu marynarzy, w białych długich spodniach i bluzach z czerwonymi kołnierzami. Po południu całe towarzystwo domowe gromadziło się nad brzegiem od strony nowego domu, bo schody prowadzące do rzeki były tam mniej strome. Cała moja ambicja zmierzała ku temu, aby mi pozwolono jechać mniejszą łódką z młodymi, jak Tonio, Dziunia, Lola Horwattówna, ale ci młodzi woleli bawić się między sobą, niż czuwać nade mną, a nieznośna ostrożność starszych zawsze zmuszała mnie do siedzenia w wielkiej łodzi. Piękność otaczających mnie widoków trochę mnie potem pocieszała.

Płynąc pod prąd, w stronę południowo-zachodnią, mijaliśmy na przeciwległym brzegu latarnię, nocny sygnał dla statków, i wówczas za nami rozwijała się cała panorama parku, dworu, sadu, odbita w wodzie. Ta woda zaczynała potem błękitnieć, a odbicie wielkich świerków mącić w zygzaki i duża nasza biała łódka, poruszana ośmiu wiosłami, sunęła wzdłuż osypisk piasku i bujnych zielonych traw, podczas kiedy naprzeciwko niska plaża z białego piasku, porosła wierzbą, zakrywała odnogę Prypeci sięgającą do folwarku Już tylko ciemna smuga parku widniała z oddali Trzymając się ciągle na lewo, wjeżdżaliśmy do kanału zarosłego trzciną po obu stronach, na którym liście lilii wodnych tworzyły zwarte wyspy. Gdzieniegdzie wyrastał z nich kwiat o rozwartym kielichu woskowych płatków, zakończonych spiczasto. Po prawej stronie kanału wielkie i stare wierzby, kuliście, nad wodą pochylone, zanurzały w niej swoje gałęzie Z wodorostów wystawał gdzieniegdzie sczerniały pień, a w moczarach porosłych wierzbami roiło się od wodnego ptactwa Wreszcie wjeżdżaliśmy do jeziorka, złączonego z odnogą Prypeci, a zwanego Kaciecznym, gdzie polowano na kaczki. Jesienią łodzie przedzierały się przez pokłady h-sci, ocierały się o trzciny i dobijały do bardziej otwartego brzegu. Słonce schylające się ku zachodowi, błyskało przez wysokie konary dębów i złotymi smugami zalewało przestrzeń łąk. Horyzont, niski i odległy, był zamknięty pasmem zieleni. Na łąkach, jak w angielskim parku, rosły rozrzucone dęby, wierzby i łozy tworzyły srebrzyste kępy, kryjące zwykle małe jeziorka. Rozciągano wielki dywan na trawie, znoszono kosze z jedzeniem, ciastkami, lodami i owocami, wszyscy rozkładali się dookoła dywanu, młodzież już samodzielna i bez guwernantek zapuszczała się ku dalszym dębom. Potem cienie robiły się dłuższe, woda zamieniała się w ciemną głębię, zwijano dywan, wsiadano do łódek, aby popłynąć wzdłuż dąbrowy do rodzaju bramy, stworzonej przez wodę w gęstwinie wierzb i prowadzącej z powrotem do głównego koryta rzeki. Naprzeciwko ukazywał się wysoki brzeg, na którym stała rektyfikacja, odległa o półtorej wiorsty od dworu. Słonce już było zaszło, niebo paliło się złotem i mieniło różowo, na wschodzie kilka chmurek, jak lekkie pióro odbijało ciepło i światło zachodu. Woda również była zaróżowiona i pierwszy chłód unosił się nad jej powierzchnią. Na łódkach, gdzie siedzieli młodzi, zaczynano śpiewać, zwykle piosenkę Moniuszki O rannej rosie, ale starsi przestrzegali, aby nie rozpoczynano pieśni patriotycznych

Moja babka urządzała żywe obrazy i teatry amatorskie. Snuła dalej tradycję XVIII w. W czasie jednych uroczystości sierpniowych dziedziniec i wirydarz od strony rzeki były pozawieszane kolorowymi lampionami z niebieskiej, różowej i żółtej bibułki.Te rzędy świecących latarenek, tworzące girlandy na ciemnym tle parku czy oglądane z bliska i w kręgu swoim ukazujące najbliższe rośliny i kwiaty, wprawiały mnie w zachwyt. Przed gankiem, na dziedzińcu paliły się beczki smolne, stopnie ganku stanowiły widownię, a trawnik naprzeciwko scenę.

Przy ogniach bengalskich można było oglądać ciocię Lelę, w atłasowej żółtej sukni, przedstawiającą Tytanie, i Dziunię, z gladiolusem w ręku, w roli chochlika Pucka, następnie Tonia z jedną z Horwattówien w scenie z poezji Mickiewiczowskiej "w gaiku zielonym dziewczę rwie jagody". Młode panie rywalizowały o swe powodzenie jak aktorki i ciocia Isia bardzo się o to gniewała, ze fajerwerk nie oświetlał w porę jej stroju jako nimfy Kalipso.

W czasie jednego z bardziej uroczystych obiadów, który się odbył w sali jadalnej nowego domu, p. Leon Wartko, marszałek zwany marszałeczkiem, wznosił zdrowie mojej babki, winszując jej, żeby dożyła "kopy lat". Mogło to być w roku 1893. Nie rozumiałam ani określenia, ani liczby lat, jakie oznaczało, a dziś sama dosięgam tego wieku z wrażeniem, że jestem jeszcze młoda. Najtrudniej jest uchwycić zmianę proporcji, jaka zachodzi w naszej świadomości między dzieciństwem a wiekiem dojrzałym. W każdym razie w dzieciństwie czas płynie o wiele wolniej, pokoje wydają się dwa razy większe, a ludzie starsi równie sędziwi jak patriarchowie z Pisma Świętego.

Dwie kuzynki mojej babki odwiedzały ją w czasie lata, ale nie zawsze w okresie uroczystości sierpniowych. Moje młode ciotki i Tonio przekpiwali te starsze panie i ja, przejmując się ich przykładem, nie miałam dla nich najmniejszego uszanowania. Obie uchodziły za osoby pełne surowych zasad,

lubujące się zarazem w przestarzałych przesądach. Ciocia Isia była gotowa zabawiać się ich kosztem, wywołując ich zgorszenie. Pani Helena z Węcławowiczów Wankowiczowa za młodu była piękna i ładnie śpiewała. Synów wychowywała surowo, z tym rezultatem, ze Otton i Aleksander należeli do bezmyślnej i hulaszczej złotej młodzieży. Jako młoda wdowa p. Wańkowiczowa swoim śpiewem czarowała p. Tyzenhausa, ale czar ten nie zaciągnął go aż na ślubny kobierzec. Później przyjaźnią, atencjami, uwielbieniem otaczała biskupa, sama zamieniając się na matkę Kościoła. Pierwsza p. Wańkowiczowa dała mi poznać cechę tak rozpowszechnioną wśród osób pobożnych, a polegającą na dzieleniu znajomych na wybranych i potępionych, z tym że względy rodzinne i osobiste sympatie grały dużą rolę w wyborze i większość Węcławowiczów naturalnie zaliczała się do wybranych. W Dereszewiczach właśnie Ronikierów nazwano les perles de M-me Wańkowicz. Kiedy o los innych chodziło, ciocia Helena podnosiła tylko czarne brwi w górę i trzęsła głową i kolczykami z pereł w kształcie gruszek. Druga przyjaciółka babuni była jej ciotką, drugą żoną p. Ottona Horwatta i bezdzietną wdową. Należała do rodziny o usposobieniu spartańskim i siostrzenice Mogilnickie chowała surowo. Drobna, szczupła i z gładko uczesanymi włosami, sądzę, że musiała być przyjemna, ale też krytyczna w stosunku do pogańskiej atmosfery Dereszewicz. Jej brat, p. Edward Woyniłowicz, człowiek nieprzeciętny, zostawił po sobie ciekawe pamiątki, a za moich młodych lat stał na czele szlachty mińskiej, dobrze administrował dużą fortuną i popierał politykę ugodową.

Święta Bożego Narodzenia nastrojem, a nawet rodzajem gości różniły się od zjazdów letnich. Horwattowie nie brali w nich udziału, za to ukazywali się na nich zięciowie, przeważnie nieobecni latem. Ich współudział w życiu rodzinnym zdawał się luźny, oni sami jakby znudzeni. Już od południa zasiadali do pikiety, przy stoliku w małym saloniku prowadzącym do galerii, i tam wśród papierosów grali we dnie, a potem przy zapalonych świecach, z twarzami skupionymi, zamieniając krótkie, karciane przysłowia. Przechodząc mimo słyszałam: "nim co, przyjm to" albo "strasznych rzeczy jestem świadkiem". Mój dziadek nie znosił choinki i twierdził, że to obyczaj niepolski, ale niemiecki, więc od najdawniejszych lat przygotowywano ją ukradkiem w sali jadalnej nowego domu, gdzie po pierwszej uroczystości w wieczór wigilijny stała długo, połyskując srebrnymi łańcuchami i rozsiewając dookoła zapach jabłek i igliwia.

Otrzymywałyśmy z Dziunią bardzo dużo ładnych prezentów, ale tak często bywałyśmy obdarzane w ciągu roku, że nie czekałyśmy na nie z tym podnieceniem, jakie utarło się wśród dzieci innych krajów i późniejszego pokolenia. Przy kutii łamano się opłatkiem i zjadano tradycyjne potrawy, powszechnie uważane za bardzo złe. W czasie takich świąt pierwszy raz usłyszałam rozmowy o Krzyżakach, drukujących się w "Tygodniku Ilustrowanym", i pierwszy raz zaczęłam czytać Quo Vadis? w wydaniu dla młodzieży.

Z zabaw uprawiano ślizgawkę, która dla mnie była torturą, bo mi marzły nogi, szczególnie w czasie jakiegoś pobytu w Bryniewie, na sadzawce ustrojonej w kolorowe lampiony. Drugą grą powtarzającą się co wieczór był dżenkins. Zięciowie nie dawali się oderwać od stolika z kartami, ale wszyscy inni zasiadali do dużego stołu, przykrytego pledem, w sali jadalnej nowego domu. Tonio i ciocia Klosia prezydjowali, ja zaś drżałam ze strachu, żeby nie dostać do ręki srebrnego rubla i nie zdradzić ukrytego pod dłonią skarbu. Ciocia Lela wodziła, wołała męża do pomocy, starała się przeniknąć psychologię strony przeciwnej, próbowała szantażu albo gry w zgadywanego, wodząc od jednej ręki do drugiej i mówiąc: un petit coq sur le mur, qui picotte dupain dur... etc, a kiedy ręka ukrywająca rubla podniosła się przedwcześnie, krzyczała i wiła się od śmiechu; a ja, czerwona z podniecenia, uczestniczyłam w ogólnej wrzawie.

Za owych zimowych pobytów zaczął się zaprowadzać zwyczaj roznoszenia śniadań na tacach do gościnnych pokoi. Moi dziadkowie wstawali zawsze wcześnie i babunia, w szlafroku, z koronką we włosach, obchodziła potem kolejno swoich gości na poufniejsze rozmowy, które się nazywały "ciepłe nóżki". Rozwałkowywano wtedy tematy znane lub najnowsze. Jako dziewczynka wybiegałam też wcześniej i z kolei składałam wizyty ciotkom. Wsuwałam się do cioci Isi, ale tam prędko wyczerpywałam moje zasoby towarzyskie i biegłam do cioci Leli, często mieszkającej w pokoju cioci Kamilki, w starym domu. Przyjmowała mnie zawsze jak najgorzej, dopóki wytrwałością i dobrą wolą nie zdołałam jej pozyskać. Kiedy pierwszy raz zobaczyła mnie po swoim ślubie, zawołała: Mon Dieu, comme elle est laide, ale potem bawiła się ze mną jak kot z myszą, choć była obdarzona czymś dla dzieci bezcennym, podobnie jak ciocia Klosia traktowała je jak dorosłych i sobie równych. Była jeszcze na tyle młoda, niefrasobliwa i wrażliwa, że każde zdanie, każda głupia uwaga wydawały się jej pełne znaczenia, a tym samym skłaniała do poufności. I tak, siedząc w jej towarzystwie, pozbywałam się ciążącego mi dzieciństwa i nieznośnego braku równouprawnienia.

Do gości zimowych należał dr Nawrocki, który osiadł w Petrykowie chyba w latach siedemdziesiątych i nigdy z niego nie wyjeżdżał. Stary kawaler, miał pewne aspiracje literackie i artystyczne, a stosunki z Dereszewiczami były jedyną jego rozrywką. Moja babka pożyczała mu książki i nie ograniczała swojej dla niego życzliwości do utartej formułki: il faut lui dire ąueląms mots aimables. Młode ciotki, kierując się zasadą, że zalotność jest sztuką dla sztuki, rywalizowały o jego względy. Wyobrażam sobie, ile radości i wzruszenia, jakie anielskie »»»

»»» rozrzewnienie budziły tym zachowaniem w sercu doktora, który mały, krępy, siwiejący, dla przypodobania się cioci Leli, sapiąc wytańcowywał mazura. Z właściwym Polakom brakiem ścisłości dr Nawrocki nigdy nie wiedział, jak się nazywam, Janina czy Eugenia, ale miał mi za złe moje niemieckie nazwisko i patrząc na mnie mówił "Jenia krzyżak". Pojęcia jego o medycynie były słabe i każdą silniejszą gorączkę określał jako "tyfusik". Ta jego diagnoza była tak znaną, ze kiedy wzywano go do chorego przepowiadano, ze powie ,tyfusik pani marszałkowo – tyfusie.

Prof Popowski przyjeżdżał z Petersburga. Stosunki z nim zawiązały się, kiedy mój wuj Antoni, chodząc do szkół, mieszkał u mego na stancji. Prof Popowski pochodził z dobrej, ale zrujnowanej rodziny wołyńskiej i wykładał język francuski. Był otyły, ryżobrody, lubił dobrą kuchnię, znał się na winach, naturalnie mówił świetnie po francusku i młodym panienkom zalecał czytać Prascovie ou la jeune sibenenne hr de Maistre. Wedle zasady, kto na placu ten nieprzyjaciel, był równie rozrywany i kokietowany jak dr Nawrocki, uchodził też za lepszego tancerza i brał udział w rożnych kontredansach na balach brymewskich.

Częstymi tez gośćmi byli Ordowie, Stanisław i Karol, synowie Wandy z Kieniewiczów, siostry mego dziadka. Karol miał za dużą głowę, Stanisław układ i rysy bardziej poprawne, ale wkrótce na balu w Warszawie dostał ataku szału. Mój dziadek nie znosił tańców, które z tego powodu urządzano ukradkiem, i dlatego za szczyt przyjemności uchodziła jazda do Brymewa, połączona z balem. Dla dogodzenia żonie wujcio Rucio sprowadzał orkiestrę z Petrykowa, opróżniano z mebli salę jadalną i obaj wujowie, Ordowie, dr Nawrocki i Popowski tworzyli we frakach zastęp tancerzy, a Lela z wachlarzem, w powłóczystej sukni pokazywała w mazurze wszystkie swoje gracje. Kiedyś urządzono rodzaj kuligu. Tonio i Dziunia wystąpili po krakowsku, Staś Orda w czerwonym fraku, M-elle Helena jako cyganka, mnie ubrano w stary kostium Pucka Dziuni. W czasie innych świąt przygotowano o wiele swietnejsze kostiumy, dla Dzium sprowadzono z Warszawy empirową jasnozieloną suknię i do tego kapelusz z różowego tiulu. Cóż, kiedy niepokój malujący się na twarzach mojej babki i cioci Klosi nie dał się ukryć. Na folwarku panowała szkarlatyna i mój ojciec, słusznie zresztą nie wierząc, ażeby przestrzegano kwarantanny, z dnia na dzień postanowił, że musimy wyjechać. Żeby mnie pocieszyć w tak strasznym zawodzie, w przeddzień naszego wyjazdu zaimprowizowano tańce w niebieskim salonie, w mazurze, podnosząc kieliszek, Tonio zawołał na moją cześć: "Niech żyje królowa balu!", ale nie uczestniczyłam w prawdziwym wieczorze i rzecz dziwna, był to ostatni z balów brymewskich.

Długą jesień i zimę 1898 r spędziłam w Dereszewiczach pod opieką M-elle Helenę i cioci Klosi. Moja matka bawiła dla kuracji w Dreźnie, moi dziadkowie podróżowali a potem kurowali się w Warszawie. Ze wszystkich pobytów w Dereszewiczach, kto wie, czy ten nie zaliczał się do najmilszych. Najpierw pierwsze przymrozki co rano pokrywały trawę gęstą rosą, z grzęd można było jeszcze zrywać ostatnie astry i goździki, a pod kasztanem nad rzeką leżały w popękanych skorupach brunatne owoce. Konary drzew rysowały swoje ciemne gałęzie na tle nieba, które stawało się coraz zimniejsze i podobne do tafli lodu. Ścieżki parku były grubo zasłane żółtymi liśćmi, które z szelestem poruszały się pod stopami, a rzeka, latem zakryta gąszczem, połyskiwała teraz z daleka ciemnoniebieską powierzchnią. We dnie słońce rozgrzewało od południa ścianę domu, ale krwawe zachody wróżyły zimne noce. W przerwie między lekcjami, w południe, ciocia Klosia przy bufecie w sali jadalnej dawała nam przekrojone bułeczki, posmarowane ciemnym miodem. Dziunia czytała Talizman Waltera Scotta i wtajemniczała mnie we wszystkie przygody wojen krzyżowych. Chodziłyśmy na spacer po brzegu drogi i alei prowadzącej do Hołubicy. Wielkie bruzdy błota i rozlane kałuże drogi były pełne opadłych liści. Czas, który tak się dłuży w dzieciństwie, zupełnie mi nie ciążył.

Koniec tego roku upamiętnił się ulgą w rządowym ucisku i wielkimi uroczystościami przy odsłonięciu pomnika Mickiewicza w Warszawie. Obchodów było potem tak dużo, że wydawały się czcze i bezcelowe, ale ten pierwszy, po długim i ponurym ucisku, wstrząsnął całym krajem i rzeczywiście był zapowiedzią lepszej przyszłości. Moi dziadkowie z właściwą sobie żywością przeżywali każdy szczegół warszawskich ceremonii, szczególnie chwilę, kiedy zasłona spowijająca pomnik spadła wśród głuchej ciszy, bo rząd nie pozwolił, na przemówienia po polsku.

Moja babka dla upamiętnienia tych tak ważnych wydarzeń urządziła w czasie Świąt Bożego Narodzenia domową akademię na cześć Mickiewicza. Kazała uszyć dla mnie i dla Dziuni białe kontusiki, obramowane puszkiem i z czerwonymi wylotami. W salonie błękitnym wśród doniczek z oranżerii postawiono biust poety, opleciony zielenią. Ciocia Lela przy fortepianie zagrała mazurka Chopina, Dziunia i ja wystąpiłyśmy w naszych kontusikach i zadeklamowały bardzo liche okolicznościowe wiersze babuni, a następnie Świteziankę i Trzech Budrysów, Tonio grę Wojskiego. Wierszy uczyłyśmy się z dwóch tomików wydania paryskiego, przechowywanych skrzętnie pod kluczem jako literaturę nielegalną. Kufry mojej babki po powrocie z podróży były wyjątkowo pełne prezentów, a szczególnie najnowszych książek.

Obchód Wielkanocy był na Polesiu równocześnie świętem wiosny, która zaczynała się tam o parę tygodni wcześniej niż na północnej Wileńszczyźnie. Wylew Prypeci sięgał prawie do horyzontu, z wody wystawały tylko wierzchołki większych drzew na łąkach. Na jasnej tafli wody tańczyły smugi słońca, krzaki spirei pokrywały się zieloną mgiełką, na

kasztanach i bzach pęczniały pąki i niebieski barwinek kwitł w cieniu drzew. Wszystkie okna stały otwarte, wiatr powiewał białymi firankami. Przygotowanie do święconego odbywało się w domu pełnym przeciągów. W sobotę wieczór niesiono przez dziedziniec, jak w procesji, baby, drewniane podstawki z mazurkami i półmiski z mięsiwem. Święcone urządzano tradycyjnie w bibliotece, na piętrze starego domu, której trzy okna wychodziły na balkon, z widokiem wprost na rzekę. Pośrodku długiego stołu stała zielona altanka, a w niej baranek z cukru z czerwoną chorągiewką, baumkuchen stał zawsze od strony rzeki, głowizna, udekorowana widłakami, od strony drzwi prowadzących na schody. Wzdłuż szafy z książkami, przy osobnym stole zasiadała służba i oficjaliści, trzy inne stoły były ustawione naprzeciwko, pod lustrem i obrazami Sybilli i Bachantki, malowanymi przez pannę Jadwigę. Moja babka witała wchodzących, trzymając w ręku talerzyk z pokrojonym w plasterki jajkiem święconym. Wszyscy mówili o jedzeniu, pamiętano o upodobaniach każdego przy pieczeniu mazurków. Moja babka niepokoiła się, czy głuszec jest dostatecznie miękki, potem powstawało zamieszanie, czyli tak zwany gwałcik, bo albo barszcz podano za zimny, albo zabrakło majonezu. Wujcio Rucio z uprzejmym niedowierzaniem kosztował mazurka z serem. Zwabiona zapachem hiacyntów w doniczkach, pierwsza pszczoła, brzęcząc, wlatywała przez okno.

Po obrzędzie święconego trwającym przeszło dwa dni biblioteka schodziła do rzędu mieszkalnego pokoju, używanego albo przez gości, albo przez domowników. Mahoniowe łóżka wracały na swoje miejsca pod Sybillę i Bachantkę, kanapa pod lustro. Ciocia Klosia miała pod swoją pieczą klucze od wszystkich szaf z książkami. Najstarsze książki zajmowały całą ścianę w dużym pokoju na piętrze, ale pełno było innych w galerii nowego domu, w przejściu przed przepierzeniem prowadzącym do pokoju cioci Kamilki. Na stołach obu salonów leżały cenniejsze wydania ilustrowane, Pan Tadeusz i Maria Malczewskiego z rysunkami Andriollego, wydania francuskie z epoki Ludwika Filipa, Les femmes de la Biblie, Les femmes de Shakespeare i główki Stachiewicza do powieści Sienkiewicza. Wszystkie kochałam i znałam na pamięć, wertując też oprawne "Tygodniki Ilustrowane" i "Kłosy".

Intelektualna kultura Dereszewicz była najbardziej zasadniczą cechą tego domu. Żadnej gazety rosyjskiej nie widziałam tam nigdy, za to stale przychodziły "Kurjer Warszawski" i "Biblioteka Warszawska". Zaprzyjaźniona z moją babką księgarnia Hoesicka przysyłała jej dwa razy do roku wszystkie nowe książki polskie, a nawet później namówiła do abonamentu "Chimery". Dawniejsze roczniki "Revue des Deux Mondes", przychodzące chyba od czasu założenia, były schowane w szafach na górze, ale ostatnie zeszyty zalegały wszystkie stoły i należały do najlepiej mi znanych od dzieciństwa. Wszystkie marzenia cioci Klosi odbywały się z zeszytami "Revue des Deux Mondes" w ręku, bo pozorna jej bierność i zamyślenie kojarzyły się zawsze z jakąś książką. Różne okresy prądów literackich poznałam prawie bezwiednie z rozmów zasłyszanych między starszymi. Najmniej dostępne były rzędy starych tomów oprawnych w skórę, które stały na górze, wydania Voltaire'a, Rousseau'a, Montesąuieu, Thiersa. Mój dziadek szczególnie lubił powieści George Sand i Dumasa ojca. O wszystkim, co przeczytał, tak jak o własnych snach, umiał barwnie opowiadać. Trochę później sceny z Popiołów gorszyły go niewymownie. Ciocia Klosia nie miała żadnych zdecydowanych upodobań; Notre Damę de Paris czy L 'Aiglon Rostanda poruszały ją w równej mierze, ale przyszedł dzień, kiedy własnoręcznie wyjęła z szafy i dała mi do ręki pierwsze wydanie książki, która miała tytuł La Chartreuse de Parme. Jeżeli w czym gustowała bardziej, to w utworach o bujnej wyobraźni, z natchnieniem romantycznym. Zola i krańcowy naturalizm mało kogo pociągały, historię polską czytano więcej od powieści, a w książkach francuskich rozczytywano się więcej niż w polskich, szczególnie w artykułach o sztuce i literaturze Theodore de Wyzewa, Arvede Barine, Chevrilon i innych. Francuszczyzna, tak niesłusznie wykpiwana przez polskich autorów, była podstawą cywilizacji europejskiej w Polsce i różni politycy, deklamujący o naszej łączności z Zachodem mieli o niej o wiele mniej pojęcia niż każda oczytana pani w polskim dworze.

Nawet biorąc w rachubę ówczesną przesadną uczuciowość, przyznać muszę, że każdy wyjazd z Dereszewicz był dla mnie bolesnym przeżyciem. Traciłam rożne przywileje, szczególnie wolne współżycie ze starszymi, i wracałam do mojej roli zwykłej dziewczynki w domu, gdzie smutek przytłaczał mnie z daleka Nie to mnie jednak bolało przy pożegnaniach, a żałowałam każdej minionej chwili, jako bezpowrotnej. Kiedy konie ruszyły spod ganku i okrążywszy studnię, biegły topolową aleją, już wtedy w dzieciństwie martwiłam się brakiem trwałości domu i życia, które kochałam Obawiałam się każdej zmiany, gniewała mnie każda innowacja, gotowa byłam sprzeciwiać się przeróbce studni albo budynku na dziedzińcu. Uczucia te były po części echem smutku ciążącego nad całym krajem, wzmianek o czyjejś ruinie albo wydziedziczeniu, ale za tym czaiła się intuicyjna trwoga, że życie kryje w sobie jakąś grozę.

Żyli już wówczas późniejsi burzyciele cywilizacji europejskiej, Stalin i Hitler, wspominano czasem o zamachach anarchistów. Świadomie już wówczas miałam żal do czasu o to, że płynie nieubłaganie.

Krajobraz i dom dereszewicki tak żywo i ciągle były mi przytomne, że co nocy wracałam do nich i wszystko, co śniłam, rozgrywało się na tle salonów i rzeki. Jak scena teatru, ten świat snów był ograniczony na lewo topolami Paulinowa, na prawo zakrętem Prypeci...

TROCHĘ HISTORII

Udokumentowana historia Mozyrza sięga połowy XII wieku – istniał tu wtedy jeden z grodów należących do księstwa kijowskiego. Od czasu Unii Lubelskiej w 1569 roku znajdował się w granicach Rzeczypospolitej. W 1577 roku otrzymał od króla Stefana Batorego magdeburskie prawa miejskie. Polska historia Mozyrza kończy się wraz z drugim rozbiorem Polski w 1793 roku.

W latach 1907-1909 w Mozyrzu działało koło prowincjonalne Polskiego Towarzystwa "Oświata" w Mińsku, które zajmowało się wspieraniem polskiej edukacj. W 1909 roku naczelnik policji powiatu mozyrskiego wydał raport, w którym donosił, że koło to prowadziło nielegalnie 5 polskich szkółek. Doprowadziło to do likwidacji całej organizacji. Miasto odegrało szczególną rolę w wojnie polsko bolszewickiej. 5 marca 1920 w ramach tzw. operacji mozyrskiej zostało zdobyte przez oddziały 9 Dywizji Piechoty dowodzone przez płk. Władysława Sikorskiego. Zwycięstwo wojsk polskich (przez Piłsudskiego uznane za jedno z ważniejszych podczas całej wojny) przyniosło Sikorskiemu awans generalski. 27 kwietnia 1920 okolice Mozyrza były również areną "bitwy morskiej" na Prypeci między Flotyllą Pińską (należącą do Polaków) a Flotyllą Dnieprzańską (wchodzącą w skład Armii Czerwonej). Od zakończenia działań wojennych do podpisania pokoju w Rydze w Mozyrzu miał miejsce jeszcze jeden epizod szczególnie ważny dla historii Białorusi. 12 listopada 1920 generał Bułak-Bałachowicz, po zdobyciu miasta przez jego ochotniczą armię, ogłosił tu niepodległość Białoruskiej Republiki Ludowej. Jednak już po kilku dniach "bałachowcy" zmuszeni zostali do wycofania się na terytorium Polski. Po pokoju w Rydze Mozyrz znalazł się w granicach ZSRR. Od 1938 roku był stolicą obwodu poleskiego, natomiast od 1954 roku jest ponad stutysięcznym centrum rejonu należącego do obwodu homelskiego. Pozostałością panowania Polski w tym mieście są XVII i XVIII-wieczne kościoły (bądź to co z nich pozostało), wśród nich kościół pobernardyński oraz dwie świątynie należące niegdyś do zakonu cystersów.

Pragniemy Drogim Czytelnikom opowiedzieć o jednej z najważniejszych kart historii Ziemi Mozyrskiej – bitwie pod Czarnobylem, która była największym sukcesem ówczesnej marymnarki wojennej. O tej bitwie nie wiedzą współcześni uczniowie ani nawet nauczyciele na Białorusi. Niech słowo "Czarnobyl" nie kojarzy sie tylko z wielką katastrofą XX wieku, ale przypomni nam o zwycięstwie naszej rodzimej Flotylli Pińskiej.


Monitory rzeczne i motorówki Flotylli Pińskiej


Statek uzbrojony ORP "Generał Szeptycki" i monitor rzeczny ORP "Pińsk" na Prypeci


Monitory rzeczne ORP "Horodyszcze" i ORP "Warszawa" w porcie.



BITWA POD CZARNOBYLEM

JAK NASI MARYNARZE POBILI BOLSZEWIKÓW

L. Zalesiński, polska-zbrojna.pl

Największa "morska" bitwa w środku lądu rozegrała się 27 kwietnia 1920 roku. Polskie wojska maszerowały wówczas na Kijów. W ślad za nimi posuwała się po Prypeci Flotylla Pińska. O świcie polska kanonierka "Pancerny" wspierana przez cztery uzbrojone motorówki stanęła oko w oko z sześcioma jednostkami Flotylli Dnieprzańskiej.

– *Bolszewicy dysponowali znacznie poważniejszymi siłami. Nasze flotylle na dobrą sprawę dopiero się tworzyły. Część ich jednostek to były po prostu dozbrojone statki cywilne – wyjaśnia dr Michał Mackiewicz z Muzeum Wojska Polskiego. Ale Polacy nie oddali pola. Krótka bitwa szybko przerodziła się w blisko 30-kilometrowy pościg za Sowietami. Udało się zatopić jeden nieprzyjacielski okręt, dwa inne najpewniej zostały uszkodzone, wreszcie kilka różnej wielkości przeszło w ręce polskie. – W naszych zbiorach mamy nawet zerwaną wówczas banderę sowiecką* – mówi Mackiewicz.



BITWA POD CZARNOBYLEM BYŁA NAJWIĘKSZYM SUKCESEM ÓWCZESNEJ MARYNARKI WOJENNEJ.

Bo to właśnie jej podlegała Flotylla Pińska. Naczelnik państwa Józef Piłsudski zadecydował o utworzeniu sił morskich zaledwie 17 dni po tym, jak Polska odzyskała niepodległość. Rzeczpospolita nie miała jeszcze wtedy dostępu do morza, kilka miesięcy później zyskała zaś zaledwie dwa niewielkie porty w Pucku i na Helu. Dlatego początkowo Marynarka Wojenna opierała się właśnie na flotyllach rzecznych, których podstawą stał się sprzęt przejęty od zaborców. Pierwsza tego typu formacja istniała w Modlinie. Wkrótce sformowane zostały Flotylle Wiślana i Pińska.



Nie zdążyły one jeszcze na dobre okrzepnąć, kiedy wybuchła wojna polsko-bolszewicka. – Już w 1919 roku jednostki należące do Flotylli Pińskiej zajmowały się transportem zaopatrzenia dla wojsk polskich. W maju stoczyły pierwszą potyczkę z siłami nieprzyjaciela – mówi kmdr ppor. Piotr Adamczak z biura prasowego Marynarki Wojennej. A potem przyszła zwycięska bitwa pod Czarnobylem. Polscy marynarze wzięli jeszcze udział w defiladzie w Kijowie, jednak wkrótce karta się odwróciła. Podczas kontrnatarcia bolszewików siły Flotylli Pińskiej zostały odcięte od polskiej armii. Ostatecznie 2 sierpnia 1920 zapadła decyzja o zatopieniu okrętów i rozwiązaniu jednostki.

Podczas wojny polsko-bolszewickiej marynarze walczyli także na lądzie. W 1920 roku został utworzony Pułk Morski, którego bataliony biły się pod Ostrołęką, Grodnem oraz Białymstokiem. Ostatecznie bolszewicką napaść udało się odeprzeć.

Losy marynarskich formacji, które walczyły w środku lądu, były różne. Pułk Morski został rozwiązany jesienią 1920 roku. Pięć lat później przestała istnieć Flotylla Wiślana. Flotylla Pińska za to odrodziła się i aż do 1939 roku stanowiła na wschodniej granicy kraju poważną siłę. W szczytowym okresie w jej skład wchodziło około sto jednostek. Podczas wojny obronnej 1939 roku nie odegrały one jednak większej roli. – *Przede wszystkim dlatego, że we wrześniu stan rzek był wyjątkowo niski* – zaznacza Mackiewicz.

Jednostki flotylli także tym razem zostały na rozkaz polskiego dowództwa zatopione, a marynarze dołączyli m.in. do Samodzielnej Grupy Operacyjnej "Polesie" gen. Franciszka Kleeberga. – *W 1939 roku nastąpił kres flotylli zarówno w wymiarze militarnym, jak i historycznym. Po wojnie nie było już sensu odbudowywać tego typu formacji. Marynarka Wojenna główny nacisk położyła na odbudowę potencjału morskiego* – podkreśla Mackiewicz.

Tymczasem na świecie flotylle rzeczne nie odeszły całkowicie w zapomnienie. Taką formację posiadają choćby Węgrzy. Operuje ona na Balatonie i Dunaju. – Flotylle popularne są w krajach Ameryki Południowej. Bardzo rozbudowane siły posiada chociażby Paragwaj – mówi kmdr ppor. Adamczak. Tamtejsze jednostki operują na rzece Parana i tworzą Marynarkę Wojenną.

PRZEDWOJENNE ZAWODY MARSZOWE NA SZLAKU BIAŁA-PODLASKA-BRZEŚĆ

Dymitr Zagacki



Ulica 3 Maja w Brześciu

W archiwum państwowym obwodu brzeskiego, wśród innych zbiorów związanych z okresem międzywojennym, przechowywane są dokumenty opowiadające o mało znanej, lecz bardzo ciekawej stronie z życia sportowego w kresowym Brześciu. Są to regulaminy tzw. "Marszy Nadbużańskich" czyli zawodów marszowych wśród młodzieży na szlaku Biała Podlaska – Brześć nad Bugiem, które odbywały się w latach 20 – 30 – tych na cześć Konstytucji 3 Maja.

Zawody te prowadzono pod opieką Związku Strzeleckiego w celu wykazania sprawności wojskowej i wychowania fizycznego młodych ludzi, którzy ukończyli 20 lat, w szczególności członków Związku Strzeleckiego i pokrewnych organizacji społecznych. W marszach mogły brać udział również sekcje wojskowe i policyjne oraz sekcje klubów i związków sportowych, prowadzących przysposobienie wojskowe. Zespoły te walczyły o pierwszeństwo w ogólnej i osobnej konkurencji i nagradzane były osobnymi nagrodami.

Start zawodów odbywał się na rynku w Białej Podlaskiej. Sekcje wyruszały kolejno według wylosowanych numerów, w odstępach kilkuminutowych. Przy moście na rzece Krznie i we wsi Wólka Dobrzyńska były urządzone punkty kontrolne, gdzie każdy zespół obowiązkowo zatrzymywał się w celu 15 minutowego odpoczynku.

Od Wólki Dobrzyńskiej do mety w Brześciu byli rozstawieni kontrolerzy, którzy notowali wszystkie uchybienia regulaminowe.

Metą była siedziba Związku Strzeleckiego w Brześciu nad Bugiem, która mieściła się u zbiegu ulic 3 Maja (Puszkina) i Piotrowskiej (Karbyszewa).

O przebiegu jednego z takich marszy, który odbył się w 1928 roku, można dowiedzieć się z artykułu zamieszczonego w gazecie "Strzelec": "Start o 7-ej. Staje 16 drużyn. Wypuszczają co dwie minuty... "Harley" przywiózł kierownika. Tak sobie, powolutku szykujemy metę, trybunę sędziowską. 12 godzina dochodzi. Raptem okrzyki: "idą...idą..." – wyglądamy. Rzeczywiście. – Dzielna 16-ka (Drużyna Strzelecka z Obw. Radzyń) kłusem pędzi przez ulicę 3 Maja, za nią 12-ka (22 pułk piechoty z Siedlec)...Gwizdek sędziowski! Czas 4 godziny 57 min.8 sekund"...

Każdy zawodnik musiał być ubrany w umundurowanie typu wojskowego oraz mieć ze sobą dwie puste ładownice oraz karabin z pasem bez bagnetu.

Same marsze przypominały nie amatorskie zawody wśród młodzieńców, lecz marsze kolumn wojskowych. Oto co mówił o tym Regulamin zawodów: " Marsz odbywa się w kolumnie zwartej wyłącznie krokiem marszowym; bieg jest wykluczony. Maksymalne rozciągnięcie sekcji w głąb w czasie marszu nie przekroczy 10 mtr. Ostatnie 1000 mtr. przed metą zespoły maszerują w stanie



Antoni Remiszewski, wojewoda lubelski

jak podczas – marszu na punkt kontrolny w szyku zwartym i równym krokiem".

Z uwagi jednak na to, że uczestnicy marszy nie byli zawodowymi żołnierzami, mogli oni zdjąć czapkę i rozpiąć bluzę, a nawet oddać karabin do niesienia swemu towarzyszowi.

Zatwierdzanie wyników i tytułów, określanie lokaty drużyn, przyznawanie nagród należało do komisji sędziowskiej, składającej się z 4 osób powołanych przez kierownictwo Okręgu Związku Strzeleckiego w Brześciu. W skład komisji wchodził też lekarz, który badał stan fizyczny członków każdej drużyny.

Nagrody dla zwycięzców Marszy Nadbużańskich ustanowili w 1928 roku wojewoda lubelski Antoni Remiszewski oraz minister rolnictwa Karol Niezabytowski. Nagrodą ustanowioną przez wojewodę był puchar srebrny, który otrzymywała zwycięska sekcja o bezwzględnie najlepszym czasie. Regulamin zawodów zakładał, że nagroda będzie przechodzić na własność po 3-krotnym zdobyciu, przy tym każdorazowe zdobycie upamiętniano na pucharze z podaniem nazwy sekcji.

Nagrodą ministra rolnictwa był brązowy posążek-strzelec, który otrzymywała zwycięska drużyna strzelecka, zajmująca pierwsze miejsce w grupie strzeleckiej. Po trzykrotnym zdobyciu ona też przechodziła na własność sekcji danego oddziału.

Ciekawe dane o tych i innych nagrodach, które zdobyli uczestnicy marszu w 1928 roku, są we wspominanej już gazecie "Strzelec": "Termin się zbliża z piorunującą szybkością. Zgłasza się 20 drużyn: nasze, 1 wojskowa, 2 policyjne, straż pożarna, 3 Związku Młodzieży Wiejskiej. Dobre i to na początek. Z nagrodami paradowała Komenda Główna, Wojewodowie Poleski i Lubelski, oraz Prezydent miasta Brześcia. Kupiło się fajny puchar z dębowymi listkami i stojącym żołędziem, karabinki, żetony, sprzęt sportowy, portret Dziadka, "prawdziwy zegar" – będzie czym chłopaków obdzielić".

Zgodnie z materiałami z archiwum obwodu brzeskiego nagrody wojewody i ministra w 1928 roku zdobyły: sekcja 22. pułku piechoty z Siedlec oraz sekcja strzelecka z obwodu Miłków.



Członkowie Związku Strzeleckiego podczas ćwiczeń

"PAMIĘTANIE" LUDMIŁY JAKOBSON Z TELECHAN



Dom w Telechanach

Historia... Czym właściwie jest? Być może to wydarzenia sprzed 100 lat, a może to, co odbyło się dopiero wczoraj? Znana polska reporterka Hanna Krall powiedziała kiedyś: "Przecież nie piszemy historii. Piszemy o pamiętaniu". Podzielam tę opinię. Można przeczytać książkę, nauczyć się wszystkich dat i wydarzeń, ale to nie ma sensu, jeśli nie rozumiesz, dlaczego ludzie to robili. A można zapytać żywego świadka wydarzeń i odczuć atmosferę i nastrój tego czasu. Myślę, że jest przestępstwem nie wykorzystać możliwości usłyszenia historii z ust tych ludzi. Wiem to z własnego doświadczenia. Tak pani Ludmiła Jakobson, opowiadając o swoim życiu, pomogła mi przenieść się do lat 30-50 – tych. ubiegłego stulecia. Chciałabym podzielić się tą historią z Wami.



Pani Ludmila i kanal Oginskiego

Urodziłam się w Telechanach (powiat kosowski) w 1927 roku. – opowiada o sobie pani Ludmiła – Moja rodzina ma ciekawą historię. W czasach powstania styczniowego moja prababcia była pielęgniarką. Opatrywała rany samemu Trauguttowi i odprowadzała go wraz z Elizą Orzeszkową do Warszawy. Z historii na pewno wiecie, że właśnie tam Romuald Traugutt został zabity. Niestety, prababcia nie utrzymywała kontaktu z rodziną, ponieważ jej córka, moja babcia, była katoliczką i wyszła za mąż za prawosławnego. Po raz ostatni przyjechała


Probabcia

jako pielęgniarka, żeby odebrać poród u mojej babci. Kiedy urodziła się dziewczynka, wzięła ją na ręce i powiedziała: "Jeszcze jedna męczennica". Nie wiemy, co stało się z prababcią, być może pojechała do Warszawy, a może zesłano ją na Syberię.

Jeszce jedną wielką postacią w mojej rodzinie jest dla mnie ojciec – oficer I wojny światowej, który otrzymał 2 Krzyże Gieorgijewskie za zasługi wojenne.


Ojciec

W 1930 roku cała moja rodzina otrzymała obywatelstwo polskie, a w 1934 roku poszłam do szkoły. Uczyłam się średnio. Wykształcenie było wtedy obowiązkowe do 4 klasy. Moja szkoła była duża – uczyło się w niej jednocześnie około 300 dzieci.

Lata szkolne pozostaną w mojej pamięci na zawsze. Wtedy było zupełnie inaczej niż teraz – dyscyplina była żelazna. W przerwach między lekcjami nauczyciele pełnili dyżury na korytarzu. Było ich niewielu. Dobrze zapamiętałam nauczyciela geografii, pana Gwiazdowskiego i jego żonę, nauczycielkę języka polskiego, nauczyciela śpiewu pana Kanta, który pięknie grał na skrzypcach. Matematykę wykładał pan dyrektor Pierowski, gimnastykę – pan Wyrko. Moją pierwszą nauczycielką była pani Seroczkowska, pan Michalski wykładał historię, a jego żona – literaturę.

Pamiętam, że w tamtych czasach w Telechanach żyli w zgodzie wyznawcy różnych religii. Do jednej szkoły chodzili razem: prawosławni, katolicy, Żydzi. Co czwartek była godzina religijna i wtedy uczniowie rozchodzili się po klasach: katolicy szli do księdza katolickiego, prawosławni – do popa, a Żydzi – do rabina. Mogę powiedzieć, że ci "nauczyciele" kolegowali się ze sobą. Nasza lekcja religii zaczynała się od modlitwy: "Boże, coś Polskę". W klasie na ścianie nad tablicą wisiały od lewej do prawej portrety: Mościckiego, Piłsudskiego, Orzeł Biały a nad nimi krzyż. Dla każdego ucznia to było bardzo bliskie sercu, bardzo patriotyczne. Trzeba powiedzieć, że dzieci bardzo kochały Dziadka Piłsudskiego i kiedy zmarł w 1935 roku, to wszyscy nosili żałobę przez 3 dni. W tym samym roku Żydzi odeszli do swojej własnej szkoły.

Wielką uwagę nauczyciele poświęcali wiejskim dzieciom, które były biedniejsze od żydowskich i musiały pomagać rodzicom w gospodarstwie. Za spóźnienie nie karano, a przy wystawianiu ocen nauczyciele byli lojalni wobec tych dzieci. Dzieci te przychodziły na lekcje w łapciach. Na dużej przerwie wszystkim dawano czarną kawę i chleb ze smalcem. Z tą tylko różnicą, że dzieci z bogatych rodzin płaciły za ten posiłek, dzieci z biednych rodzin dostawały za darmo.

Dzieci, które uczyły się bardzo dobrze, po ukończeniu 7 klasy gmina wysyłała na nieodpłatne studia do Pińska albo Łuninca.

Gdy na dworze było ciepło, dzieci w czasie przerwy bawiły się na podwórku. Było to możliwe tylko pod opieką nauczyciela. Nie wolno było samemu wychodzić na dwór.

Zimą w czasie przerw chodzono parami po korytarzu i śpiewano piosenki. Podczas Bożego Narodzenia mieliśmy w szkole piękną choinkę. Wszyscy uczniowie śpiewali kolędy. Bawili się dookoła choinki, a potem dostawali prezenty: dzieci z bogatych »»»





Wioskowe dzewczęta

»»» rodzin – za koszt rodziców, a dzieci z biednych rodzin na koszt gminy. Prezenty dla biednych dzieci były czasasmi dziwne. Ja na przykład, jednego razu otrzymałam buciki, kawałeczek mydła i ciastko.

Był w naszej szkole również woźny, który, jak i nauczyciele, odpowiadał za dyscyplinę, dzwonił dzwonkiem, zapowiadając lekcje albo przerwę, pilnował jak dzieci się ubierają, sprzedawał kajzerki (bułeczki, które kosztowały 5 groszy).

Pamiętam też, że podczas świąt 11 listopada i 3 maja była bardzo ładna defilada. To było święto dla wszystkich mieszkańców Telechan. Na początku defilady szli rekruci, potem orkiestra, która składała się ze strażaków, dalej uczniowie i nauczyciele z proporcami. Pamiętam, że dzieci przygotowywały się do tej defilady dużo wcześniej: chłopcy wycinali z krzaków gałązki, a dziewczynki sklejały biało-czerwone kartki papieru i wychodziły piękne proporce. Machano nimi podczas defilady. Było pięknie. Potem w Domu Ludowym występował nasz nauczyciel pan Gwiazdowski i aptekarz pan Bocheński, wielcy patrioci Polski. Nie mogli oni zaakceptować i przeżyć przyjścia nowej władzy. Ostatni po przyjściu "Czerwonki ", jak nazywali miejscowi Sowietów, skończył życie samobójstwem.

Na szkolnym podwórku stał wysoki słup. Na nim codziennie latem wznosiły sztandar wolności dzieci z 7 klasy. Kiedy był "ostatni dzwonek" (jak teraz się mówi o ostatnim dniu zajęć w szkole), to one wkładały białe ubrania i czapki i tańczyły na podwórku taniec "Piekarze".

Ciekawe było życie harcerzy. Każdy z nas miał harcerski strój: czerwony krawat, czarny fartuch, guziki z przodu, pasek skórzany. Najlepsza uczennica 7 klasy była drużynową. W moich czasach drużynową była Marysia Mialik. Mieliśmy też zbiórki harcerskie

Po przywitaniu graliśmy w siatkówkę, uczyliśmy się śpiewać, omawialiśmy, kto się źle uczy, kto niegrzecznie się zachowuje. Dla chłopców i dziewczynek zbiórki te były oddzielne. Latem my, harcerze, paliliśmy ognisko nad jeziorem. Śpiewaliśmy i tańczylismy. Było bardzo wesoło.

Latem było jeszcze jedno święto. Miało ono tajemniczą i piękną nazwę – Święto Morza. Urządzano je niedaleko pałacu Ogińskiego, który zniszczono po przyjściu Sowietów. Przez jezioro robiono pomost, łącząc 2 barki, z czego wychodziło miejsce dla tańców. Po bokach stały ławki, grała orkiestra. Młodzież tańczyła, dzieci biegały. Z Pińska na święto przyjeżdżali marynarze. Młode dziewczyny miały na głowie wianuszki z kwiatów, które puszczały na wodę. O 11 godzinie wszystkie dzieci szły do domu. Ale na tym święto dla nas się nie kończyło – w domu my otwieraliśmy okna i do rana słuchaliśmy orkiestry. Grano tango, fokstrota, mazurka, walca. Ślicznie śpiewały Hanka Kileszkowska i Lodzia Brzostowska. Było przepięknie!

Już w tamtych czasach przyjeżdżało do naszej miejscowości dużo turystów z Gdyni, z Warszawy, żeby zobaczyć Bug, Muchawiec, pałac i kanał Ogińskiego.


Marynarz z Pinsku i wioskowa dzewczyna

Już wcześniej mówiłam, że bardzo mi się podobały tamte czasy, ponieważ wtedy był wszędzie porządek. Na ulicach stały kosze na śmieci, codziennie chodził policjant i sprawdzał, czy wszystko w porządku.

"Leciał orzeł biały wysoko i odleciał. W 1939 roku po raz ostatni poleciał on bronić Ojczyzny, i trafiła go kula czarnego orła, i polała się krew, i zalała całą Polskę". 1 sierpnia 1939 roku, gdy uczniowie przyszli do szkoły, ona była zajęta przez rekrutów wojska polskiego, którzy szli na front. Nigdy więcej nie uczyłam się w polskiej szkole.

W tym samym roku przyszli Sowieci. Wiadomość ta szybko obleciała Telechany. "Наши идут! Красная армия!" – słychać było ze wszystkich stron. Wiejskie dziewczyny ubierały się jak najładniej. Białorusini i Żydzi wybiegali z czerwonymi kokardkami przywitać ją. Długo ich nie było. Przyjechali.

Bardzo dobrze pamiętam: ciężarówka, siedzieli w niej żołnierze w pilotkach. Starszy wyszedł – okrągła czapka, ręce trzyma w kieszeniach i krzyczy "Здравствуйте!"

Wydawało się wtedy, że wszystkim podoba się nowa władza, ale byli i niezadowoleni. Jeden marynarz z Flotylli Pińskiej powiedział ludziom: "Prędko wasze flaki będą wisieć jak te flagi". Czerwone sztandary rozwijały się tam, gdzie był posterunek. Potem ktoś z ludzi starszych opowiadał, że powieszono tego marynarza za te słowa.

Pamiętam, że polscy żołnierze wtedy, ratując się od "Czerwonki", szli na Hancewicze (tam była zbiórka), a potem do Rumunii. Ciężko było żołnierzom. Po tych samych drogach szli też miejscowi chłopi-złodzieje, którzy zabijali żołnierzy polskich, rabowali ubrania i obuwie i wrzucali ich do bagna.

Od tamtego czasu zajęcia w szkole były tylko w języku rosyjskim. Z nauczycielami obchodzono się bez ceregieli. Pana Gwiazdowskiego zabrano do celi do Kosowa, gdzie zmarł. Panią Gwiazdowską, jego żonę, ciężarną, z małym dzieckiem, wysłano w wagonie bydlęcym na Syberię. Nie było łatwo, ale ona – silna kobieta – wytrzymała to wszystko. Musiała wytrzymać. Wiem, że wyjechała do Polski dopiero po śmierci Stalina.

Tylko w pierwszych dniach wojny zostało zabitych dwa tysiące Żydów, którzy stanowili 70 procent mieszkańców Telechan. Partyzanci grabili wszystkich: »»»

»»» biedniejszych i bogatszych. Wojna zmieniła życie każdej rodziny i całego narodu.

Potem szybko mijały lata, życie... Pytasz mnie: jak potrafiłam tak długo nie zapomnieć języka polskiego? Odpowiem ci na to pytanie. Kiedy biskup Świątek był u nas w Telechanach, zapytał mnie: "Dzięki czemu Pani tak dobrze rozmawia po polsku?" Odpowiedziałam: "Nie chciałam zapomnieć języka ojczystego!"

Moja działalność literacka rozpoczęła się w 2001 roku, kiedy zobaczyłam "Echa Polesia". Opisałam Telechany, Kanał Ogińskiego, przyrodę. Potem napisałam artykuły "Szlachcianka", "Moja szkoła", "Tęsknota za Ojczyzną", "Poryczanka". Pisałam też dużo o Żydach. Można powiedzieć, że to oni odbudowali Telechany po I wojnie światowej, ponieważ otrzymywali pomoc z Ameryki i po 19 latach Telechany znów stały się uroczym miasteczkiem, które tętniło życiem.

Życie tak szybko przemija... Mam już 87 lat. Chciałabym jeszcze dużo czego zrobić, ale choroba mi nie pozwala. Jestem jednak szczęśliwa. Mam wspaniałą rodzinę. Mam bogatą przeszłość. W ubiegłym roku byłam na spotkaniu opłatkowym w konsulacie. Piszę swoje teksty do "Ech Polesia". Dzięki Bogu mam jeszcze na to siły.

Czas rzeczywiście szybko leci... Rozmawiając z tą skromną kobietą, która nie zrobiła nic nadzwyczajnego, po prostu kocha swoje życie, rodzinę i historię swojej Ojczyzny, zrozumiałam, że tworzymy historię każdego dnia poprzez swoje myśli, słowa, czyny. Wiem, że być bohaterem każdego dnia o wiele trudniej, niż zostać nim jeden raz. Dlatego serdecznie dziękuję pani Ludmile Jakobson za rozmowę i mam nadzieję, że ten wywiad pozostanie na długie lata nie tylko w moim, ale też w Państwa sercach i umysłach.

Z Panią Ludmiłą Jakobson
rozmawiała **Karina Homziuk**,
uczennica kl.11 Polskiej Szkoły
Społecznej im.I.Domeyki w Brześciu





Trzebnica, dn.11.01.2014r.

Wielka niespodzianka mnie spotkała jak otrzymałem pocztą Wasz kwartalnik "Echa Polesia" Nr.2/2013r. od mojej kuzynki, która mieszka w Nowej Myszy w rejonie Baranowickim. Jakie piękne opracowanie naszej rodzinnej miejscowości i naszego kościoła.

My mieszkaliśmy 5 km od Nowej Myszy na kolonii Pławiszcze. W tym kościele rodzice brali ślub, ja i mój brat byliśmy ochrzczeni. Jak niewiele wiedzieliśmy o naszych rodzinnych stronach. To właśnie dzięki Wam i waszemu wydawnictwu "Echa Polesia" możemy poznać wspaniałych ludzi i historię tej ziemi. Najważniejsze w tym to że tę wiedzę mogę przekazać swoim wnukom i prawnukom: skąd pochodzą ich dziadkowie i pradziadkowie.

Ja miałem sześć lat jak nastała wojna. Nie próbuję opisywać czasu okupacji rosyjskiej ani niemieckiej. Na pewno mieliśmy szczęście od Boga że cudem przeżyliśmy, bo czas był bardzo ciężki i niebezpieczny. W 1945 r. po wyzwoleniu z okupacji niemieckiej przez armię radziecką ojca aresztowano. Mama pisała do Mińska starając się o ułaskawienie, że jest chory i w ciężkim stanie. Zapisała się na wyjazd do Polski w Baranowiczach, bo tam był urząd repatriacyjny.

Nie wiemy na jakiej podstawie, ale ojca po 10-ciu miesiącach zwolnili. Po powrocie do domu natychmiast zdecydował o naszym wyjeździe do Polski. Oświadczył, że tu dla nas życia nie będzie. 18 lipca 1945 roku w Baranowiczach podstawiono pociąg dla Polaków, wyjeżdżających do Polski. W ciągu jednego dnia musieliśmy wyprowadzić się i załadować na wagony. Przy wyprowadzce pomagali sąsiedzi swoimi wozami konnymi przewieść rzeczy do Baranowicz. Zabraliśmy tylko niezbędne rzeczy osobiste i paszę dla zwierząt, bo mieliśmy trzy krowy, dwa źrebaki, kilka owiec i indyków. Innych bogactw nie mieliśmy, bo wszystko zostało stracone w czasie wojny. Ojciec zabrał podstawowe narzędzia rolnicze, jak brony, pługi i td., bo liczył że będzie gospodarzyć. Wszystko co zostało ojciec z mamą rozdali sąsiadom, bo wszystkiego zabrać było nie sposób.

Ten wyjazd był bardzo smutny i przygnebiający dla naszej rodziny. Odjazd pociągu był wieczorem tego samego dnia.

Na pożegnanie przyszli nasi najbliżsi sąsiedzi z wioski, z Nowej Myszy i Baranowicz. Wszyscy czekali do chwili naszego odjazdu. Pożegnanie było bardzo bolesne dla moich rodziców, że muszą opuszczać swój rodzinny kraj i swoją ziemię; wszyscy płakali – i my odjeżdżający, i odprowadzający nas.

Zapisani byliśmy do Białegostoku, ale niestety skierowano nasz transport na zachód, na poniemieckie ziemię odzyskane. Nie pytano nas dokąd chcemy – w bydlęcych wagonach wieźli na zachód w nieznane. 4 sierpnia 1945 roku po 16-tu dniach dojechaliśmy do końca naszej podróży.

Miejscem naszego dalszego życia okazało się że będzie miasteczko Trzebnica – wyludnione i spalone, położone o 25 km na północ od Wrocławia. Osiedliliśmy się na skraju miasteczka na gospodarstwie. Była obora dla krów i koni, stodoła spalona, dom przeciekał, okna powybijane.

Początki naszego życia były bardzo przygnębiające i smutne, nic nas nie cieszyło, bo tu wszystko było obce.

Prawie całe życie przeżyłem z rodzicami na gospodarstwie, na którym osiedliliśmy się w 1945 roku.

Rodzice do końca swojego życia, a szczególnie w uroczystości i święta, wspominali z wielką tęsknotą o rodzinnym kraju i o tamtym życiu.

Po 26 latach ja z mamą pojechaliśmy do brata mamy, który mieszkał w Baranowiczach odwiedzić swoje rodzinne strony. Na drugi dzień o poranku poszliśmy 8 km na nasze Pławiszcze. Po tym co zobaczyliśmy, ogarnęło nas przerażenie. Nie było ni budynków, ni sadu, ni studni z żurawiem, a ziemia zaorana do żółtego piasku. Wyglądało to tak, jak by tutaj nic nigdy nie było i nikt tu nigdy nie mieszkał. Chodziłem po tym polu gdzie stał nasz dom i odnalazłem kawałeczek cegły z naszego pieca, na którym spaliśmy zimą. Jedynie pozostał las – chodziłem po nim i szukałem ścieżek, po których biegałem jako dziecko.

Przeżyłem tam tylko 12 lat, a jak głęboko w pamięci pozostaje ta tęsknota za krajem rodzinnym! Mimo że mam już 80 lat, staram się jak najczęściej jeździć w swoje strony rodzinne – tam wszystko jest mnie drogie i bliskie, tam jest i chleb smaczniejszy, i klimat zdrowszy.

Proszę mnie wybaczyć za moją śmiałość, że pozwoliłem sobie zwierzyć się z naszego życia i przeżyć naszej rodziny na tej obcej ziemi.

Bardzo bym chciał otrzymywać "Echa Polesia" 'Na tym kończę, serdecznie pozdrawiam całą redakcję.

Jeszcze raz bardzo przepraszam. Mój adres:

Antoni Godycki Ćwirko

Red. Serdecznie dziękujemy Panu za list i przesłaną sagę rodzinną, która pokazuje historię rodu z panoramą historyczną burzliwego XX wieku w tle. Na pewno wykorzystamy Pana wspomnienia i fotografie , przekażemy je również mieszkańcom Nowej Myszy, do bibioteki i parafii. Wyrażamy wielkie uznanie dla Pana wierności swojej ziemi , swoim korzeniom .



Ten list zaczęłam pisać w kwietniu br. Po otrzymaniu kwartalnika "Echa Polesia" Nr.1/37/2013, w którym przeczytałem życiorys Ojca Michała Woronieckiego. Okoliczności tak się złożyły, że dopiero teraz udaje mi się go zakończyć.

Miałam szczęście poznać tego wspaniałego, mądrego, wrażliwego i bardzo skromnego, dobrego zakonnika.

Poznałam go dzięki spotkaniu w Wilnie jego Matki Heleny Woronieckiej, z którą zapoznała mnie moja przyjaciółka, studiująca wówczas w latach 50-tych ubiegłego wieku na Uniwersytecie Wileńskim.

Pani Woroniecka, po aresztowaniu syna w 1949 roku zamieszkała w Wilnie u swoich kuzynek.

Dzięki parafianom z parafii Łysków, którzy organizowali pomoc dla Ojca Michała Woronieckiego i jego Matki – zbierali produkty i pieniądze, i przekazywali Pani Woronieckiej przez braciszka zakonnego Brata Ludwika do Wilna, Matka Ojca Michała mogła od czasu do czasu wysyłać synowi paczki do Kazachstanu, gdzie przebywał, między innymi w kopalni w Dżeskazganie. Pani Woroniecka okazywała mi dużo współczucia, gdyż w latach 1949-52 ukrywałam się przed aresztowaniem. Byłam nawet zaproszona na Wigilię w 1951 roku i mieszkałam u Niej przez jakiś czas. W Wilnie znalazłam się dzięki pomocy mojej przyjaciółki, która uważała, że w Wilnie będę bezpieczniejsza niż na Białorusi, gdzie mnie poszukiwano. Dzięki jej pomysłowi dostałam się niezupełnie legalnie, na kursy dla nauczycieli klas podstawowych, po zakończeniu których mogłabym pracować w szkole na Wileńszczyźnie.

Niestety, ten pomysł niezupełnie udał się, gdyż po trzech miesiącach zostałam aresztowana i wywieziona do Kazachstanu, gdzie wraz z innymi zesłańcami pracowaliśmy na plantacjach bawełny.

Z Kazachstanu napisałam list do Matki ojca Michała Woronieckiego. Otrzymałam od Niej adres Ojca Michała.

W sierpniu 1952 roku otrzymałam pierwszy list Ojca.Dodawał mnie otuchy swoimi mądrymi listami i modlitwami. Mimo iż nie wszystkie nasze listy dochodziły, korespondencja trwała.

W 1953 roku w Kazachstanie znalazły się także moja Mama i siostra.

W lutym 1954 roku otrzymałam w liście, napisany przez Ojca Michała wiersz "Matka", pełen synowskiej miłości. Wysyłam Państwu xero tego listu. Jest tak piękny, że może warto ten wiersz umieścić w kwartalniku?

Korespondencja nasza trwała do 1956 roku, gdy na skutek amnestii Ojciec Michał był zwolniony z łagru, a w 1956 roku ja z Mamą i siostrą też wyjechałyśmy z Kazachstanu do Polski

Gdy Ojciec Michał objął parafię w Różanie, nasza korespondencja trwała nadal. Odwiedzając rodzinne strony w późniejszych latach zawsze jeździłam do Różany, gdyż przed wywozem moja rodzina mieszkała w powiecie Wołkowyskim, niezbyt daleko od Różany.

Nasza korespondencja trwała też po wyjeździe Ojca Michała do Grodna. Uważam, że miałam ogromne szczęście dzielenia się swoimi myślami z tym świętym kapłanem. Wspominam Go z wielką wdzięcznością. Jego listy były pełne życzliwości i dobroci.

Kończąc, przesyłam serdeczne pozdrowienia,

Anna Błażejewicz

Matka

Słowo tak proste a ileż w nim treści!
Bezmiar miłości i łez ono mieści.
Matka w mej jutrzni to zorza na niebie,
Co niosła ciepło i siłę w potrzebie.
Niepokój i troska o los jej kochania
Towarzyszą wiernie aż do skonania.
Pełna ofiary, stałe poświęcenia
Nie znają granic trudu i zmęczenia.
Jej serce z trwogą bijące latami
Wciąż było przy mnie – tchnące uczuciami.
Matka – to wierne i czułe kochanie,
Co nie zna więcej, jak tylko oddanie.
Jej moje bóle – krwawymi cierniami.
Moje radości – jej szczęścia chwilami.
Tyś mnie uczyła, matko, z niepojętą
Słodyczą paciorka, ową pieśń świętą,
Co naszego serca w poranku wiośnie
Pierwszym jest hołdem Bogu, co radośnie,
Jak świergot skowronka, miły i czysty
W niebo ulata.
Skarbnicą ojczystej
Mowy jest pacierz i piosenką …….(?).
Te skarby przejmuje dziatwa niewinna
Od mądrej matki i strzeże je pilnie
W sercu, jak w twierdzy. A wróg choć usilnie
Chciał by ją zdobyć – daremnie! Niedostępna
I silna – chyba że przemoc podstępna
Zdradziecka złamie lub samo szkaradnie
Odda wrogowi i w ruinie padnie.
Ogrom bożych łask, wiary i miłości
Wlany w serce matki, wiecznie w nim gości.
Tymi darami podzielił się hojnie
Bóg tylko z nią. Szafuje więc dostojnie
I godnie tylko ona.
Bezmierny dług
Winny każdy swej matce. I tylko Bóg
Spłacić go może zupełnie, w całości!
Nie skąp jej, dziecię, swej czułej miłości!

ks. M.Woroniecki CM

PRZEGLĄD PRASY POLSKIEJ I POLONIJNEJ OD ALEKSANDRA SIEMIONOWA

POLSKA

Z DANYCH bazy PESEL wynika, że w Polsce żyje wiele osób, które mogą pochwalić się zbieżnością swojego imienia i nazwiska ze znanymi postaciami historycznymi czy bohaterami literackim. 121 mężczyzn nosi zaś imię i nazwisko Adam Mickiewicz.21 Bolesławów Prusów .W Polsce żyje też 111 Janów Kochanowskich,15 Marii Konopnickich . 47 mężczyzn nazywa się Jan Matejko, 58 – Tadeusz Kościuszko, a czterech – Mikołaj Kopernik.Prawie 270 mężczyzn w Polsce nazywa się tak jak laureat Nagrody Nobla – Henryk Sienkiewicz. Wielu Polaków nosi również nazwiska historycznych władców Polski: 2 – Kazimierz Wielki, 128 – Władysław Jagiełło, 14 – Stefan Batory, 87 – Jan Sobieski oraz 48 – Stanisław Poniatowski.

PRAWIE 80 MLN zł trafiło w roku 2013 do 130-tysięcznej mniejszości niemieckiej na Opolszczyźnie. W tym samym czasie rząd niemiecki – w ramach umowy, na którą zgodził się rząd Tuska w 2011 r. – ma płacić organizacjom polonijnym w RFN – liczącym 400 tys. aktywnych członków 328 tysięcy złotych. Ale to tylko teoria, bo rząd federalny wstrzymał wypłacanie tych dotacji już w ubiegłym rok . Subwencja na wszystkie mniejszości w Polsce wyniosła blisko 281 mln zł. Pieniądze te – w postaci subwencji oświatowej – trafiły do samorządów prowadzących szkoły, gdzie odbywa się nauka języka mniejszości lub dodatkowe zajęcia edukacyjne mające na celu pielęgnowanie kultury i tożsamości narodowej.

METROPOLIE brylują w Europie: Wrocław, Poznań, Katowice, Łódź i Kraków są w pierwszej dziesiątce miast Europy pod względem przyciągania inwestycji. I tak Wrocław i Katowice są w czołówce dużych miast europejskich, do których trafiło najwięcej projektów. Z kolei w kategorii strategii przyciągania inwestycji wśród krajów Europy Wschodniej na czele są Katowice, Wrocław i Poznań, a w pierwszej dziesiątce znalazło się aż sześć polskich metropolii. Wrocław znalazł się również w doborowym towarzystwie dużych miast europejskich w kategorii przyjazności dla biznesu.

BUDOWA hali amerykańskiego Polaris w Opolu rozpoczęła się we wrześniu ub. roku. Rocznie z taśm montażowych w Opolu ma zjeżdżać ok. 25 tys. pojazdów. Inwestycja warta jest 100mln zł.Dyrektor operacyjny Polaris Polska powiedział PAP, że w zbudowanej hali o powierzchni ponad 30 tys. metrów kw. jest miejsce na spawalnię, lakiernię, a także na linie produkcyjnei montażowe z robotamiprzemysłowymi. Będą w niejprodukowane trzy rodzajepojazdów off-roadowych: popularne quady, pojazdy wieloosobowe typu Ranger i rekreacyjno-sportowe RZR.Polaris zakończył też rekrutację kadry kierowniczej. Amerykański inwestor ma już zespół inżynierów, logistykówi kontrolerów jakości. Obecnie trwa nabór pracownikówfizycznych. Według zapowiedzi do połowy roku zatrudnienie w Polarisie znajdzie350 osób. Potem, jeśli będą zamówienia, nawet 500 osób. Produkowane w Opolu pojazdy mają trafiać do odbiorców w Europie, Azji, Afryce, na Bliskim Wschodzie, a nawet w Australii. Firma Polaris Polska należy do amerykańskiej grupy Polaris Industries, która powstała w 1954 r. w Minnesocie. Obecnie zatrudnia 4,5 tys. pracowników i jest notowanana amerykańskiej giełdzie. Koncern ma fabryki w USA, Francji i Meksyku i Indiach. Polaris Polska w Opolu topierwsza europejska siedziba amerykańskiej firmy. Zakład w Opolu powstaje od początku, na zielonym polu .Fabryka zainwestowała na 12-hektarowej działce. Wokół Polarisa lokują się też firmy,które liczą na współpracę z inwestorem. Tak duża inwestycja z pewnością zmieni mapę rynku pracy w mieście i okolicy.

DO NIEDAWNA największe miasto we wschodniej Polsce-Lublin nie miało swego lotniska. A teraz po roku otwarcia nowoczesnego lotniska obsłużyło ono za rok 190.000 pasażerów. Za 3 lata planują obsługiwać nawet 1 milion pasażerów rocznie. Lubelskie lotnisko jest teraz najmłodszym lotniskiem w Unii Europejskiej. Już bezpośrednio z Lublina można trafić do Dublina, Mediolanu, Oslo ,Londynu i do Rzymy. Oprócz tego z Lublina odbywają się loty czarterowe dla turystów do Turcji, Bułgarii, czy Egiptu.

FUNDACJA ROZWOJU Elektrokardiologii im. dr. Seweryna Sterlinga – KARDIORYTM w chwili obecnej »»»

»»» zdobywa środki na utworzenie Polonijnego Centrum Kardiologii w nowo wybudowanym Centrum Kliniczno-Dydaktycznym Uniwersytetu Medycznego w Łodzi. W tym centrum planowane jest bezpłatne leczenie w Polsce najbiedniejszych mieszkańców Ukrainy, Białorusi, Litwy, Kazachstanu, Mołdawii i Rosji – a w szczególności obywateli pochodzenia polskiego, dotkniętych chorobami układu sercowo-naczyniowego. Koszty związane z leczeniem za granicą są wysokie i najbiedniejszy obywatel nie jest w stanie zgromadzić odpowiednich środków, by podjąć tego rodzaju leczenie. Taka osoba stanie się odbiorcą pomocy, którą ma nieść Polonijne Centrum Kardiologii w Łodzi. KARDIORYTM uzyskała wstępną zgodę firm sprzętowych na możliwość zakupienia w preferencyjnych cenach stymulatorów serca i/lub kardiowerterów-defibrylatorów serca. Wiodący lekarze kardiolodzy zgodzili się nieodpłatnie wykonywać zabiegi pacjentom z krajów wschodnich. Opracowany przez KARDIORYTM projekt jest przejawem troski i opieki, którą możemy, a także powinniśmy otoczyć mieszkańców krajów Europy Wschodniej, w tym diaspory polskiej, dotkniętych problemami zdrowotnymi, nie posiadającymi możliwości leczenia kardiologicznego w kraju swojego pobytu.

JEDNĄ Z NAJWIĘKSZYCH batalii ostatnich lat w Polsce była walka wierzących Polaków za prawo mieć w domu TV Trwam. Ta walka skończyła się sukcesem tych setek tysięcy wierzących ludzi, którzy masowo wychodzili na ulicy, zbierali podpisy za to, żeby ta ICH telewizja miała prawo , jak i dziesiątki innych kanałów telewizyjnych , być szeroko dostępna dla wszystkich. O to w jakoby katolickim kraju, jakim jawi się w Europie Polska, trzeba było kilka lat walczyć. Znam kilku ludzi , którzy są ateistami, a wychodzili bronić tej religijnej TV, tylko z tego powodu, że oni nie mogli psychicznie znieść takiej niesprawiedliwości w jakoby wolnej i demokratycznej Polsce. I teraz 99 % mieszkańców Polski ma możliwość oglądać tą katolicką telewizje.

ORGANIZACJE DOBROCZYNNE w Polsce coraz śmielej wykorzystują możliwości internetowe.Siostry Benedyktynki z Jarosławia mając kilka budynków klasztornych do remontu ani mając ani grosza na remont nie wstydziły się poprosić pomocy za pośrednictwem swojej strony internetowej. No i co myślicie? Na ten ich apel odezwało się około 4.000 ofiarodawców, którzy ofiarowali na ten szczytny cel-450.000 zł. Ludzi dobrej woli dali 150.000 $ na remont klasztoru.Oczywiście w internecie siostry pokazały przebieg prac i na co konkretnie poszły pieniądze. Idąc za ciosem Siostry planują odremontować kolejne budynki klasztoru i znów apel i znów tysiace Polaków ofiarują swoje pieniądze znając na co konkretnie one idą. Jest to sytuacja całkowicie nie do wyobrażenia na Białorusi, gdzie większość ludzi nie rozumie jak to można oddawać swoje ciężko zarobione pieniądze. No cóż, do wszystkiego trzeba dorosnąć.

AŻ 96 % dorosłych Polaków uważa za słuszne przeszczepianie narządów pobranych od zmarłych. Na oddanie po śmierci własnych narządów do transplantacji godzi się 85 % obywateli Polski.

W INTERNECIE można odnaleźć blisko 2 miliona z 10 mln. grobów w Polsce. Żeby odnaleźć grób, wystarczy na odpowiedniej stronie wpisać imię i nazwisko zmarłego. Największą bazę danych (750.000 grobów w 90 miastach) ma firma z Mikołowa na Śląsku , która od kilku lat prowadzi portal www.polskie-cmentarze.com .Każdy grób ma opis(imię, nazwisko,data urodzenia i śmierci) zdjęcie i lokalizację grobu na mapie cmentarza).

W 2013 R. Polska była największym producentem jabłek w UE. Cala Europa zebrała w ub. r. 10,8 mln. ton jabłek z czego aż ,2 mln. ton zebrała Polska. Polska zajmuje –pierwsze miejsce w Europie i trzecie w świecie po Chinach i USA.W ub.r. Polska wyeksportowała 1,2 mln. ton jabłuszek, z tego do Rosji pojechało około 1 mln. ton. Stanowiło to przytłaczającą cześć rosyjskiego importu jabłek.

BIAŁORUŚ

TROCHĘ KATOLICKIEJ STATYSTYKI z Białorusi. Teraz mamy na Białorusi 14 pomników naszego kochanego Jana Pawła II. Aktualnie pracuje na Białorusi około 500 księży katolickich, z czego 130 z Polski.Grodzieńską Seminarium ukończyło ponad 200 księży.Na Białorusi około 15 % mieszkańców to katolicy.W Mińsku na 2 mln. mieszkańców mamy około 300.000 katolików.Niestety na tylu katolików Mińsk ma tylko 4 kościoły i to wszyscy w centrum miasta. Władze dały pozwolenie na budowę jeszcze 10 kościołów.W tej chwili jednak z powodu braku pieniędzy buduję się tylko 5 świątyń.

BIOGRAMY kolejnych 860 polskich obywateli znalazły się na rekonstruowanej tzw. liście katyńskiej, dotyczącej co najmniej 3870 zamordowanych przez NKWD na terenie obecnej Białorusi. Miejscem ukrycia zwłok Polaków prawdopodobnie są Kuropaty pod Mińskiem. Podejmowane od lat starania Polski odkryć prawdę o naszych obywatelach na razie nie przynoszą skutków. Bo ani Moskwa, ani Mińsk nie mają chęci pomóc w odkryciu tej prawdy.

UKRAINA

25.000 PACZEK z żywnością i odzieżą trafiły do ukraińskich rodzin dzięki Polakom, którzy skorzystali z darmowej wysyłki paczek na Ukrainę w ramach akcji Poczty Polskiej "Paczka dla Ukrainy". Konserwy, cukier, ryż, płatki, czekoladę, ubranie, środki czystości – nadal docierają do wszystkich regionów Ukrainy – od Lwowa do Doniecka. Przeważnie adresatami stali się osoby polskiego pochodzenia albo rodziny katolickie .Zgodnie z regulaminem akcji każdy Polak, jako osoba fizyczna, mógł wysłać tylko jedną paczkę, bezpłatnie ,wartość której nie przekraczała 300 Euro. Czas dostarczenia takich paczek do ukraińskich adresatów to 8-12 dni.

NA MAJDANIE w Kijowie stali nie tylko Ukraińcy, ale i ludzie innych narodowości. Oczywiście nie zabrakło i Polaków z Zachodniej Ukrainie. Nasza katolicka katedra w Kijowie znajduję się obok Majdanu i była w centrum tragicznych wydarzeń. Proboszcz niedługo zastanawiając się otworzył drzwi katedry w samy tragiczny i krwawy moment powstania, gdzie zorganizowali szpital polowy i kuchnie dla obrońców Majdanu. Narodowość i wiara schronionych rannych nie miała żadnego znaczenia. Pamiętamy ,żę na scenie na Majdanie stała figurka Matki Bożej Fatimskiej, którą przywieźli księża katoliccy z parafii Dowbysz .To ona otaczała swoją matczyną opieką Ukraińców walczących z dyktaturą Janukowicza. Grekokatoliccy kapłani rozpoczęli ,a za nimi w ślad poszli i księża katoliccy –rozdawać wszystkim chętnym różańce. I tu,na miejscu, kapłani uczyli ludzi się modlić na różańcach. Takim sposobem na Majdanie było rozdano około (uwaga)-700.000 różańców.

PODCZAS POLSKO-UKRAIŃSKIEGO "okrągłego stołu", który odbył się z okazji jubileuszu 25-lecia Związku Polaków na Ukrainie , polska społeczność Żytomierszczyzny przedłożyła ukraińskim władzom obwodu listę problemów, które od dawna nurtują Polaków. Postulaty Polaków z Żytomierza to m.in.:

– zwrot rzymsko-katolickiej żytomierskiej parafii katedralnej "Domu Księży" zajmowanego przez muzeum krajoznawcze.

– umieszczenie tablicy pamiątkowej poświęconej Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu.

– zmiana nazwy jednej z ulic w centrum miasta, która do dzisiaj nosi nazwę Jakira, bolszewickiego zbrodniarza, i nadanie jej imienia Ignacego Jana Paderewskiego.

– przywrócenie nadawania programu telewizyjnego "Słowo polskie" na kanale telewizji regionalnej w języku polskim, który od 1993 do 2009 roku był nadawany właśnie po polsku, następnie od 2009 roku poczęto go transmitować po ukraińsku. Obecnie program zupełnie zniknął z telewizji.

– rozważenie otwarcia w Żytomierzu pełnej polskiej szkoły średniej z nauczaniem w języku polskim – w latach 20-tych i 30 – tych ubiegłego wieku w Żytomierzu działało kilka polskich szkół, a w obwodzie do lat 40-ych działał polski rejon (rejon marchlewski).

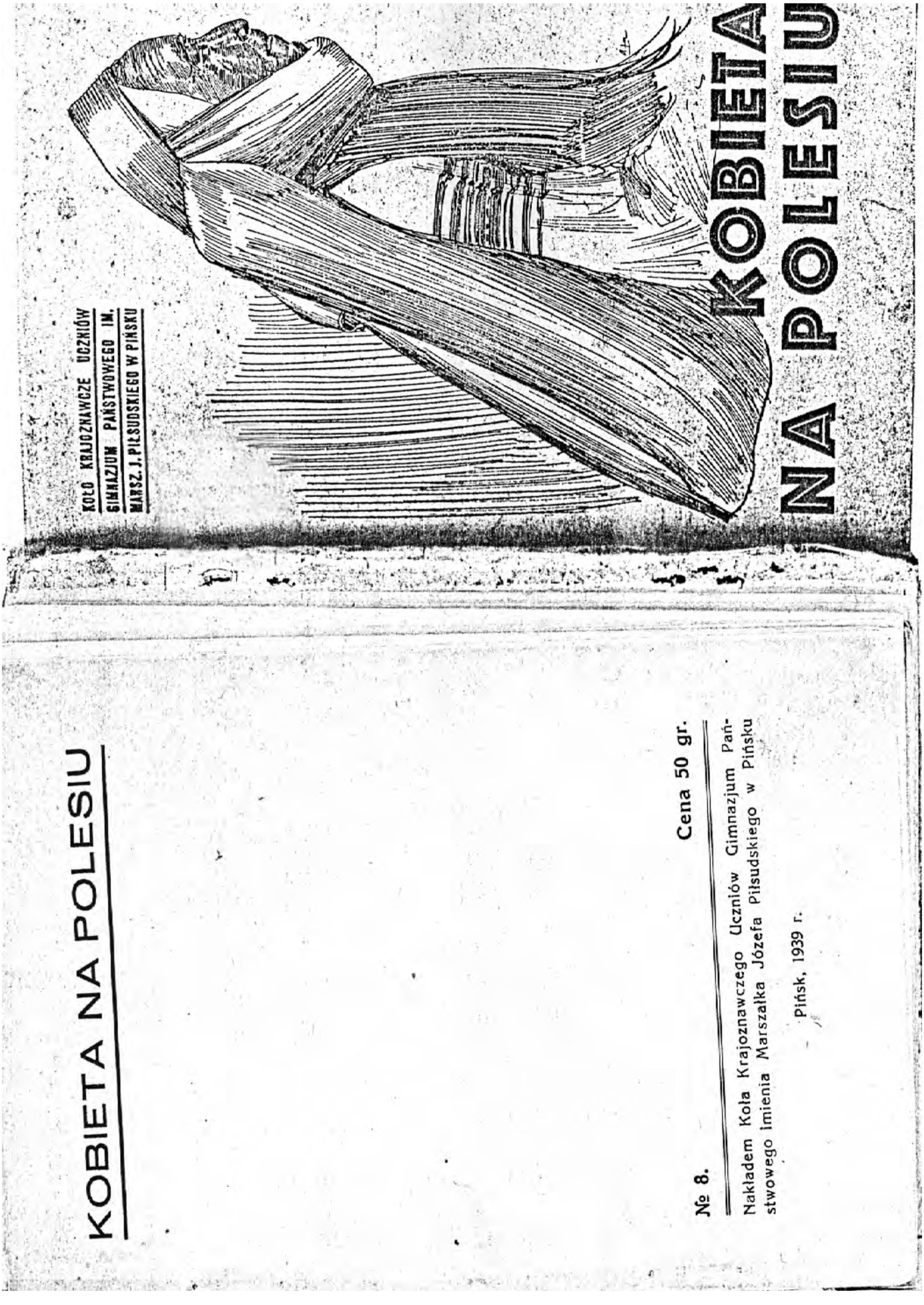
– rozważenie możliwości utworzenia na Uniwersytecie im. I. Franki w Żytomierzu wydziału polonistyki, który zapewniłby przygotowanie kadr w zakresie "nauczyciel języka i literatury polskiej". To stworzyłoby warunki do skompletowania klas z polskim językiem nauczania w szkołach obwodu żytomierskiego.

POLACY mieszkające na Krymie mają wielki dramat. Ich diecezja odesko-symferopolska, położona na południu Ukrainy, obejmująca także Krym, wskutek rosyjskiej agresji została podzielona. Na razie 12 katolickich parafii na Krymie działają normalnie. W ostatnim czasie przyjęli także opiekę nad grekokatolikami ,których kapłani byli zmuszeni opuścić Krym. Na szczęście ani jeden ksiądz katolicki nie opuścił swoich wiernych. Wierni z cerkwi prawosławnej należącej do Patriarchatu Kijowskiego pytają teraz u księży katolickich na Krymie, czy będą mogli korzystać z katolickich świątyń, gdyby ich cerkwie zostały przez Rosjan zamknięte lub zabrane przez Patriarchat Moskiewski. Myślę ,że kościół katolicki w razie potrzeby , (jeżeli Moskiewski Patriarchat zabierze sobie ich cerkwie) nie zostawi swoich braci prawosławnych pod gołym niebem i pozwoli im modlić się w naszych katolickich świątyniach.

ROSJA

W ROSYJSKIM MIEŚCIE KOTŁAS (obwód Archangielski)został odsłonięty pomnik poswięcony Polakowi Eugeniuszowi Bodo. Pomnik powstał z inicjatywy Ministerstwa Kultury RP i Instytutu Polskiego w Petersburgu. Bodo to najpopularniejszy polski aktor filmowy przedwojennej Polski, zagrał w ponad 30 filmach i jego uwielbiała cala Polska. Po wkroczeniu Sowietów do Lwowa został aresztowany przez NKWD i siedział 2 lata w moskiewskim więzieniu. A potem dostał 5 lat łagru, gdzie i zmarł z wycieńczenia i głodu.

W DZIEŃ kiedy nasz kochany Jan Paweł II został kanonizowany w Rzymie, w Rosji nad Wołgą w Toliatti biskup diecezji w Saratowie Clemens Pickel poświecił kamień węgielny pod pierwszy kościół pw. św. Jana Pawła II w Rosji.



KOŁO KRAJOZNAWCZE UCZNIÓW
GIMNAZJUM PAŃSTWOWEGO IM.
MARSZ. J. PIŁSUDSKIEGO W PIŃSKU

KOBIETA NA POLESIU

KOBIETA NA POLESIU

№ 8.

Cena 50 gr.

Nakładem Koła Krajoznawczego Uczniów Gimnazjum Państwowego Imienia Marszałka Józefa Piłsudskiego w Pińsku

Pińsk, 1939 r.

KOBIETA NA POLESIU

Drodzy Czytelnicy, prezentujemy dziś w nowej rubryce " Z teki poleskiego archiwisty" fragment unikatowej broszury pt."Kobieta na Polesiu", wydanej w Pińsku przez Koło Krajoznawcze Uczniów Gimnazjum Państwowego im. Marszałka Józefa Piłsudskiego . Teksty do broszury przygotowywali sami uczniowie, gimnazjaliści z różnych zakątków Polesia: z Dawidgródka i Janowa Drohiczyna i Stolina, Pińska i okolic. Wiele materiałów etnograficznych powstawało jako owoc pracy badawczej w oddalonych wioskach i miasteczkach Polesia. Teksty przedwojennych gimnazjalistów są dla nas bezcennym zródłem informacji o wszystkich sferach życia: o pracy, obyczajach, świętach, o życiu materialnym, duchowym i społecznym naszych przodków.

DOLA PARASKI

Cichy, mroźny, zimowy wieczór otulił świat szarą, srebrzystą płachtą. Cisza. Tylko od czasu do czasu przerywa ją głuchy łoskot, dochodzący od strony stawu i rzeki. To lód z hukiem pęka od mrozu. Śnieg skrzypi pod nogami przechodnia. Zima objęła w swe władanie świat. Mróz pięknie ustroił w najcudniejsze ornamenty małe szyby chałupy. Nikt jednak nie podziwiał cudnych wzorów, gdyż w jzbie prócz zgarbionej chudej staruszki nie było nikogo. Siedziała na niskiej ławie obok dużego pieca. Twarz jej i cała postać nabierała jakiejś fantastycz ności i zagadkowości w srebrnym świetle księżyca, który, wdarłszy się przez szyby, oświetlał nędzne wnętrze izdebki. Twarz ta jednak poorana zmarszczkami i otoczona siwymi kosmykami włosów, bezładnie wymykających się spod chustki, w rzeczywistości była szczera. Można z niej czytać, jak z otwartej księgi całe życie starej Taraski. Teraz malowała się na jej twarzy głęboka jakaś zaduma. Splotła spracowane ręce na kolanach. Wargi jej zwolna zaczęły się poruszać – mówiła pacierz. Słów jego nie rozumiała, ani też nie starała się zrozumieć, jednak czuła niezwyciężoną potrzebę obcowania z Bogiem i nigdy temu chrześcijańskiemu obowiązkowi nie uchybiła w swym życiu. Myśli jej Wyrwały się z codziennego łożyska i uniosły ją w krainę wspomnień. Przed przymkniętymi oczyma staruszki stanęło całe jej życie, twarde, pełne trudów i pracy. Jak na ekranie w kinie poczęły się przesuwać jeden po drugim barwne obrazy. Zapomniała stara Paraska o wszystkim, dała się porwać wspomnieniom.

Wzeszło wiosenne słonko. Po świecie ciągnął się przejmujący chłód. Na trawie mieniły się jak brylanty kropelki rosy. Wioska zbudziła się ze snu. Zaskrzypiały żurawie studzienne i rozległ się ryk bydła, pędzonego na pastwisko, odezwały się gęsi, śpieszące na łąkę ku rzece, za którymi szła mała dziewczynka w dużej ojcowskiej siermiędze, prze* cierając drobnymi piąstkami zamykające się co chwila oczy. Na łące senność pokonała ją. Dziewczynka, podłożywszy rękę pod głowęf zapatrzona w niebo, usnęła. Sen jej był niespokojny. Co pewien czas zrywała się i patrzała na swoje stadko i znowu zasypiała.

Obraz się zmienia. Nieruchoma staruszka widzi siebie znowu. O wschodzie słońca, spożywszy kaw0ałek chleba, śpieszy z sierpem na pole. łd^ie ochoczo i raźno. Będąc dwunastoletnią dziewczynką, pracowała już jak dorosła kobieta, zamiast oddawać się nauce lyb zabawom. Do szkoły nie chodziła. Bo i na co jej się przyda ta szkoła, czy to będzie jadła z niej chleb? – tak sobie myśleli rodzice Paraski. Toteż zapędzono ją jak inne dziewczęta poleskie do roboty. Ukończywszy pracę na własnym polu, szły z matką na zarobek do dworu. Słońce pali, upał się wzmaga, a ona żnie zboże dworskie, choć obfity pot zlewa jej czoło, a krzyż boli nieznośnie. Jednak nie może przystanąć, odpocząć, gdyż wytrąciliby jej za to z zarobku. Pracuje więc mimo znużenia.

Wieczór zimowy. W izbie pali się zwisająca z pułapu lampa, przyjemne rozchodzi się od dużego pieca ciepło po izbie. Za oknami wichura i zamieć, a tu tak miło. Na ławach pod ścianami siedzi szereg młodych dziewcząt i chłopców. Wesoło płynie czas. Z izby rozlega się to smutny, przeciągły śpiew, to śmiech. Znowu milknie wszystko, ktoś opowiada bajkę. Dziewczęta słuchają z otwartymi ustami. Zwolna poczęły się im kleić oczy, nić coraz się rwała, ogarniała nieprzezwyciężona senność. Zerwały się szybko, pożegnały gospodarza i gospodynię i pomknęły do domu.

Przed oczyma Paraski staje inny obraz barwniejszy od poprzednich. Oto. widzi siebie w ślubnym stroju z wianuszkiem na głowie, a obok siedzi za stołem odświętnie przystrojony. Stepan. Jak przez mgłę dostrzega podniecone wódką twarze zebranych, stół uginający-śie pod wszelakim jadłem i gorzałką. Potem niejasnymi barwami maluje się wnętrze cerkwi, zapalone świece, ksiądz – staruszek. Wspomnienie to napawa starą Poleszuczkę jakimś błogim uczuciem. Gdzież są te dawne chwile młodości? – myśli – lecz oto nowy obraz powstaje w jej wyobraźni.

W małej izbie obok, łóżka wisi kołyska. Na łóżku siedzi mała, może pięcioletnia dziewczynka i kołysze swego mniejszego braciszka. Obok niej »»»

»»» zaś bawi się druga mniejsza dziewczynka. . Po izbie krząta się niewiasta w sile wieku. Zbudziła męża, dała mu śniadanie i wyprawiła do lasu na zarobek. Sama zabrała się raźno do roboty. Dała dzieciom po kilka kartofli, a sama poszła karmić chudobę. Na barkach jej spoczywa cały ciężar utrzymania gospodarstwa, toteż wstawszy o brzasku, nie ustaje w pracy do zmierzchu...

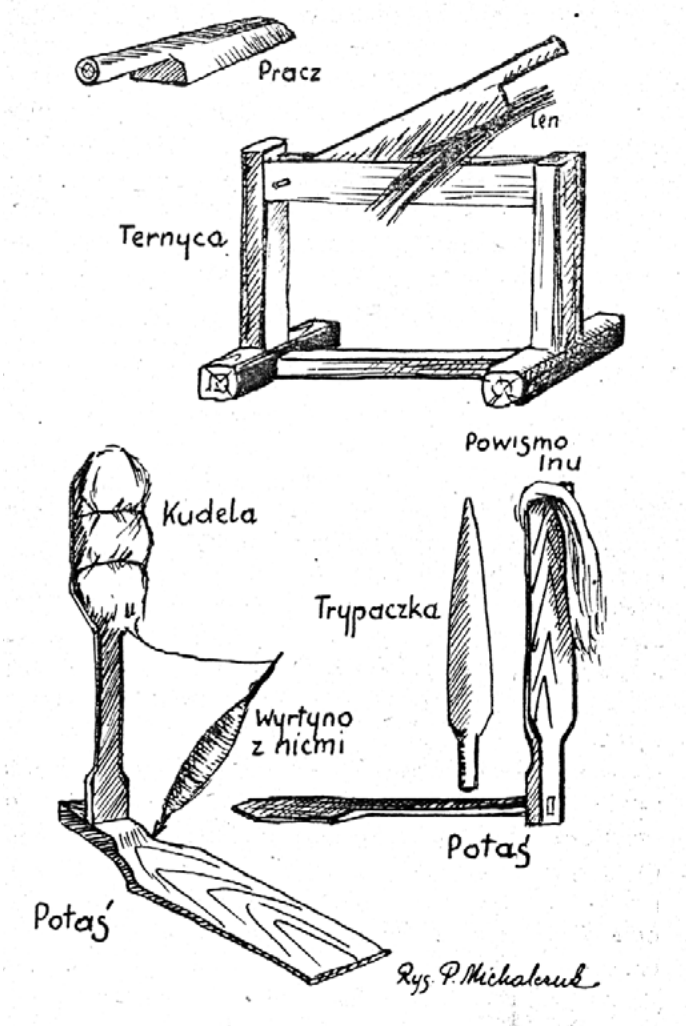
Szczekanie psa, ujadającego na przejeżdżające sanki, budzi na chwilkę Paraskę. Jednak już znowu zatapia się w poprzednie rozpamiętywania. Przypomina sobie, jak z najstarszą córką nosiła kopy siana do stogu, jak wspólnie kopały ziemniaki, a nad nimi wznosiły się nici babiego lata. Wieczory zimowe spędzała teraz sama, przędząc nici lub tkając płótno. Doczekała się teraz pomocy, więc może trochę odpocząć. Czas już najwyższy. Nie mogłaby już tak, jak dawniej pracować, nie podołałaby. Nagle... nie, "o tym nie chciała staruszka myśleć nagle jednak mimo rozpaczliwej obrony wdzierają się smutne, bolesne wspomnienia. Przed oczyma przesuwa się postać pijanego Stepana. Stracił cały tygodniowy zarobek, przehulał, a teraz krzyczy, awanturuje się i odgraża żonie: "horyłki!" – krzyczy. Scena ta powtarza się coraz częściej, co niedziela, każdego święta i przy każdej sposobności. Do chaty wciska się natrętny gość, któremu "nędza" na imię. Nieszczęście spada jedne po drugim, bije w słomianą strzechę jak grzmot w czasie burzy. CJmiera jedno dziecko na ospę, drugie na szkarlatynę, a trze-cie zabiera nieznana choroba, gdyż nie było za co sprowadzić lekarza. Wreszcie przychodzi ostatni cios. Sosna zabija w lesie Stepana podczas pracy. Wielkie łzy jak groch płyną bruzdami, wyżłobionymi przez życie, po twarzy staruchy.

Twarde życie nie szczędziło Parasce ani jednej kropli goryczy. Każda zmarszczka, każda bruzda na twarzy – to obraz nieszczęścia, ciosu, walki z życiem, pracy w pocie czoła. Kobieta poleska nie ma tego uprzywilejowanego stanowiska,, jakie sobie inne zdobyły na świecie. Nikt jej nie uważa za istotę słabą, delikatną. Drogo ona opłaca chwile przelotnej radości, którą ma w swym życiu. Zycie jest dla niej jakby macochą, która umie tylko karać, nigdy zaś nie popieści, nie "przyhołubi" jak matka. Stara Paraska zadumała się nad dolą Poleszuczki, nad tym; co dało jej życie wzamian za tyle trudów i cierpień. Głębokie westchnienie poruszyło jej starcze piersi. Z ust popłynęła dalej przerwana modlitwa, jakby skarga bolesna ku Bogu.

Jerzy Klug

PRACA KOBIETY PRZY OBRÓBCE LNU

Zbliża się wiosna. Poleszuk poświęca dużo pracy uprawie ziemi pod len. Leży to w interesie jego żony,



toteż ona zawczasu zaprząta sobie tym głowę, gdzieby na ich roli był najlepszy ku temu obszar gruntu i nakłania męża do jak najlepszego użyźnienia tego kawałka, by wyrósł duży len.

Gdy zasiany len wzejdzie i wyrośnie mniej więcej do 15 cm wysokości, kobieta zabiera się do pielenia. Na początku wiosny nie ma innych prac, więc poświęca tej czynności dużo starania i wysiłków. Piele dokładnie te kilka zagonów, ślęcząc nad nimi nieraz całymi dniami. Do pracy wdziewa fartuch z płótna samodziałowego i piele, stojąc zgię-ta wpół lub siedząc wprost na zagonie. Nie troszczy się o to, że len narazie wygniecie, gdyż wie, że to mu nic nie zaszkodzi, a nawet, według jej przesądu, len wyrośnie większy. Gdy po wypieleniu jednorazowym ziele szybko odrasta, czynność tę powtarza jeszcze raz. Za to niebawem len zakwita, napełniając radością swą właścicielkę, która widzi w falującym błękicie zagonów swą długą i mozolną, lecz jakże radosną pracę.

Teraz następuje okres obawy o len, by przed dojrzeniem nie pobił go grad, albo też nie zniszczyła susza, bo cała praca poszłaby na marne. Toteż, z wielką uciechą przystępuje Poleszuczka do wyrywania lnu, gdy widzi, że wyrósł on i dojrzał nie-uszkodzony, stając się z zielonego brązowym. Wyrywa ostrożnie, biorąc rękami pod samymi główkami po kilkadziesiąt łodyżek i wyciągając

je z ziemi. Ponieważ znajduje się w nim jeszcze trochę ziela, więc z każdej wyrwanej garści starannie je wyciąga. Wyrwawszy len, związuje w tak zwane "puczkiat coś w rodzaju snopów. Łączy zazwyczaj po 4 "puczkia razem, gdyż łatwiej tak połączone przenosić, a to dlatego, że główki lnu bardzo łatwo splatają się ze sobą. "Puczki" te przewozi się pod strzechę, lub wprost do izby, aby len lepiej dojrzał i wysechł.

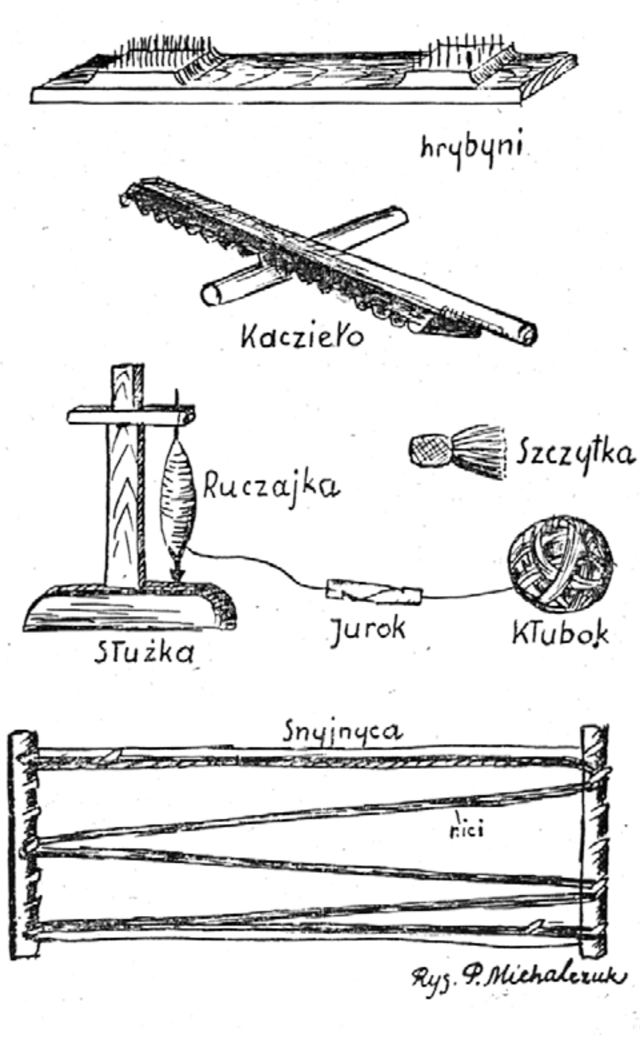
Następnie po kilku dniach, gdy "puczki" dokładnie wyschną, zabiera się do obijania główek, czyli wyłuszczania siemienia. W tym celu kobieta wybiera kąt w sieniach na glinianej podłodze i, położywszy na niej "puczok", bije po jego główkach t. zw. "praczem", zrobionym z kawałka drzewa.Ten "pracz" służy później jako kijanka do prania bielizny. Główki odlatują ód łodyg i, pękając, wysypują swoją zawartość – siemię. Czynność ta nie jest trudna, toteż często pomagają w tym dzieciaki. Niekie – dy, gdy jest większa ilość lnu', Poleszuczce w tej pracy – pomaga mąż, młócąc go wprost cepem w stodole. Czynność ta odbywa się mniej więcej w końcu sierpnia. Pewną trudność w dalszej obróbce przedstawiają łodygi, gdyż siemię, przesiane przez sito i oczyszczone od plew, idzie do worka, by czekać na dalsze dyspozycje gospodyni. Ta rozporządza nim w ten sposób, że część tylko zostawia do zasiania na drugi rok, a resztę zimą odsyła do olejarni, by otrzymać zen olej, główną okrasę ; potraw podczas postów.

Tymczasem łodygi idą na tydzień do wody, a następnie są rozścielane cieniutką warstewką na łące lub pastwisku, by zmiękły i łatwiej dały się oddzielić włóknom od paździerzy. Podczas moczenia len wydaje niemiły zapach, zatruwa nawet wodę. Przykładem tego jest fakt, że w stawach, gdzie moczył się len, giną ryby. Lepiej się moczy len w wodzie stojącej, ponieważ tu pod wpływem dość ciepłej wody prędzej się rozkłada. Przygniata się go w wodzie darniną, a to w tym celu, by nie wypływał na wierzch wody. Nieraz gospodyni z braku wody lnu nie moczy, lecz tylko rozściela na ziemi na kilka tygodni. Z tego jednak lnu, który był moczony, płótno jest zawsze bielsze.

Gdy len rozścielony "wyleży się", wtedy Pó – leszuczka zbiera go z powrotem w pęki, tylko większe, niż poprzednio, przywozi do domu i zabiera się do oczyszczania z paździerzy. W tym, celu suszy się na piecu i łamie w "ternyci" – międlicy. Obecnie jest ona często zastępowana przez maszynę do tarcia lnu, którą porusza korbą dwu chłopów i praca idzie o wiele szybciej. Z kolei ten len oczyszcza się ż paździerzy za pomocą "trypaczki", podobnej do miecza, a zrobionej z drzewa. Gderzą się jej płazem w trzymane na "potasi" "powismo" – ilość włókien lnu, dającą się wziąć do garści – i włókna, nz większego" gotowe, związane w pęki, wędrują na strych. Wracają stamtąd dopiero »»»



Poleszuczka przy kądzieli.
Kądziel przywiązana do „potasi", ustawionej na ławie. Kobieta lewą ręką snuje nić, którą nawija na wrzeciono ręką prawą.



»»» zimą, gdy są "pryświata" (mniejsze święta). Wówczas bierze się "hrybyni" i na nich oddziela się czysty len ód pakuł. "Hrybyni" mają z jednej strony gwoździe, osa-dzone gęściej, a z drugiej rzadziej. Czyści się włókna najpierw na rzadkich, później na gęściejszych grzebieniach. Pakuły są chętnie nabywane przez jeżdżących po wsiach szmaciarzy, lub też przędzie się z nich grube nitki. Teraz "powisma", oczyszczone jeszcze szczotką, zrobioną ze szczeciny, są zwijane po kijka w "kudelę" – kądziel. I tu dopiero następuje żmudne ślęczenie nad przekształceniem włókien lnu w nici. Kobieta przędzie, przywiązując kądziel do "potasi", bądź na wrzeciono, bądź to na kołowrotek, podczas długich wieczorów i "doświtków" zimowych. (Doświtki–to ranne wstawanie na kilka godzin przed świtaniem).

Skoro nitki znajdują się już na wrzecionach, Poleszuczka lub zręczny Poleszuk zwijają je za pomocą "służki" i – "jurka" w kłębki. Gdy zaś kłębki gotowe, snuję się nici na "snyjnycę", aieby przy* gotować do-tnania na krosnach. Odległość między jednym a drugim kołeczkiem "snyjnyci" nazywa się "hyba", a długość jej wynosi 5–7 metrów. Długość wysnutych nici liczy przeważnie po kilka "hyb". Teraz ten zwój nici moczy się i, po wyschnięciu nad piecem, nawija się na krosna, . by tu ostatecznie wytkać to upragnione płótno.

Rękawy koszul, ręczniki i obrusy są ozdobione kolorowymi nićmi. Są to nici nie kupione, lecz wysnute wprawną ręką Poleszuczki i pofarbowane na różne kolory. Przetyka się nimi płótno w poprzek, podczas jego tkania. Wśród kolorów przeważa czerwony i czarny. Obecnie młode dziewczęta tkają obrusy i ręczniki, zdobiąc je bogatymi wzorami i de-seniami, posługując się też kolorowymi nićmi. Występuje tu połączenie barw: czerwonej z niebieską, żółtej z zieloną lub po prostu białej z szarą. W ostatnim wypadku, by otrzymać połączenie barwy szarej z białą, pierze się tę część nici, którą się przetyka płótno w poprzek, podczas gdy reszta nici, nawiniętych na krosna, zostaje'nie wyprana, więc bardziej szara od nici, przetykanych poprzecznie. Okres tkania na krosnach przypada mniej więcej na kwiecień.

Po wytkaniu płótna Poleszuczka pierze je i bieli, rozścielając na dzień na łące lub wiesząc wprost na płocie. Po wyschnięciu prostuje je w rękach, składając wzdłuż na pół i maglując t.zw. "kacziełom", a następnie zwija w rulon. Dopiero teraz po żmudnej pracy zabiera się Poleszuczka do szycia z gotowego płótna rodzinie i sobie przyodziewku.

Ogrom pracy poświęca Poleszuczka uprawie i przeróbce lnu. Omówiłem ją tylko po części – pobieżnie.

P. Michalczuk, kl. IVa m.
Okolice Drohiczyna Poleskiego

PROSO

Późną wiosną, najczęściej w maju, zabiera Poleszuczka do zasiewu prosa. Nasiona przezn ne na zasiew, przechowuje się w ciepłym mi najczęściej zawieszone na belce nad dużym k? nym piecem. Teraz tylko wyczekuje pog^ dnia, gdyż podczas deszczu prosa siać nie i .

Gdy gospodarz zasiewa proso, gospc postępuje za nim, wlokąc grabie i w ten spc po-krywa cienką warstwą ziemi nasiona, zap rzeczając je przed ptactwem.

Skoro proso zaczyna się zielenić, wówczas Poleszuczka idzie na pole z łopatą i kopiąc żyzną ziemię z bruzdy, rzuca ją na zasiane z^t/, by wzmocnić młode łodygi i korzenie prosa.

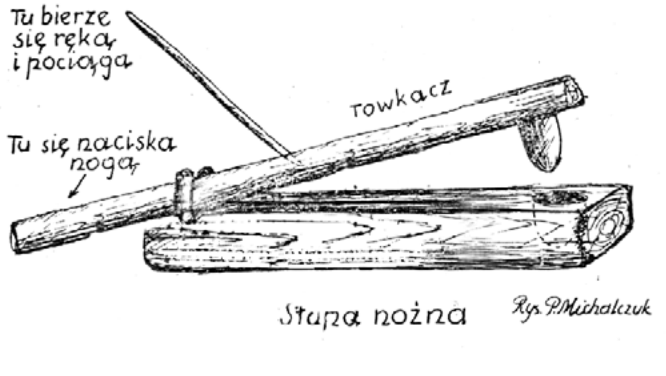
Po pewnym czasie, gdy proso . ~:>śnie .od 5 do 10 cm, następuje pielenie. Podcz • * j czynności Poleszuczka czołga się na kolanac! , ^ ywając ziele i zbiera je w wielki fartuch. Czr.; bielenia zależy od gruntu. Jeżeli grunt jest ror.:?, wyrobiony, to ziela jest znacznie więcej, niż r * gruncie urodzajnym i użyźnionym.

Po upływie kilku tygodni proso kwitnie, a nieco później łodygi gną się pod ciężarem nasion. I teraz zdawałoby się, że proso padnie pastwą ptactwa. Lecz przed tą klęską zabezpiecza się Poleszuczka t.zw. "strachami Stracha stanowią często duże tyczki, złożone na krzyż, na które wkłada się stare ubranie, tak, że kształtem swym przypomina człowieka. Lecz ten zabieg nie jest zupełnie skuteczny. Daleko skuteczniejszymi są zawieszone na żerdzi 2 butelki, które dzwonią, poruszane wiatrem, lub skrawki wąskie tkaniny, wreszcie sidła, porozciąga – ne pomiędzy zagonami prosa.

Tak zabezpieczywszy proso, nie zapomina Pole – szuczka o nim, często go odwiedza, a przeważnie w święta.

Nadchodzi okres, w którym Poleszuczka zabiera się do żęcia prosa. Dojrzałe jest proso wtedy, gdy nasiona są zupełnie żółte.

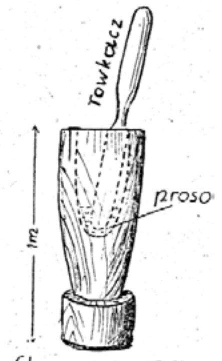
Proso żnie się w ten sposób: kobieta bierze tyle łodyżek do ręki, ile obejmie, a następnie delikatnie nachyla proso do przodu, obcina sierpem na wysokości 5 – 10 cm i kładzie obok siebie na uprzednio przygotowane "perewesło". Skoro całe "perewesło" zapełni się,



wówczas wiąże się je. W ten sposób powstają snopy. Tuż za żeńcami podąża wóz, obsługiwany często przez kobietę. Wnętrze

wozu jest wysłane dużym prześcieradłem.* Snopy, naładowane na wóz, zwozi się do stodoły, tam składa się wprost na toku, skąd wynosi się je kilkakrotnie na słońce, aby wyschły.

Młóci się proso za pomocą kijanek, które służą jednocześnie do prania bielizny.



Stupa ręczna

Po młóceniu oczyszcza się nasiona przez przesiewanie przez różne sita. Tak oczyszczone nasiona suszy się na słońcu na rozesłanych prześcieradłach.

Gdy nasiona śą wysuszone, wówczas Poleszuczka przy pomocy "stupy", oddziela łuskę od wła – świwego nasienia i otrzymuje jaglaną kaszę. Są w użyciu stupy ręczne i nożne, jak widać na rysunku.

Obecnie jednak istnieją maszyny, za pomocą których lepiej i prędzej oddziela się łuski. Z krup jaglanych Poleszuczka przyrządza cały szereg smacznych i pożywnych potraw, okraszając je słoniną lub mlekiem.

S. Żurko, ki. III a

Maj. Zamalinie, gm. Janów, pow. drohicki.

DOŻYNKI

Zabrał dziś Kościuk Mntosiuk aż 5 kobiet do żęcia zboża. Chętnie szły one, bo to dziś mają być u niego dożynki, no i Kościuk – najlepszy gospodarz we wsi.'

Poszły aż na Perewóz (5 km od wsi). Poszedł i Kościuk wiązać zboże w snopy. Pomimo, upału raźno idzie robota. Nie nadąży Kościuk przy pomocy "knebla" (kijka) wiązać "snopków. Pierwsza idzie flntola Michasiowa. Zobaczyła, że żeńcy zmęczyli się, więc zaciągnęła zdrowym głosem pieśń, którą podchwycili wszyscy i nawet Kościuk:

"Oj ja żała ne leżała,
Try snopoczki za den zżała.
Pojedź miły po try snopki,
Ne zabudź że rubla wziaty, ("rubela-żerdź)
Ne zabudź że rubla wziaty,
Try snopoczki prywiazaty.
Oj, ja dumaw szczo try snopy,
Fit to try kopy..."

Po "połudeniu" (barszcz i zsiadłe mleko) pierwsza wstała Antola i zaśpiewała:

"Poszła Antola żyto żaty
Da zabuła serpa wziaty
Serpa wziała, chlib źabuła
Ciły deń w domu buła..."

Biegają sierpy po polu, aż za nimi pozostają rzędy snopów, flle otóż i koniec. Snopy ustawione w kopy. Przed pierwszą kopą położyła Antola "na krzyż" dwie garści słomy, a na niej bochenek chleba, szczyptę soli i kawałeczek słoniny. Fedora Bazylowa związała pęk kłosów w kształcie kropidła, a Kateryna powrosłem z żyta opasała Kościuka. Wracają ze śpiewem do domu. A tam już nagotowano kaszy, napieczono "młyńców" (placków). Zaprosił Kościuk do stołu żeńców, zaprosił i sąsiadów. Postawił na stół miodu w plastrach i 2 litry wódki. Kateryna postawiła "młyńce" i miskę ze smażoną słoniną. Nakrajała surowej słoniny, suchej (swego wyrobu) kiełbasy i postawiła kaszę. ftntola zaciągnęła:

"U naszoho pana dożynoczki
Napyjmosia horyłoczki"

I poszły krążyć kieliszki. Każdy mówił: "Werny Boże nam syłku (siłę), a panu Kościuku daj na zdorowje dar Boży – chlib, – nechaj zdorow spożywaje". Nikt nikogo nie nazywał "ty", tylko "pan Kościuk" lub "pani Antolka". Odbywało się to "z waszecią", "po szlaćhecku". Zapraszano do jedzenia: "proszę Waszeci". Widać było nie zatarte ślady polskości.

Przyszedł miejscowy muzykant Harasym, urżnął mazura. Wyskoczył diad'ko Michaś, pochwycił w pasie flntolę, przytupnął nogą i rozpoczęły się tańce. Zaśpiewali:

"Poduszeczki, poduszeczki
Da wseż puchowyi,
Mołodoczki, mołodoczki,
Da wseż mołodyi.
Koho lublu, koho lublu
Toho pocałuju,
Poduszeczku puchowuju
Tomu podaruju..."

I zakręcił się wir tańczących par... Do późnej nocy słychać było śpiew u Kościuka. I Poleszuk bywa wesoły.

Zofia Dzikowicka, ucz. kl. I b ż.

»»»



Po żniwach w dzień świąteczny. w. Dywin, pow. kobryński.

NA TARG

Ciemno jeszcze było, gdy Prakseda obudziła się. Szybko ubrała się i zabrawszy przygotowaną już z wieczora wereńkę (kobiałkę z brzozowej kory), w której była butelka mleka, pół bochna chleba i garnek kaszy jaglanej, szturchnęła Stepana, który jeszcze spał: "Stepan, wstawaj, ja wże jidu! Prynesy mni do czowna scłomy, a ja pojdu po Olenu". Stęknął Stefan, wstał, naciągnął na siebie swytkę i wyszedł z chaty. Wkrótce łódź cała była wysłana świeżo wymłóconą słomą, a na niej leżały dwie tłuste czarne owieczki i 10 kaczek Praksedy oraz 20 gęsi Oleny. Oprócz tego miała każda po kilka wianków suszonych grzybów. Łódź była tak naładowana, że ledwie mogły kobiety stać. Rządziła tu teraz Prakseda, która już nieraz jeździła sama do Pińska, odległego o 50 km. Prakseda stanęła na rufie (w tyle łodzi), aby łatwiej było kierować, Olena zaś na dziobie. Łódź, popychana długimi wiosłami, szybko posuwała się na przód. Tylko na głębokiej wodzie, gdzie wiosła nie sięgały dna, "mołodyce" (młode mężatki)wiosłowały stojąc.

Po przebyciu Gniłej Prypeci, łódź wpłynęła na wody Prostym. Tutaj płynąć było łatwiej, bo prąd był silniejszy niż na Prypeci. Zaczęło świtać. Słońce już było wysoko, kiedy Poleszuczki wpłynęły na wody Strumienia. Tu skierowały łódkę do brzegu pomiędzy łozę i trzcinę. Wyjęły swe zapasy i posiliły się po rzetelnej pracy.



Do Pińska na targ. Rys. A. Łozicki.

Niedługo odpoczywały, musiały jechać dalej ze zdwojoną szybkością, aby nadrobić stracony czas. Po drodze mijały podobne łodzie naładowane drzewem, sianem, słomą, drobiem, ziemniakami, zbóżem oraz innymi wiejskimi produktami. Jedne z tych łodzi były obsadzone kobietami, drugie – mężczyznami. Tylko ryby w specjalnaj łódce z dziurami, zanurzonej w wodzie, holowali za zwykłą łodzią wyłącznie mężczyźni. W pobliżu Pińska Prakseda zaczęła opowiadać Olenie, jakie tam są cuda: kwiaty na ulicach, murowane domy, samochody i kina. Olena słuchała wiosłując i obie nie spostrzegły jak przejechały pod żelaznym mostem na Pinie i trzeba było przybijać do brzegu przed potężnym gmachem kolegium o. o. jezuitów z 1635 roku. Zawdzięczając sprytowi Praksedy udało im się wcisnąć pomiędzy łodzie, które przybyły wcześniej na targ do Pińska.

Szczęście uśmiechnęło naszym niewiastom, po godzinie wszystko wyprzedały, same zaś kupiły sobie trzewiki, mężom czapki, a dzieciom–obwarzanki. Radosne odbiły od brzegu, wiedząc, że jeszcze 10 godzin ciężkiej drogi – a będą w domu.

Helena Dzikowicka, ucz. I kl. liceum hum.

PO CZEROT

Przygrzało słonko, zaszumiał ciepły wiatr i popłynął Styr, unosząc ogromne kry lodu aż do Prypeci. Jakoś lżej, weselej zrobiło się mieszkańcom wsi Ostrowia (40 km na południe od Pińska). Zdaje się, że jakiś bardzo ciężki kożuch spadł każdemu z pleców. I nie dziw. Teraz rozpocznie się wiosenny połów ryb, polowanie na kaczki. Teraz

Poleszuk użyje swobody na swojej "czajce" (łódce) i całą piersią zanuci smętną pieśń poleską. Postawił już diad'ko Michaś swe "żaki" i "neroty". Pływał już i z "wołoczkom". Przywiózł całą "wereńkę" ryby. Cieszy się i Antola Michasiowa. Rada. Dziś niedziela. Pojedzie z Haleną Mikołajową na rzekę. Piecze Antola "młyńci" (placki) kartoflane i wesoło przyśpiewuje.

Po obiedzie zarazże pojechały Antola z Haleną na Styr. Szeroko rozlała się rzeka. Zalała wokoło łąki i łozy. A na łąkach, jak okiem sięgnąć, kwitnie "łotać" (kaczeńce). Nad starym "czerotęm" (trzcina), nad krzakami łozy, latają całe stada dzikich kaczek. Krzyczą żurawie. Wesoło. Zaśpiewały i Antola z Haleną:

"Pozwol, Boże, łotati dożdaty,
To poidemo do Marusi w swaty.
A Marusia nieduża leżała (chora była),
Hołowku szołkom zwiazała !!..."

Są już u celu swej podróży. Przed nimi ogromny "zatoń" (zatoka), a na nim płynie moc białych "boczok" (korzeni czerotu). Spróbowały je gryźć. Są słodkie.



Po czerot. Rys. A. Łozick

Nazrywały pół czajki tej nowalii poleskiej. Będzie czym obdarzyć Antoline dzieci. Smakuje ten prezent dzieciom poleskim. Minęła "Mikoła" wiosenna. Nowa praca rozpoczęła się dla Antoli. Nie ma już słodkich "czereto – wych boczok", ale za to zazielenił się sam jćzerot. Zawiązała Antola do chustki kawałek chleba i sera suchego, wzięła sierp, wiosło i wyruszyła hen, aż do Tenetychy (pod w. Ładoroże) po zielony czerot. Po drodze zaśpiewała: .

"Oj, pojdu ja de wik ne chodyła,
Czy ne znajdu, koho wirno lubyła?
Koho lubyła, toj stoit' za płeczyma,
A koho nie znała, z tym na ślub stała"..

Naścinała Antola całą "czajkę" czerotu. Nakarmi teraz i cielęta i owce. A będzie jeszcze suszyć i wiązać na zimę owieczkom. Nadeszła zima. Styr z zatonami pokrył się lodem. Poszedł Michaś do kowala Jośka. Zrobił tam "koskę" (rodzaj sierpa na długiej tyczce), jedną sobie, a drugą flntoli. Teraz rozpocznie się "bicie" (ścinanie) suchego czerotu. Michaś i flntola obudzili się w "doświta" (bardzo wcześnie). Ugotowali ziemniaków na kominku, zjedli z kiszonymi ogórkami i suszonymi "wiunami" (piskorze) i zaczęli zbierać się w drogę. Włożyli do torby chleba, suszonej ryby, kawałek słoniny i zapałki.

Wyruszyli. Zabrał ze sobą Michaś i pieska, Rozboja: może w krzakach wytropi tchórza? Zaszli daleko, aż w "Dołhyj Lesok". Tchórza nie złapał Michaś: wyprzedził go Semen Kołoszwa, najlepszy myśliwy na tchórze. Ale za to czerot – jak ściana. Szumi, zachęca Michasia i ftntolę do ścinania. Zjedli trochę chleba z "wiunami" – i do praczy Lewą ręką biorą czerot, a prawą podcinają "kosk1ą V.Wiążą powrósłami w snopy. Pracowali do wieczora. Naścinali czerotu 97 snopów. Powrócili do domu zmęczeni, ale zadowoleni. Będzie za co kupić soli, nafty i 8 kg mąki pszennej na święta Bożego Narodzenia! Czerot kupują wieśniacy z tych wsi, gdzie on nie rośnie, na pokrycie dachów oraz kupcy z Pińska na eksport do zachodnich dzielnic Polski, gdzie używają go do tynków. Najwięcej cieszy się Mnto – la, bo kupi sobie za czerot czerwoną spódnicę.

Hanna Dzikowicka, ucz. kl, II b ż.

BIELENIE PŁÓTNA I PRANIE BIELIZNY NA POLESIU

Aby wybielić płótno, lub dobrze wyprać bieliznę, trzeba dołożyć wiele starań. Praca ta bowiem bardzo trudna, tym bardziej dla Poleszuczki, która nie posługuje się odpowiednimi środkami chemicznymi, tak bardzo potrzebnymi dla należytego wy-prania płótna własnego wyrobu. Toteż chcąc nie chcąc musi się ograniczyć do środków domowych, – prymitywnych. Pozwalają one jednak wyprać dość dobrze szare i szorstkie, tylko co zdjęte z warsztatu płótno. Proces takiego prania nazywa się "bieleniem" i odbywa się wiosną. »»»



Pranie nad rzeką. Rys. A. Łozicki.

»»» Poleszuczka wynosi płótno na łąkę, znajdującą się w bliskim sąsiedztwie z rzeką lub stawem, i zmoczywszy je, posypuje popiołem, a następnie ściele na murawie. Chce, by słońce je wyparzyło, bez tego bowiem płótno się nie ubieli. Po wyschnięciu znowu się je zlewa wodą i posypuje popiołem. Czynność tę powtarza się

kilkakrotnie. Potem pierze się je kijanką. Pranie trwa kilka dni, w czasie których płótno się nieco "ubieli". Rzecz zrozumiała, że przez ten czas samodział nie będzie taki biały, jak po kilku latach używania. . V". "y V-

Jeszcze trudniej jest wyprać bielizpę płócien – ną. Ale gospodyni poleska umie sobie 'dać radę i w tej ciężkiej pracy. Moczy więc latem brudną bieliznę w rzece, a zimą w – balii lub cebrze. Po. wypłukaniu jej w rzece następuje główna cześć prania. Gospodyni składa bieliznę w "żłókcie*. Jest to wydrążony pień, podobny do beczki bez dna. "Złókto" ustawia się na podwórzu na rozesłanej słomie. Bieliznę składa się w ten sposób, że starą i wybieloną umieszcza się na dnie, a nową, sztywną i szorstką na wierzchu, by się lepiej ubielfta i przykrywa się ją popiołem. Następnie leje się w "żłókto" gorącą wodę i wrzuca się rozpalony kamień lub żelazo. Wrząca woda z popiołem wytwarza ług, który przechodząc przez bieliznę rozpuszcza brud. Ponieważ "żłókto41 jest bez dna, przeto woda wypływa dołem na ziemię. Teraz pozostaje tylko wypłukać bieliznę w" cebrze lub w rzece. Są "żłókta", które posiadają dna z otworem i drewnianym szpuntem. W takim "żłókcie" bielizna pozostaje w ługu przez całą noc. Ma drugi dzień kobieta płucze bieliznę w rzece, po czym wiesza ją na płocie lub strychu, aby wyschła. Nie% pozwala się jej jednak wyschnąć całkowicie, by dobrze się maglowała, a w języku Poleszuków "kaczała". Nazwa ta pochodzi od

przyrządu "kaczałko", służącego do tej czynności. Składa się ono z dwóch części: pierwsza i najgłów – niejsza, to samo "kaczałko" – maglownica. Jest to klocek drewniany (około 80 cm długi i 15 cm szeroki), mający w poprzek nacinane zęby i rączkę. Druga część, to pięcio-centymetrowej średnicy wałek, na który nawija się bieliznę i toczy się go "ka – czałkiem". W taki sposób bielizna się magluje. Następnie się ją dosusza i pranie skończone.

Gorzej się jednak sprawa przedstawia z praniem bielizny zimą. Wówczas praczka musi wkładać na siebie ze dwie pary starych spodni męskich i buty rybackie (z długimi cholewami, nie przepu – . szczające wody). O nie wybija praną bez mydła bieliznę nad przeręblą. Ta w czasie silnego mrozu bardzo szybko zamarza. Toteż co kilka minut przychodzi ktoś nad rzekę z domu, o ile jest blisko, i zabiera wypłukane sztuki. Gdy zaś praczka nie posiada ani butów, ani spodni, to idzie w łapciach i pierze bieliznę uderzając ją o "noczowkę" (nieckę), którą stawia na lodzie, opierając o nogi. Wracając z rzeki po takiej pracy wygląda jak bryła lodu. Nic też dziwnego, że z tego powodu częste są wypadki przeziębienia. Trzeba naprawdę być odpornym na zimno, by mając często nogi mokre, ręce obnażone po łokcie, prać bieliznę przez dwie godziny nieraz na mrozie z wiatrem.

Rusak Adam, kl. IVa m.



Bielenie płótna w Dawidgródku. Fot. Hochman.

POLESIE "CZARNOBYLSKIE"

OCZAMI ANDRZEJA ALEKSIJEWICZA



Prezentujemy naszym Drogim Czytelnikom fotoreportaż Andrzeja Aleksijewicza, uczestnika ekspedycji do najbardziej tajemniczej, a zarazem niebezpiecznej części Polesia Wschodniego – Strefy Wykluczenia wokół Czarnobylskiej AES.

Od prawie 30 lat ta część Polesia żyje swoim własnym życiem. Z jednej strony – porzucone wsie, nienaturalna, przygnębiająca pustka, z drugiej zaś – odnawiający się w niezwykle szybkim tempie ekosystem. Brak ingerencji człowieka spowodował, że przedstawiciele flory i fauny czują się tu bardzo dobrze. Czarnobyl leży nad Prypecią, tuż powyżej jej ujścia do Dniepra, 100 km na południowy wschód od Mozyrza.

Co było celem waszej podróży i dlaczego wybraliście ten kierunek?

Przede wszystkim – Strefa Wykluczenia wokół Czarnobylskiej AES. Już nawet to, że można tam trafić zaledwie w ciągu trzech dni w roku (podczas prawosławnego święta Radunica) wzbudza wielkie zainteresowanie. Na dodatek Aksana Hajko, reżyser niezależnego Teatru "Kryły Hałopa" z Brześcia, zbierała materiał dla nowego spektaklu, poświęconego problematyce czarnobylskiej. To było dodatkową motywacją, by jechać.

Dla mnie osobiście ten wyjazd był przede wszystkim możliwością, by zobaczyć skutki katastrofy o skali światowej. Lokalny wymiar skutków awarii jest równie »»»



Krzyż – cmentarz obok wsi Drońki.

»»» przerażający. Tysiące ludzi musiało przeżyć swoją osobistą tragedię, opuszczając własne domy, tracąc na zawsze swoją małą Ojczyznę...

Czy mieliście jakieś trudności z dostaniem się na terytorium strefy?

Nie. Okazało się to łatwiejsze niż myśleliśmy. Podczas święta Radonicy (powielkanocne modlitwy nad grobami zmarłych) są trzy dni, kiedy każdy może tam trafić. Przed wjazdem do Poleskiego Państwowego Rezerwatu Radiacyjno-Ekologicznego, poinformowano nas, że w żadnym wypadku nie możemy palić ogniska, gdyż z popiołem radiacja rozpowszechni się błyskawicznie, co grozi jeszcze większym zakażeniem przyległych terytoriów. Musieliśmy schować aparaty fotograficzne i sprzęt wideo. Dziennikarze zazwyczaj nie są mile widziani.

Natomiast w ciągu roku wymagana jest przepustka, której zwykły człowiek raczej nie byłby w stanie zdobyć. Ta ziemia należy do zwierząt i naukowców.

A właśnie. Słyszałam, że zwierzęta w Strefie czują się znakomicie.

Strefa przesiedlenia jest królestwem dla zwierząt. Da się to odczuć od pierwszych minut przebywania. Ludzi prawie nie ma – leśnicy i naukowcy. Leśnicy pilnują, by nie było pożaru. Naukowcy obserwują zwierzęta. Rezerwat stał się poligonem dla badań naukowych – nie ma dużo takich miejsc na ziemi. Ok. 10 lat temu przywieźli tu żubry z Puszczy Białowieskiej. Prawdopodobnie czują się tu bardzo dobrze i nawet dają potomstwo. Ziemie strefy zamieszkuje spora populacja wilków. Są również lisy, zające, różne gatunki ptaków i nietoperzy. Bez względu na radiację jest tam



w. Drońki, pierwszy nasz przystanek w Strefie



Wieś Słoboda



Woda w ogrodzie – rozlew Prypeci

raj dla zwierząt – ta ziemia należy tylko do nich. Widzieliśmy sarnę i kilka zająców i to w okresie wiosennym, gdy zwierzęta zazwyczaj się chowają. To świadczy o tym, że czują się swobodnie i bezpiecznie.

Czy spotkaliście ludzi w Strefie czy okolicy? Kim są ci ludzie i jak im się żyje?

Rozmawialiśmy z leśniczymi. Są to prości ludzie. Zapraszali nas do siebie w zimie, by popatrzeć na żubry i wilki.

W samej strefie już nikt nie mieszka. Nie ma tam prądu i miejscami jest dosyć silne zakażenie. Radiacja opadła wybiórczo –na odcinku 100 metrów dozymetr wyświetla przerażające liczby, a przez następne sto jest zupełnie czysty las.

Jeśli chodzi o okolice Strefy, to ludzie oczywiście są, choć ciężko nazwać to życiem. Na wsiach żyją głównie starsi ludzie, którzy, jak mówią, już niczego się nie boją. Życie wygląda tak, jak sprzed 30 lat. Warunki trudno nazwać komfortowymi. Jest niebezpiecznie, gdyż przyjeżdża tam dużo "zeków". Alkoholizm "kwitnie". Są miejscowości, gdzie jest względnie sucho i czysto. Mam na myśli Chojniki i Bragin. Lecz niezależnie od tego, wrażenia są dość przygnębiające.

Czy planujecie kolejne wyjazdy na Polesie Mozyrskie?

W okresie wiosenno-letnim rozpoczyna się sezon nawigacji rzecznej na Prypeci. Chcemy wybrać się w podróż statkiem z Mozyrza do Turowa.

Redakcja "Ech Polesia" życzy udanej podróży i pięknych wrażeń!



Cmentarz nieopodal wsi Borszczewka. 18 km do Czarnobylskiej AES





Pole obok wsi Krasnosiele



Wieża , Krasnosiele



Strefa. Prypeć. Kiedyś kursował prom



Okolice Krasnosiela, 20 km do Czarnobylskiej AES



w. Pogonnoje, Strefa przesiedlenia





Rozlew Prypeci pod Turowem





Prasiuk Nadzieja, 12 lat



Marczuk Roman, 8 lat

TEATR "KRYŁY HAŁOPA" Z PROJEKTEM DOKUMENTALNYM "CZARNOBYL"

W marcu 2014 roku niezależny teatr "Kryły Hałopa" miał zaprezentować w Brześciu projekt dokumentalny "Czarnobyl". W przededniu spektaklu występ został odwołany...

Od 2013 roku teatr "Kryły Hałopa" rozpoczął pracę nad projektem dokumentalnego teatru "Historia Białorusi". Dokumentalny teatr realizowany jest na podstawie autentycznych tekstów i dokumentów, wywiadów i losów prawdziwych ludzi. Gatunek ten sytuuje się na styku sztuki i analizy społecznej.

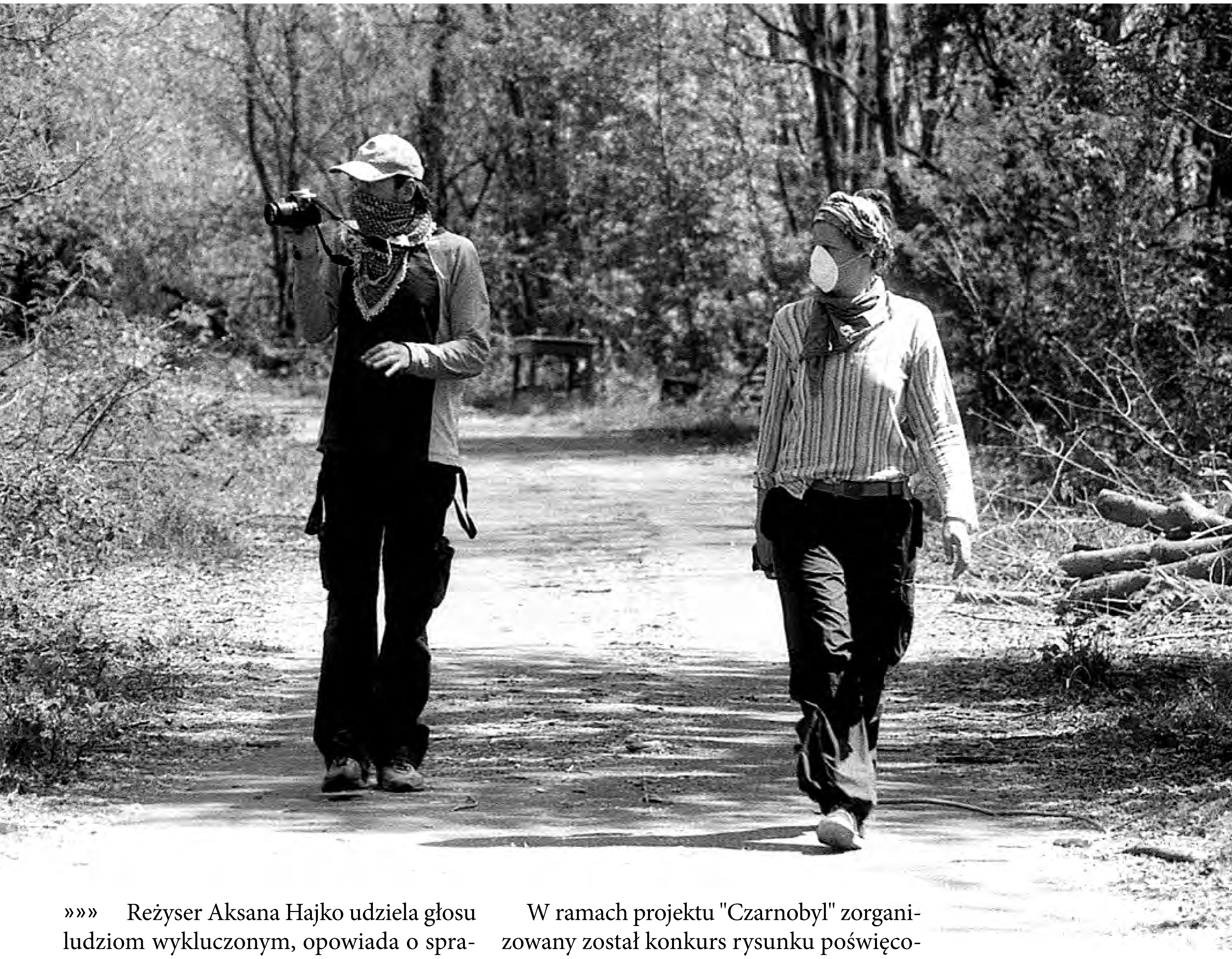


Waszczuk Witold, 9 lat

Aksana Hajko, reżyser teatru: *"Podstawą dla pierwszego spektaklu-dokumentu "Czarnobyl" stał się materiał z dwóch wypraw do białoruskiej strefy zamkniętej oraz do Poleskiego Rezerwatu Radiacyjno-Ekologicznego, wywiady z ludźmi przesiedlonymi po awarii w Czarnobylu, wypowiedzi na forach, poświęcone budowie Elektrowni Atomowej na Białorusi. Fora internetowe odbieraliśmy jako współczesną dramaturgię, gdyż ich język pozbawiony jest nienaturalności i literackości."*

"Niemiecki dziennikarz Wolfgang Büscher, który przeszedł na piechotę z Berlina do Moskwy, nazywa Białoruś symbolem Wschodu Europy: "cmentarz historii", gdzie "materiał dopiero co porósł trawą". Jesteśmy świadomi tego, że skala katastrof historycznych i tragedii jest tak wielka, że historia wielu wydarzeń staje się mitem lub odwrotnie – odbywa się zatarcie w pamięci traumatycznych wydarzeń. Wydało nam się ważne w pewnym momencie zrozumienie i uświadomienie swej historii i teraźniejszości, a także stworzenie osobistego podręcznika współczesnej historii, pozbawionego ideologii, motywów politycznych i mitologizacji".

»»»



»»» Reżyser Aksana Hajko udziela głosu ludziom wykluczonym, opowiada o sprawach, które wciąż nie doczekały się publicznej debaty. Spektakl "Czarnobyl" jest z pewnością ważnym głosem młodego pokolenia. Jego zadaniem jest pobudzenie społecznej świadomości i skłonienie do dalszych rozmów nad problemem, który, pomimo 28 lat, wciąż wpływa na codzienność mieszkańców Białorusi.

Paweł Wrona, "W twarz", Gazeta Festiwalu Maski.

W ramach projektu "Czarnobyl" zorganizowany został konkurs rysunku poświęcony tematyce czarnobylskiej. W konkursie wzięły udział dzieci z Brześcia, Kobrynia, a nawet z Niemiec. Wynikiem akcji stała się wystawa zorganizowana w Brześciu oraz wystawa wirtualna na stronie Teatru: www.teatrkh.com.

Anna Godunowa

Teatr "Kryły Hałopa" został założony w 2001 roku (od 2001 do 2011 – Swabodny Teatr).

W latach 2001-2011 powstało 8 spektakli na podstawie utworów D. Harmsa, J. Kupały, F. Kafki, jak również według scenariuszy własnych. K.H. jest jednym z niewielu teatrów na Białorusi, prezentujących spektakle uliczne.

Dodatkowo realizowane są liczne projekty kulturalne, edukacyjne, społeczne, charytatywne.

O PRYPECI

Drodzy Czytelnicy, prezentujemy dziś tekst o Prypeci Aleksandra Jelskiego, wybitnego polskiego etnografa, pisarza i działacza społecznego(ur.1834, zm.1916r). Pisał pod pseudonimem "Bociam z nad Prycza" lub "Litwin".W "Słowniku geograficznym" zamieścił kilka tysięcy opisów miejscowości ziemi mińskiej i ziemi mozyrskiej. Przełożył "Pana Tadeusza" na język białoruski. Zgromadził znaczną bibliotekę i cenne zbiory historyczne, numizmatyczne,etnograficzne, galerię obrazów – to wszystko uległo dużym zniszczeniom w czasie rewolucji bolszewickiej.

Prypeć, po białorusku Prypać (wyraz białoruski prypadź znaczy miejsce przepadziste, bagniste, oparzyste), ross. Pripiat', u latopisców i kronikarzy (Strykowski) Perepecz al. Perepieca, łacin. Perepetus, w mowie flisaków podobno Trypiać, rzeka poleska, prawy dopływ Dniepru, do którego uchodzi w pobliżu Czarnobyla. P., mając przeważnie charakter rzeki bagnistej, w biegu swym przez niziny poleskie wielokrotnie rozdziela się i rozgałęzia na liczne ramiona, które następnie łączą się znów z sobą, przyczem kilkakrotnie zatraca swą nazwę i przybiera zupełnie inną, jak Parok, Strumień, Stochod i in., w skutek czego śledzenie głównego koryta jest bardzo utrudnionem a nawet miejscami niemożliwem. Z tego też powodu wszystkie dotychczasowe opisy tej rzeki grzeszą brakiem jasności, czego i w naszej pracy niepodobna było uniknąć. P. bierze początek pod wodnym działem europejskim, który ją odgranicza w krainie jej źródłowisk od doliny Bugu (o 20 w.), w pobliżu mka Szacka w pow. włodzimierskim gub. wołyńskiej, pomiędzy wsiami Hołowno a Stara Huta, w okolicy leżącej na krańcu kredowych fornaacyi Wołynia, która z wyższego poziomu spadając ku Prypeci, wodami swemi zasila małe pojezierze. P. powstaje z połączenia kilkunastu (do 15) błotnistych ruczajów, »»»



»»» wypływających z błot i niewielkich jezior. Zaraz na początku zasila P. od strony południowej kanał na 10 wiorst długi, odprowadzający wody rz. Wyżwy, a nieco wyżej rz. Turya od prawego brzegu. Płynąc w kierunku płn.-zachodnim łąkami oparzystemi, poniżej mka Ratna (w pow. kowelskim) rozdziela się na wiele drobnych i ważkich odnóg, tworzących znaczną ilość ostrowów. Pod wsią Hiewier tworzy całą sieć odnóg i tu z prawej strony przyjmuje obfitą strugę, prowadzącą wody poblizkiego wielkiego jeziora Białe. Następnie zwracając się coraz bardziej na wschód i zebrawszy wszystkie odnogi w jedno koryto, rozlewa się szeroko pośród bagnistych błoni i pod wsią Wieszły tworzy staw. Przyjmuje tu od prawego brzegu strumienie wypływające z bagien Stoleńskich; o 3 w. poniżej obraca młyn. Dosięga gub. grodzieńskiej, przyczem podzielona na odnogi przyjmuje od Iow. brzegu rzkę Kry wice. i na przestrzeni 4 w. stanowi granicę pow. kowelskiego i kobryńskiego. Następnie wchodzi w pow. piński, na samej granicy którego, przyjąwszy od lewego brzegu rzkę Zagłuszeczie, przy ujściu jej obraca młyn. O 3 w. poniżej dzieli się na dwa ramiona: lewe, zasilone rzką Rozsochą, i prawe, przybierające rzkę Breszczę. Ramiona te łączą się na krótko pod wsią Cyr, w okolicy wsi Łachwicze, by się rozdzielić ponownie i potem znowu po przebiegu trzech wiorst zlać się w punkcie przejścia przez rzekę traktu pocztowego pińsko – równieńskiego. O kilka wiorst poniżej tego traktu P. zbiera swe wody w dużem jeziorze Lubiąż, pod wsią t. n. Za Lubiaziem, pod wsią Chociuń, rozlewa się w jezioro z kilku wyspami; do tego rozlewu dopływa z prawej strony ramię Stochodu. Dalej P. rozdziela się na liczne odnogi, zwłaszcza pod wsią Swałowicze, kędy tworzy rozlew jeziorny, zasilony z praw. strony wodami rzeki Stochodu. Za Swałowieżami podzielona na koryta, dąży pod mko Nobel do dużego jeziora t. n. Począwszy od Chociunia do Nobla, około 20 w., nosi nazwę Parok al. Paroh. Przed Noblem oddziela lewe koryto, które płynąc na płn.-wschód, rozlewa się pod wsią Omyt w jezioro zwane Osady. Z jeziora tego wypływająca odnoga prawa łączy się z jez. Nobel, lewy zaś prąd po za Omytem, podzielony na kilka koryt, płynie koło wsi Newel i Prykładniki, by się zlać ze Strumieniem. Z drugiej znowu strony, cała masa wody wypływająca kilku odnogami z jez. Nobel, zasilona od prawego brzegu rz. Wiesiełuchą i Młynok, przybiera nazwę Strumień. Prąd ten Strumienia pomiędzy wsiami Siniczyce i Dubczyce tworzy cały szereg wysepek wśród licznych odnóg. Za Dubczycami lewe rozgałęzienia łączą się w okolicy wsi Komora z ramionami płynącemi od Newla i Prykładnik, prawe zaś ramię, odzyskawszy znowu nazwę Prypeci, znacznie zwę-żone, zasila się pod fol. Golec z prawej strony rz. Nożyk; następnie upłynąwszy 10 w. kotliną, mającą prawe wybrzeże lesisto, a lewo bagniste, rozszerza swe koryto pod wsią Niańkowicze i naprzeciwko wsi Para, przecięte sil-nym prądem lewego ramienia rz. Styru, zwanego Prostyrń, zasila się dwoma lewemi odnogami Styru: Zadubie i Zalesie. Na przestrzeni około 32 w., począwszy od okolicy Dubczyc do wsi Para, lud nazywa rz. Gniła-Prypecią, a czasem Para. O 5 w. za pot. Zalesie, płynącym od strony Styru, P. przyjąwszy z prawego brzegu główne koryto Styru, płynie koło wsi: Łopatyn i Koniuchy, a pod wsią Hrywkowicze zasila się z prawej strony rz. Stubłą; następnie pod wsią Wulwiczy przecina gościniec z Pińska do Płotnicy i upłynąwszy z tego miejsca około 10 w. i oddzieliwszy na krótko wprzód prawe wązkie ramię, łączy się w okolicy wsi Berezcy z korytem pochodzącem od zlania się Jasiołdy, a jak inni chcą Piny ze Strumieniem, płynącem od Pińska. Do tego miejsca P. przerywana okolnemi licznemi odnogami, przybierała odmienne nazwiska, odtąd zaś aż do ujścia nazwa jej już się nie zmienia. Rzeka ma i odtąd ciągle kierunek wschodni aż do Mozyrza, poczem zwraca się na południe. Kotlina Prypeci nieprzejrzana, błotna, zarosła jest nadzwyczaj bujną trawą, sitowiem, łozą a niekiedy dziewiczymi lasami; koryto zaś po-rozdzielane na mnóstwo odnóg, tworzy mnogość ostrowów, zatok i jezior, które są niezmiernie dogodne dla rozpładzania się ryb i przemysłu rybnego. Prąd wody z powodu szerokości kotliny rzadko się zbliża do brzegów mało zasiedlonych. Poniżej Berezców w obrębie pow. pińskiego, z obu stron wcale nie ma osad zamieszkałych. W granicach pow. mozyrskiego znajduje się 38 miejsc zasiedlonych nad brzegami, w odległości najwyżej 2 wiorst od kotliny, mianowicie z łowej strony: Borek, Laskowicze, Dereszewicze, Hołubica, Wyszałów, Turek, Makarycze, Petryków (mko, około 500 osad), Biełki, Biełanowicze, Nowosiółki, Ocirki, Micury, Końkowicze, Bahrymowicze; z prawej strony: Wiereśnica, Zapiaseczno, Zajatele, Turów (mko, przeszło 500 osad), Ozernicze, Pohost, Piorerów, Śniadyń, Mordwin, Mojsiewicze, Wiełáwsk, Szestowicze, Bałażewicze, Skryhałów, Żechowicze, Kościakiewicze, Zahorany, Łyczyżewicze, Irenki, Łanty, Telepuny, Mozyrz i Okuninki. W obrębie pow. rzeczyckiego 20 miejsc zasiedlonych, mianowicie z lewej strony: Hrady, Jurewiczo (mko, około 140 osad), Obuchowszczyzna, Łomot, Tulgowicze, Łomacze, Orewicze, Krasnosielie, Barszczowka; z



prawej strony: Strelsk, Barbarów (mko, około 90 osad), Huta, Narowią (mko), Konotop, Karpowicze, Wicpry, Nadtoczajewka, Reżawa, Dowlady, Białosoroki. W obrębie powiatu radomyskiugo, z lowoj strony: Usowa, Krasne, Krywa-Hrada, Starosielie, Koniówka; z prawej strony: Beniówka, Katarówka, Rudnia, Szcpiolowiczo, Siomichody, Nahorcy, Kopacze, Lolow, Czarnobyl (mko) i Ocieszew w pobliżu ujścia, w okolicach którego miała zajść krwawa bitwa Litwinów z Tatarami, dowodzonych z jednej strony przez Erdziwiłła, w. ks. lit., z drugiej przez wodza Kiejdana. W boju tym dzicz tatarska została pobitą. Z dopływów wymienimy te tylko, które mają ustalona nazwy. Uchodzą do P. począwszy od Berezców w pow. pińskim z lewej strony: Bobryk i Cna; z prawej strony: Wietlica płynie na samej granicy pow. pińskiego i mozyrskiego; w pow. mozyrskim z lewej strony: Śmierć, Łań, Siteńka, Głucha-Łań, Słucz, Skrypica, Utwocha, Bobryk (drugi), Ptycz, Tremla, Ippa i Nienacz; z prawej strony: Horyń, Stwiga, Swinowoda, Uborć, Buklówka, Prudek; w pow. rzeczyckim, z lewej strony: Damarka, Uniej, Sudziłówka; z prawej strony: Narowłanka, Mytwa, Sławeczna, Kostrówka; w powiecie radomyskim z lewej strony: Bratanka i Teresica; z prawej strony Uż pod Czarnobylem, o 20 w. od ujścia Prypeci do Dniepru. Długość biegu rzeki w zakrętach obliczają na 770 wiorst; z tej liczby przypada na gub. wołyńską 89 w., na gub. mińską, t. j. od granicy po w. kobryńskiego do 0Białosoroki czyli do granicy pow. radomyskiego 551 w., wreszcie na guber. kijowską 70 w. Powiaty: piński i mozyrski przecięte są Prypecią przez pół, rzeczycki w części i z tego powodu komunikacya bardzo jest utrudniona, zwłaszcza w czasie powodzi, kiedy szerokość wód rozlanych, dochodzi niemal 15 w. Poziom wody wtedy bywa tak wysoki, że w miejscach gdzie się latem kosi trawa, przepływają swobodnie duże statki. Najszersze rozlewy na wiosnę bywają pomiędzy Berezcami i Turowem, wtedy wysokość wód dosięga po nad stan normalny do 19 stóp. Spadek wód P. jest bardzo nieznaczny i podług tablicy podanej przez inżyniera Choroszewskiego (Poszukiwania geologiczne dokonane na Polesiu, Pamiętnik fizyogr., I, 128) wynosi na przestrzeni 579'3 klm., od Pińska do ujścia, zaledwie 37'57 mt., czyli że przeciętny spadek na całej przestrzeni = 0'0000641. Brodów na Prypeci nie ma prawie a to w skutek bagnistego dna i brzegów w trzęsawiskach. Przeprawy, mianowicie promy, znajdują się: na gościńcu wiodącym z Dawidgródka do Łachwy, pod Turowera, pod Petrykowem, pod Mozyrzem, pod Kimbarówką, pod Barbarowem, wreszcie na gościńcu pod Dowladami. Mosty znajdują się: na gościńcu pocztowym z Pińska do Równa, w pobliżu mka Lubiąż, tudzież dwa mosty i dwa promy przez odnogi, na gościńcu małym z Newla do Morocznej, a niedawno przybył most żelazny na kolei baranowicko-rowieńskiej, w okolicy ujścia Bobryka. Położenie brzegów Prypeci chociaż w ogóle nizinne, ma jednak i rażące wyjątki. Od wsi Zahoran, o 14 w. od Mozyrza położonej, brzeg prawy coraz się podnosząc formuje wysokie, malownicze wzgórza, nawet urwiska skaliste, parowy i jary, które ciągną się pasmem do 3 w. szerokiem o 25 w. po za Mozyrz, mianowicie do okolic mka Barbarowa. Lewy brzeg od Mozyrza też się piętrzy wzgórzami, aczkolwiek niższymi i po kilkowiorstowej przerwie znowu się podnosi pod mkiem Jurewicze. Urwiska skaliste na brzegu prawym stanowią ciekawe wystąpienie gliny mamutowej (ob. Polesie). Znaczne wzniesienia gruntu w okolicach Mozyrza widnieją i na przestrzeni ciągnącej się kilkunasto-wiorstowym pasem, od strony zach.-połudn. na płn.-wschód, pomiędzy błotami, mianowicie: od Jurewicz aż pod Brahin, mil może siedm. Okolica tedy Mozyrza i Jurewicz jest tylko punktem kulminacyjnym tych wysokości, przez które przedarły się niegdyś wody kotliny obecnego Polesia, torując sobie drogę do Dniepru. Głębokość rzeki bardzo rozmaita i często się zmienia po powodziach. Zdarzają się nawet mielizny, a tuż obok kilko-sążniowe głębiny; nadto do niedawna »»»



»»» jeszcze główne koryto było zawalone olbrzymimi dębowymi pniami, które w czasie obniżenia się poziomu wód w posuchę, nadzwyczaj utrudniały spław wszelki; wszakże od lat kilku niedogodność ta usuwa się przedsięwzięciem, kosztem rządu, prac kanalizacyjnych pod kierunkiem generała Józefa Żylińskiego i inżyniera Franciszka Daniłowicza, a ta czynność dała już znakomite rezultaty dla handlu. Teraz po P. pływają swobodnie nie tylko mniejsze statki ale i parostatki, dochodzące do Pińska. Szerokość rzeki przy normalnym poziomie rozmaita. Od punktu zlania się wód Jasiołdy i Strumienia do ujścia Słuczy, P. miewa od 20-35 sążni, pomiędzy Słuczą i Mozyrzem do 60 sążni; niżej 100 sążni, a przy ujściu od 150-200 sążni i tam ma dno już twarde. Ze statków kursujących po Prypeci, oprócz parostatków, ważniejsze: barki bez masztów, podnoszące do 20,000 pudów. Chodzą one z towarem na "niż" do Chersonu i Kremieńczuga, lecz już nie wracają i tam zwykle bywają sprzedawane na drwa; te zaś barki, które mają maszty, pływają 7, "niżu" i w górę Prypeci. Berliny, podnoszące do 12,000 pud., pływają na "niż", jak niemniej za pośrednictwem kanału Bugskiego w górę aż do Warszawy lub przez kanał Ogiński do Niemna. Półbarki pływają po Prypeci, Dnieprze, systemie Ogińskim i Bugskim. Oprócz tych statków są jeszcze tak zwane: obiniaki, łodzie, czajki i szuhaleje, podnoszące od 150 do 500 pudów. Na "niż" z pow. pińskiego i mozyrskiego spławia się: drzewo okrętowe, dziegieć, smoła, klepka, różne przeróbki materyałów leśnych, kamienie i wódka. Z powrotem statki zabierają przeważnie sól i zboże, jakowe produkta z portów Prypeci rozwożą się wozem w głąb kraju, lub transportują dalej wodą. Portów sztucznych na Prypeci nie ma wcale; naturalne zaś najważniejsze: w Mozyrzu, Petrykowie i Turowie; inne mniej ważne: pod Zahoranami, Skryhałowem, Sielcem, Strelskiem, Jurewiczami, Barbarowem, Narowią, Łomaczem, Białosoroką, Dereszewiczami, Laskowiczami, Końkowiczami, Białożewiczami, Kościukiewiczami i Czarnobylem. W czasie spławu statki poruszają się za pomocą szostów, długich drągów, kierunek bowiem za pomocą żagli bardzo jest trudny z powodu częstych zakrętów koryta, prawie pod prostym kątem. Statki przy zwy-kłym stanie powietrza przepływają dziennie do 40 wiorst z wodą, przy wietrze zaś niepomyślnym do 15 wiorst. Z obserwacyi 10-letniej obliczono, że P. zamarza około 9 grudnia, lody puszczają około 25 marca. Rybołóstwo stanowi jedno z niewyczerpanych bogactw Prypeci; najgłówniejsze w okolicach Turowa, tudzież przy ujściu rz. Sławecznej, kędy przed puszczaniem lodów ryba się gromadzi w zwartej masie i częstoją łowią dziesiątkami tysięcy pudów. Z ryb poławiają się: jesiotry, sterle, sandacze, szczupaki, miętusy, okonie, liny, leszcze, karasie, podleszcze, płocie, jazie, głównie, biełuhy, wierozuby, wjuny i inne. Raków moc nieprzeliczona i one też się łowią przez mieszkańców, gotują a wyłącznie suszone szyjki stanowią nawet przedmiot handlu wywozowego za granicę. Ryba znowu turowska zalega wszystkie rynki krajowe w porze zimowej. Niedawno pobudowane koleje żelazne ułatwiają bardzo transporty ryby z Prypeci do Warszawy i w inno miejsca. O przypuszczalnej hypotezie uformowania się Prypeci z wód zalegających w przedhistorycznym czasie kotlinę dzisiejszego Polesia, oraz o stosunkach geologicznych i przyrodniczych doliny Prypeci ob. art. Polesie (t. VIII, str. 579-587). Opisywali Prypeć: Kazimierz Kontrym (w Exkursyi 1829 roku); Sztukenberg (w t. 3 Hydrografii Rossyi); Zielońki (w t. I opisu mińskiej gnbernii, str. 155-212); Rewiński Stanisław (w t. 3 Encykl. Rolnictwa, str. 305).

Aleksander Jelski



ZALESIE

Chcemy przedstawić Państwu wspaniałą inicjatywę, której podjął się przyrodoznawca Sergiej Sidoruk. Wspólnie z przyjaciółmi, stworzył Ekowioskę, która cieszy się wielkim zainteresowaniem wśród miłośników przyrody oraz tradycji wsi białoruskiej.

CZYM JEST EKO-WIEŚ ZALESIE?

"Zalesie jest projektem społeczno-komercyjnym, skupiającym wokół siebie inicjatywy przyrodnicze, społeczne, edukacyjne, kulturalne, turystyczne i inne.

Jesteśmy otwarci dla miłośników aktywnego wypoczynku oraz turystyki poznawczej. Możemy zaproponować naszym gościom kajaki, rowery, posiadamy camping, są przygotowane trasy trekkingowe po okolicach Zalesia" – mówi Sergiej.

Wieś Zalesie położona jest w północno-wschodniej części Puszczy Białowieskiej nieopodal Bagna Dzikie i należy do wsi wymierających, gdyż z miejscowych mieszkańców pozostały dwie babcie.

Dzięki inicjatywie młodych ludzi wieś ożyła na nowo.

"Próbujemy reanimować tę wieś, gdyż prawie wymarła. Chcemy zachować historię tego miejsca".

Celem twórców projektu jest zaakcentowanie autentyczności ludowej tego miejsca, dlatego też domy zostały urządzone w tradycyjnym wiejskim stylu.

Ostatnie mieszkanki Zalesia chętnie dzielą się zaleskim folklorem – śpiewają, opowiadają o historii i tradycjach tych miejsc, dzielą się przepisami.

Zalesie jest również doskonałą placówką wypadową dla miłośników przyrody, a szczególnie dla obserwatorów ptaków.

"To miejsce charakteryzuje się unikalnym biotopem i posiada wszelkie warunki dla gniazdowania ptaków rzadkich nie tylko dla Białorusi, lecz również dla Europy".

W Zalesiu i okolicach można spotkać bieliki, orliki grubodziobe, orliki krzykliwe, wodniczki, cietrzewie, puszczyki mszarne, włochatki, sóweczki i inne ptaki. W ciągu roku przy współpracy z ornitologami, prowadzony jest monitoring ptaków, obrączkowanie; jesienią – foto-polowanie.

W październiku 2013 roku eko-wieś gościła uczestników tradycyjnej już imprezy ornitologicznej "Nocni mieszkańcy laSÓW", której towarzyszył Sowi Fest. Wśród osób, przybyłych na spotkanie byli zawodowi ornitolodzy, artyści, muzycy i zwykli ludzie, których łączy zamiłowanie do ptaków. Goście imprezy mogli wziąć udział w warsztatach i prezentacjach, wybrać się na "leśną" wycieczkę nasłuchując sowich głosów.





NIECH ŻYJE BAL!

W XVIII-wiecznej siedzibie Niemcewiczów pod Brzesciem odradza się tradycja urządzania bali.

18 maja 2014 roku był ciepły wieczór. Nadchodził zmierzch i mieszkańcy niewielkiej wsi Skoki pod Brześciem już szykowali się do snu. Jedynie w parku XVIII-wiecznego majątku Niemcewiczów słychać było muzykę i odgłosy wesołego śmiechu, które docierały poprzez otwarte drzwi pałacu. To goście tegorocznego balu głośno wyrażali swoje emocje. Nic dziwnego: przecież każdy z nich tylko na tę jedyną noc "przeniósł się" do innej epoki, założył specjalny strój i nagle zamienił się w kogoś, kim nigdy nie był dotąd...

Zorganizowany tutaj uroczysty bal ściągnął wielką ilość chętnych zanurzyć się w atmosferę czasów naszych przodków i lepiej zrozumieć, jak wyglądały spotkania taneczne dokładnie 100 lat temu – przecież mianowicie tyle czasu minęło, odkąd odbyły się ostatnie bale w owym majątku znanego polskiego szlacheckiego rodu Niemcewiczów.

Obecnie pałac pełni funkcje muzeum. Dość dlugo trwała jego rekonstrukcja. Historia budynku sięga do 1777 roku, kiedy to został wybudowany za sprawą MarcelegoNiemcewicza – ojca znanego pisarza, historyka i działacza politycznego Juliana Ursyna Niemcewicza. W jego ścianach zamieszkało pięć pokoleń Niemcewiczów (Jan (1762-1821), Tadeusz (1793 – 1839), Jan Tytus (1830-1900), Jan (1869-1933) oraz Marceli (1727-1802).

Los pałacu był ciężki – przeżył on kilka ewakuacji, dwa całkowite obrabowania oraz lata spustoszenia. Właścicieli majątku odwiedzali zacni goście: Tadeusz Kościuszko, Napoleon Orda, car Aleksander III. W czasie I wojny światowej znajdowała się tutaj siedziba dowódcy Wschodniego frontu niemieckiego feldmarszaka księcia Bawarii Leopolda. W listopadzie 1916 roku majątek odwiedził brat Leopolda, ostatni król Bawarii Ludwik III. Mianowicie w tym miejscu 15 grudnia 1917 roku zostało podpisane przymierze, które zatrzymało dalszy ciąg I wojny światowej. W czasach radzieckich pałac przebywał w stanie całkowitego zaniedbania. Dopiero w 2008 roku ropoczęły się prace konserwacyjne..

...Tamtym majowym wieczorem paradna sala pięknego odnowionego już budynku pomieściła ponad 80 osob. Prócz walców tańczono też tradycyjne tańce balowe: padegrasa, branla, polkę, pas despagne'a, farandole i inne. Nie każdy z tych, kto przybył na tę uroczystość, od razu potrafił zatańczyć, dlatego baletmistrz Olga Tarasiuk z Brzescia krótko opowiadała o historii powstania tego czy innego tańca oraz demonstrowała, jak powinno się go tańczyć. Wszyscy powtarzali. Najbardziej zainteresowani miłośnicy imprez balowych brali udział w zajęciach przygotowawczych, kóre również odbywały się w siedzibie Niemcewiczów z inicjatywy dyrektora muzeum Siergieja Semeniuka.

Prowadzący zapoznał uczestników z etykietą balu: nie każdy dziś wie, iż bale zazwyczaj rozpoczynał polonez – byl to inauguracyjny pieszy taniec-parada. Natomiast mazurkiem kończyła się pierwsza część imprezy przed pójściem gości na posiłek.



Kawaler, któremu obiecała pani ten taniec, odprowadzał ją do stołu, siadał obok, i miał możliwość rozmowy z nią, a nawet wyznania jej swoich uczuć. Dlatego każdy kawaler pragnął już na samym początku imprezy wyrazić swoje zaproszenie do tańczenia mazurka tej lub innej osobie.

Paniom nie należało brać jakiegokolwiek poczęstunku czy napojów z bufetu – wszystko miał jej podać kawaler. Kawalerowi, natomiast, nie wypadało tańczyć więcej niż dwóch tanców pod rząd z tą samą kobietą. Po ukończeniu tańca mężczyzna koniecznie miał odprowadzić kobietę do tego miejsca na sali, gdzie stała, gdy ją zaprosił, albo do innego miejsca, o ile poprosi sama kobieta.

Ważnym elementem na balu był piękny, uroczysty strój. Zarówno panie jak i kawalerowie zakładali rękawiczki. Funkcję symbolicznego komunikatora miedzy kobietą a meżczyzną pełnił wachlarz. Istnieje cały system znaków wachlażowych, za pomocją których dama sygnalizowala o swojej sympatii albo niechęci zatanczyć z tym lub innym partnerem, albo o tym, że jest już zajęta. W przerwach między tancani prowadziło się rozmowy, grało się w fanty lub pasjansa.

Uczestnicy tegorocznego balu w Skokach spróbowali naśladować te najlepsze tradycje. I trzeba powiedzieć, dobrze im się to udało! Po ukonczeniu imprezy o czwartej nad ranem goście nie chcieli opuszczać siedziby, jeszcze długo rozmawiali o tym, że pragną wrócić tutaj ponownie.

Ważne jest, że tego rodzaju przedsięwzięcia pełnią nie tylko funkcję rozrywkową: służą też pewnym "mostem" między kulturą różnych pokoleń i epok, mają na celu odrodenie tradycji naszych przodków i wiedzy na temat tego, jak żyli czym zajmowali się i jak spędzali czas.

Był to już drugi bal, zorganizowany w siedzibie Niemcewiczów od momentu odnowienia budynku ale na pewno, nie ostatni. W związku z tym, iż tego rodzaju imprezy cieszą się wielkim zainteresowaniem wśród publiczności, dyrektor muzeum podjął decyzję urządzać bale co najmiej 4 razy rocznie – jeden raz w każdym sezonie. Mile widziany jest każdy chętny wziąć udział w następnej imprezie!

Olga Semianiuk, Skoki-Brześć





CHÓR ZGODA ZAŚPIEWAŁ W FILHARMONII BRZESKIEJ





Forum Polskich Inicjatyw Lokalnych Brześcia i Obwodu Brzeskiego zorganizował z okazji Święta Konstytucji 3 Maja pierwszy koncert Polskiego Akademickiego Chóru ZGODA w Filharmonii Brzeskiej. Koncert odbył się 22 kwietnia 2014 r. Chór wystąpił pod batutą Rusłana Połuchina. Program składał się z 16 patriotycznych, religijnych oraz popularnych pieśni, wśród których były: Modlitwa do Bogurodzicy (muz. Józefa Świdra), Marsz Kosynierów (muz. Karola Hofmana), Krakowiak (muz. Stanisława Kazuro), Polesia Czar (muz. Jerzy Kosteckiego), Dumka na dwa serca (muz. Krzesimira Dębskiego), Cześć Polskiej Ziemi (muz. Stefana Surzyńskiego), Kocham Cię Polsko (muz. Andrzeja Banasiewicza), Mazurek 3 Maja. Obok Chóru ZGODA wystąpił także zespół instrumentalny "Muz-art" na czele z Włodzimierzem Krutikowem. Na zakończenie koncertu wszyscy obecni odśpiewali Rotę. Prowadzący imprezę Olga Biedulina oraz Wiaczesław Cyckowski przybliżyli tematykę każdej pieśni krótkim wprowadzeniem – historią napisania utworu.

Sala Filharmonii Brzeskiej była wypełniona po brzegi. Obecni byli: Konsul Generalna RP w Brześciu Anna Nowakowska wraz z delegacją konsulatu, przedstawiciele polskich organizacji z Brześcia oraz harcerze DH im. R. Snarskiego.

Polski Akademicki Chór ZGODA działa od 14 lat, śpiewając w kościołach, na festiwalach i konkursach polonijnych w Mrągowie, Koszalinie, Białymstoku, Warszawie, Janowie Podlaskim,Tucznej, Terespolu, imprezach w Konsulacie Generalnym RP w Brześciu oraz Wszechnicach Kościuszkowskich. Planowane jest nagranie płyty chóru z okazji zbliżającego się jubileuszu 15-lecia jego istnienia.

Anna PANISZEWA

SEZON JARMARKOWY ZOSTAŁ ROZPOCZĘTY!

45-osobowa delegacja twórców ludowych oraz harcerzy wzięła udział w jarmarku w Janowie Podlaskim w dniu św. Józefa Rzemieślnika 1 Maja. Wyjazd został zorganizowany przez liderów Forum Polskich Inicjatyw Lokalnych Brześcia i Obwodu Brzeskiego na zaproszenie Stowarzyszenia Kulturalno-Turystycznego w Janowie Podlaskim. Jarmark odbył się po raz trzeci.

Twórcy ludowi z Polesia zademonstrowali własnoręczne wyroby ze lnu, tradycyjne poleskie hafty, tkane obrusy oraz dywany,lalki-matanki, kwiaty ze słomy, wyroby kowalskie. Harcerze też przedstawili na swoim stoisku zrobione na warsztatach plastycznych rękodzieła, a później uczestniczyli we wspólnej zbiórce z harcerzami z Janowa Podlaskiego pod kierownictwem druhny Agnieszki Żuk. W skład delegacji weszły również 11 studentek fakultetu grafiki oraz rzemiosła ludowego, które zademonstrowały pokazy mody średniowiecznej. Byli obecni znani mistrzowie ceramiki oraz wycinanki Marina i Walery Marczukowie, mistrzyni tkactwa Halina Stepaniuk, mistrzyni plecenia ze słomy – Maria Borysiuk.

Prawdziwą gwiazdą jarmarku w Janowie została Stepanida Stepaniuk – mistrzyni tkactwa oraz śpiewu ludowego z Małoryty, która prowadziła warsztaty pracy z kołowrotkiem i śpiewała pieśni pogranicza ukraińsko-białoruskiego. Pani Waletyna Struniec pokazała jak prawidłowo zakładać strój małorycki.


Zakładanie namiatki na głowę

Spotkania na pograniczu narodów i kultur pokazują jego kulturowe bogactwo, pomagają zbliżać ludzi, animują stworzenie miejscowych wspólnot oraz określają konkretne potrzeby ich dalszego rozwoju. Forum Polskich Inicjatyw Lokalnych organizuje kolejne wyjazdy na jarmarki w Polsce, które odbędą się w czerwcu, lipcu i sierpniu.

Anna PANISZEWA


Po jarmarku

INWENTARYZACJA NA RZYMSKO-KATOLICKIM CMENTARZU W PRUŻANIE

W bieżącym 2014 roku przypada 100 rocznica wybuchu I Wojny Światowej. Na naszym Polesiu o tym smutnym wydażeniu pozostały dość liczne pamiątki w postaci kwater żołnierzy, poległych w tej krwawej wojnie. Zostały wykonane w latach 20-ch przez Ministerstwo Robót Publicznych II RP – mimo niedostatków i wielu innych naglących wyzwań, z którymi przyszło wówczas się zmierzać odradzającej się Polscę. Obecnie kwatery te, w zależności od lokalnych warunków przyrodniczo-klimatycznych, znajdują się w różnym stanie, – lecz wszystkie wymagają przeprowadzenia co najmniej prac konserwacyjnych, w celu zachowania ich dla przyszłych pokoleń.

Wnosząc wkład własny w upamiętnienie tej jubileuszowej rocznicy, grupa wolontariuszy z Polskiej Szkoły Społecznej im.I.Domeyki w Brześciu wzięła udział w przeprowadzeniu w dniu 25 maja b.r. inwentaryzacji na kwaterze wojsk niemiecko-austriackich oraz rosyjsko-bolszewickich, która znajduje się na cmentarzu rzymsko-katolickim w Prużanie. W ramach prac inwentaryzacyjnych wykonano ogólne pracę porządkowe, wykoszenie trawy i oczyszczenie nagrobków (grupa uczniów klasy 10-j w składzie: Weronika Chotimko, Polina Iwaniuk, Regina Kozincewa, Aleksy Kapura, Dymitr Korsak, Ilia Sokoł), weryfikacja inskrypcii na nagrobkach i sporządzenie listy spoczywających żołnierzy (nauczycielka PSS Helena Parszyna, Konsul RP w Brześciu Anna Domska-Łuczak), wykonanie niezbędnych pomiarów, planów, fotografowanie i sporządzenie dokumentacii końcowej (E.Lickiewicz – Forum PIL).

Wykonanie tej szlachetnej misii stało się możliwe dzięki kierownictwu "AKC MOST" Sp. z o.o., zapewniwszej pokrycie kosztów paliwa na przejazd; a swoje podziękowanie wszyscy wolontariusze kierują również pod adresem parafii pw.W.N.M.P. w Prużanie (w tym szczególnie do pani Zofii – za gościnność i bardzo smaczny obiad). Materiały przeprowadzonej inwentaryzacii zostaną udostępnione nieodpłatnie wszystkim zainteresowanym stronom.



PODZIĘKOWANIE

Stowarzyszenie Kombatantów Żołnierzy AK i Łagierników w Brześciu składa gorące, z serc naszych płynące, podziękowanie Stowarzyszeniu Kombatantów Żołnierzy AK i Łagierników w Warszawie mieszkańcom gminy Radzymin i gminy Wołomin za wielkanocne paczki świąteczne, za doskonale przygotowaną akcję "Polacy-Kresowym Straceńcom". Jest to piękny dar serca, gest solidarności, piękne świadectwo tego, że w tak trudnych czasach cynizmu i społecznej znieczulicy, żywa jest pamięć o nas, "niedobitkach II RP", którzy w godzinie próby rzucili na ofiarny stos swoje życie i losy swoich rodzin. Wyrażamy podziękowanie uczniom, rodzicom, nauczycielom i dyrekcji szkół, słuchaczom uniwersytetów trzeciego wieku, pracownikom miejskich domów kultury, wszystkim tym, którzy poświęcili swój czas, środki, którzy wzięli do serca potrzebę pomocy kresowym straceńcom na Białorusi. Paczki otrzymali nasi Kombatanci oraz wdowy tych, co odeszli na wieczną wartę. Niech Pan Bóg błogosławi Was i Wasze Rodziny.



W imieniu Kombatantów –
Antoni Filipczuk,
prezes Stowarzyszenia Kombatantów
Żołnierzy AK i Łagierników w Brześciu

JUBILEUSZ XXX-LECIA ŚWIĘCEŃ KAPŁAŃSKICH

JE KS. BPA KAZIMIERZA WIELIKOSIELCA

30 lat temu

Z "kroniki" parafii pw. Św. Trójcy w Różanie:

" …8 lipca 1984 roku – niedziela XIV zwykła.

Odbyła się w naszym kościele bardzo rzadka uroczystość. Dziś ks .Kazimierz Wielikosielec, pochodzący ze wsi Starowola za Prużaną, odprawił tu prymicyjną Mszę św.

Święcenia kapłańskie otrzymał dnia 3 czerwca 1984 roku z rąk ks. Juliana kardynała Waiwodsa w Rydze.

Porządek nabożeństwa był następujący:

1 – powitanie nowowyświęconego kapłana przez parafian przy bocznym wejściu do kościoła.

2 – nałożenie tu szat liturgicznych przez neopreźbitera.

3 – wprowadzenie go do kościoła procesjonalnie ze śpiewem "Boże, lud Twój czcią przejęty.

4 – pokropienie przede Mszą niedzielną.

5 – Mszę św. Okolicznościową naukę wygłosił ks. Woroniecki, prob. różański; w czasie Komunii św. Hymn dziękczynny "Ciebie, Boże, wysławiamy".

6 – po Mszy – prymicyjne błogosławieństwo rodziców, obecnych na prymicjach, brata, krewnych i wiernych.

Uroczystość prymicyjną uświetniło sześciu kleryków z duchownego seminarium w Rydze. Kilku z nich rozdawali obrazki po zakończeniu nabożeństwa.

Na prymicje nie byli zaproszeni kapłani z innych miejscowości, gdyż niedzielne obowiązki parafialne nie mogły być zakłócone w niedzielę…."

Fragmenty z "Kroniki" księdza Michała Woronieckiego CM



Rozana. Ks. Kazimierz Wielikosielec (z liliami w reku) w towarzystwie ks. Michala Woronieckiego, proboszcza parafii i klerykow z Seminarium w Rydze. 8 lipca 1984 rok.



Dzielnica "Księży" we wsi Starowola – tutaj urodził się i wychował przyszły biskup K.Wielikosielec; w czasach prześladowania religii w ZSRR w domku jego rodziców miejscowi katolicy w niedzieli i święta zbierali się na modlitwę.

Życzymy Kochanemu Księdzu Biskupowi

długich lat życia, aby nadal, jak Święty Paweł mógł mówić:

"Dla słabych stałem się słaby, by pozyskać słabych.

Stałem się wszystkim dla wszystkich, aby uratować za wszelką cenę choć niektórych. Wszystko zaś czynię dla Ewangelii, by mieć w niej swój udział".

Przeżywaj nadal Chrystusowe kapłaństwo wg słów Sługi Bożego Jana Pawła II:

"Ostatecznie zawsze potrzebny ludziom okaże się tylko kapłan świadom pełnego sensu swego kapłaństwa: kapłan, który głęboko wierzy, który odważnie wyznaje, który żarliwie się modli, który z całym przekonaniem naucza, który

służy, który wdraża w swe życie program ośmiu błogosławieństw, który umie bezinteresownie miłować, który jest bliski wszystkim – a w szczególności najbardziej potrzebującym".

Redakcja "Ech Polesia', uczniowie i nauczyciele Polskiej Szkoły Społecznej im.I.Domeyki w Brześciu, wdzięczni i pamiętający wierni z obwodu brzeskiego

ANATOL FRANCISZEK SULIK

Z wielkim żalem informujemy, że w dniu 11 kwietnia 2014 roku zmarł w wieku 62 lat Anatol Franciszek Sulik, nasz wielki przyjaciel z Kowla, współpracownik i autor "Ech Polesia", od wielu lat ratujący od zapomnienia polskie groby na Wołyniu. Pozostanie w naszej pamięci jako nieoceniony gawędziarz, wielki znawca polskiej historii Wołynia, człowiek niezwykle zasłużony dla dokumentowania polskich cmentarzy i polskości na Ukrainie. Kustosz pamięci narodowej, dla którego poszukiwanie i porządkowanie miejsc spoczynku Polaków na Wołyniu, ratowanie przed zniszczeniem ginących śladów polskości stało się sensem całego życia.



Anatol urodził się niedaleko Lubomla na Wołyniu, w dawnej ziemi chełmskiej. Za komuny, jak sam mówił, w zasadzie niczym szczególnym się nie wyróżniał – najpierw skończył szkołę zawodową i technikum, później odsłużył wojsko. Nie był ani w komsomole, ani w partii. Miał jednak swoją wielką pasję – Polskę i wszystko, co z nią związane.

W jednym ze swoich artykułów napisał, że języka polskiego uczył się z inskrypcji na polskich grobach. I chyba niewiele przesadził. Podręczników polskich wtedy praktycznie nie było. Udało mu się zaprenumerować "Kurier Polski" i "Poznaj swój kraj". Przez 25 lat to z nich czerpał wiedzę o Polsce, o historii. Z czasem przyszła fascynacja polskim językiem i kulturą. W różny sposób zdobywał polskie książki. Świetnie mówił i pisał po polsku.

– Wiele dowiedziałem się od babci, która potrafiła pięknie opowiadać – wspominał Anatol Sulik. – Niektóre historie były jednak tak przerażające, że trudno było w nie uwierzyć. Wojenne okrucieństwa, niesnaski pomiędzy Polakami a Ukraińcami, rzezie całych wsi. Człowiek od dzieciństwa zadawał sobie pytanie, dlaczego tak się działo, jak to było możliwe? Czy dwa narody nie mogą żyć obok siebie w zgodzie?

Nagle przyszła pieriestrojka, z dnia na dzień Związek Radziecki rozsypał się jak domek z kart. Polskie ruchy i organizacje już nie musiały działać pokątnie. Gdzieś w 1991 r. Anatol przeczytał, że w Łucku ma powstać Towarzystwo Kultury Polskiej.

– Zrozumiałem, że muszę tam się znaleźć, że moja wiedza może pomóc wskrzeszać polskość na Wołyniu – opowiadał Sulik. – Pojechałem na zebranie założycielskie, trafiłem nawet od razu do zarządu. I rzuciliśmy się do roboty. Bardzo ściśle współdziałaliśmy z Kościołem rzymskokatolickim – ostoją polskości. Dzięki niemu mieliśmy się gdzie spotykać, docierała do nas prasa, książki. Zakładaliśmy nowe kościoły, zachęcaliśmy Polaków, by nie ukrywali już swojej wiary. Ja sam w dzieciństwie nawet nie byłem ochrzczony. Zaczęły przyjeżdżać do nas wycieczki z kraju. Nawiązywaliśmy nowe znajomości, krążyła korespondencja. Dzisiaj dzięki temu mam dziesiątki znajomych w całej Polsce. To na ich zaproszenie często przyjeżdżam do kraju.

W 1998 r. ministerstwo kultury zaprosiło Anatola Sulika na kurs podstawowej wiedzy o ochronie zabytków. Uczestniczyli w nim Polacy z Litwy, Ukrainy, Białorusi.

Fachowa wiedza zdobyta w czasie kursu bardzo przydała się w dalszej działalności.

Rodacy odwiedzający Wołyń często poszukiwali grobów swoich bliskich – dziadków, rodziców, braci, sióstr. Okazywało się, że cmentarze polskie są w bardzo złym stanie, że często nie można odnaleźć grobu opuszczonego przez dziesiątki lat. Szczególnie, gdy nie wiadomo jak wygląda nagrobek, albo gdy znikła z niego tablica.



Na cmentarzu w Kowlu, Anatol odnalazł 32 groby polskich policjantów poległych na służbie w latach 1919-40. Prawie nieczytelne już tabliczki głosiły: "Zginął z rąk bandytów w obronie życia i mienia obywateli", "Poniósł bohaterską śmierć w walce z bandytami".

– Ich kwatery przysypane były górą śmieci, sięgającą ramion krzyży – mówi Janina Gruszka Raczyńska, pochodząca z Wołynia mieszkanka Zamościa. – To był naprawdę bardzo smutny widok. Ogromna zasługa Toli, że te groby zostały odnowione.

Sulik zainteresował bowiem sprawą Komendę Główną Policji i Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Udało się – miejsce spoczynku policjantów poległych w czasie służby ojczyźnie wygląda dziś godnie, a do Anatola zgłaszają się krewni przedwojennych funkcjonariuszy z prośbą o pomoc w odszukaniu kolejnych mogił. W czasie poszukiwań natrafił na pismo komendanta policji z roku 1934, zawierające prośbę o modlitwę w dniu Wszystkich Świętych za poległych policjantów. W piśmie tym wymieniono 50 nazwisk. Lokalizacja wielu grobów ciągle nie jest znana.

Dzięki zaangażowaniu i pomocy Anatola wiele z tych nagrobków zostało uporządkowanych. Opiekują się nimi policjanci lubelscy.

– Moją mapą jest taki ilustrowany przewodnik po Wołyniu z 1929 r. Kierując się nim docieram do unikalnych miejsc – krzyży, kapliczek, figurek, cmentarzy. Niestety, wiele z nich już nie istnieje, dlatego tak ważne jest, by ocalić i przywrócić blask tym, które jeszcze się zachowały.

Sulik odnalazł też kilka grobów żołnierzy poległych w kampanii wrześniowej, żołnierzy I Armii Wojska Polskiego, mogiły ludności polskiej pomordowanej przez Ukraińców, wiele indywidualnych, zapomnianych polskich grobów rodzinnych. Z prośbą o pomoc zwraca się do niego wiele osób z Polski.

Anatol Sulik przeprowadził pełną inwentaryzację 12 cmentarzy, odnalazł blisko 1200 polskich grobów, na których udało mu się odczytać ponad 660 nazwisk. Wiele tabliczek jest już nieczytelnych, część marmurowych rozkradziono. To, co ocalało jest solidnie opisane i udokumentowane zdjęciami. Od wielu lat gromadzi także dokumentację dotyczącą innych zabytków związanych z polskością na Wołyniu. Do chwili obecnej zebrał przeszło 2 tys. stron maszynopisu, setki zdjęć i map. Z materiałów tych korzysta również ministerstwo kultury. Anatol jest też autorem książek "Cmentarz polski w Kowlu", "Przewodnik historyczny po wołyńskim pobojowisku Legionów Józefa Piłsudskiego pod Kościuchnówką (1915-1916)", (wraz z Adamem Zamojskim), jak również cyklu reportaży pt. "Podróże z Bogusiem".

»»»



»»» – Najwięcej czasu poświęcam teraz grobom legionistów, I wojna światowa zebrała na tych ziemiach krwawe żniwo. W ubiegłym roku natrafiłem na pomnik nieznanego żołnierza 4 Pułku Piechoty Legionów Polskich, poległego w 1916 r. W tym miejscu przebiegała linia frontu w czasie II wojny i prawdopodobnie jeden z pocisków poważnie uszkodził nagrobek. Do dzisiaj zachowało się 10 cmentarzy legionowych.

Anatol pokazuje nam kolejne zdjęcia – niezwykły nagrobek w kształcie bomby, nieznanego sapera w Wołczecku. Prawdopodobnie jego elementami były kiedyś łuski artyleryjskie, dzisiaj widać po nich jedynie puste miejsca. Opowiada o odnalezieniu grobu 18 oficerów Korpusu Ochrony Pogranicza, bestialsko zamordowanych przez Sowietów we wrześniu 1939 r., w okolicach wsi Melniki. Po ekshumacji, ich szczątki spoczęły na miejscowym cmentarzu. Niestety, udało się ustalić tożsamość tylko 11 żołnierzy.

I już kolejne zdjęcia i kolejna opowieść – o tragicznej przeprawie przez Prypeć oddziału kpt. Kazimierza Żaniaka ps. "Garda", z 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. W maju 1944 r., w krzyżowym ogniu hitlerowców i armii radzieckiej poległo ok. 250 żołnierzy AK. W miejscu krwawej przeprawy, w ubiegłym roku usypany został kopiec, stanął krzyż i tablica pamiątkowa.

Polskie kwatery zostały odnowione w takich miejscowościach jak Kościuchnówka, Maniewicze, Wołczeck, Koszyszcze, Kołki, Karasin, Jeziorno czy Kowel. Sulik podkreśla, że wszystkie prace są prowadzone legalnie, przy dobrej współpracy z miejscowym samorządem, który z reguły jest bardzo przychylny. Często do pomocy włącza się ukraińska młodzież. Do głowy przychodzą mu ciągle nowe pomysły, chce by powstały nowe trasy turystyczno-informacyjne, wiodące polskimi śladami, by w miejscach gdzie przebywał czy dowodził Józef Piłsudski stanęły pamiątkowe słupy np. z bazaltu. Najwięcej roboty ma jednak wtedy, gdy zbliża się dzień Wszystkich Świętych. Wtedy na swoim małym zwykłym rowerze z plecakiem pełnym zniczy przejeżdża po kilkadziesiąt kilometrów dziennie. Chce symboliczną lampkę zapalić na każdym grobie, na jakim tylko zdoła.

Anatol Sulik za swoją pracę i ogromne poświęcenie został nagrodzony przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa specjalnym, stałym upoważnieniem do reprezentowania ROPWiM i wykonywania wszelkich prac na Wołyniu. Dzięki jego zaangażowaniu wielu rodaków dziś odnajduje mogiły swoich przodków a groby nie odchodzą w zapomnienie.

Postanowieniem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 24 maja 2012r. Anatol Sulik został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi za zasługi w upamiętnianiu historii i męczeństwa polskich żołnierzy formacji granicznych w 1939 r.

Anatol pisał:

"Miejmy więc nadzieję, że te wszystkie zapoczątkowane wiele lat temu sprawy będą nadal kontynuowane, że nie zabraknie rąk do pracy, a pozostawione na Wołyniu cmentarze pozostaną dla naszych potomnych symbolem pamięci, czci i modlitwy..."

Niech to przesłanie trwa i znajdzie naśladowców. Matko Boża Lubomelska i Latyczowska – Królowo Podola i Wołynia, miej Go w swej opiece.

MATKA BOSKA JUROWICKA



Pośredniczko wszystkich łask, Maryjo! Największa po Bogu moja Nadziejo! Z największą wiarą i ufnością padam do Twoich stóp i błagam, abyś mi wyjednała u Syna swego łaskę...

"W naddnieprzańskiej okolicy, nad rzeką Prypecią, tam, gdzie dawne województwo Mińskie graniczyło z Nowogrodzkim, Brzesko-Litewskim i Kijowskim, w pobliżu miasta Mozyrza, wśród siedmiu pagórków, znajduje się miasteczko Jurowice, liczące niespełna 1000 mieszkańców. Tradycja podaje, że dawnymi czasy miejscowość powyższa nazywała się Widolicze, była zamkiem obronnym, opasanym potrójnym wałem. Dziś z zamku ani śladu nie ma, gdyż sławny z okrucieństwa Tamerlan, chan tatarski, gdy w zwycięskim pochodzie z Azji przybył do Polski, zniszczył Widolicze ogniem i mieczem. A jednak miejscowość powyższa miała się stać sławną na całą Polskę. Królowie Jan III Sobieski i August II mieli dać przywileje tamtejszym mieszkańcom: wszystko dzięki obrazowi Bogo-Rodzicy, który, po dziwnych losu kolejach, znajduje się obecnie w kościele św. Barbary w Krakowie"

Nierzadko osoby wchodzące do kościoła św. Barbary w Krakowie kierują pierwsze kroki do położonej po lewej stronie świątyni kaplicy pw. Matki Boskiej Bolesnej. Znajduje się tam małych rozmiarów, lecz urzekający swoim ujmującym pięknem łaskami słynący obraz Matki Boskiej Jurowickiej. Według prof. Wiesława Zarzyckiego obraz ma pochodzenie bizantyjskie i został namalowany pod koniec XIV lub na początku XV wieku. Znać w nim wpływ renesansu. Obraz Bogarodzicy trafił do krakowskiej świątyni jezuitów z Jurowic w 1885 r. Jego niezwykłe dzieje opisał znany historyk Kościoła, ks. Marcin Czermiński SJ (1860-1931), który w 1901 r. wydał drukiem w Krakowie "Historyę obrazu Matki Boskiej Jurowickiej znajdującego się obecnie w kościele św. Barbary w Krakowie (wyd. II w 1910 r.)". Łaski otrzymane za wstawiennictwem Matki Boskiej Jurowickiej podał wcześniej inny jezuita, ks. Franciszek Kolert (1693-1751), autor książki Krynice cudownych łask Maryi z Jurowickich gór wynikające (Nieśwież 1755).

Najstarsze wiadomości o obrazie Matki Boskiej Jurowickiej pochodzą z XVII wieku. Obraz był własnością wielkiego hetmana koronnego Stanisława Koniecpolskiego (ok. 1594-1646), który walczył na Ukrainie ze zbuntowanymi przeciw Rzeczypospolitej Kozakami Zaporowskimi. W czasach zamieszek dziejowych pustoszących ziemie Rzeczypospolitej ogniem i mieczem hetman Koniecpolski przekazał obraz na przechowanie jezuitom w Barze. Ci uznali, że bezpieczniejszym miejscem dla cennego depozytu hetmana będzie kolegium we Lwowie. Tu zaczyna się sława obrazu Matki Boskiej, który doznawał wielkiej czci ze strony ojców i braci zakonnych.

Najwięcej do publicznej czci obrazu przyczynił się ks. Marcin Tyrawski SJ (1621-1684), bardzo pobożny i gorliwy kapłan, zatroskany o zbawienie dusz, uchodzący w opinii współczesnych za cudotwórcę. Ks. Tyrawski uprosił, aby mu darowano obraz Matki Boskiej. Przez wiele lat pełnił obowiązki obozowego misjonarza wojsk polskich i misjonarza ludowego na Ukrainie, Wołyniu i Polesiu. W wędrówkach misjonarskich towarzyszył mu wizerunek przemożnej Protektorki, która cudownie prowadziła i ratowała go wśród różnych niebezpieczeństw. Ks. Tyrawski zmarł w Jurowicach, miasteczku położonym blisko Mozyrza (wówczas województwo mińskie). Właśnie w Jurowicach – jak miała mu polecić Maryja w objawieniu – osiadł w 1673 r. i zbudował pierwszą drewnianą kaplicę, w której umieścił obraz Bogarodzicy. 11 listopada tegoż roku wielki hetman koronny Jan Sobieski, późniejszy król polski, pokonał wojska tureckie pod Chocimiem. O zwycięstwo wojsk polskich modlono się także w kaplicy jurowickiej przed obrazem Maryi. Głos powszechny mówił – napisał ks. Czermiński na kartach swojej publikacji – iż Maryja uprosiła pomoc Bożą, a strzały ogniste, lecące znad Jurowic, miały zwiastować pogrom nieprzyjaciela. Wieść ta przyczyniła się do wzrostu kultu Matki Boskiej Jurowickiej. Współczesny kronikarz zanotował, że w niektórych porach roku trudno było rozróżnić dzień powszedni od świątecznego, tak wielkie bywały codzienne tłumy ludu w kościele.

Ponieważ kaplica była zbyt mała dla coraz większej liczby czcicieli Matki Boskiej, w latach 1746-1755 jezuici wznieśli w Jurowicach murowany, barokowy kościół z kamienia i cegły, który został konsekrowany w 1765 r. pw. Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny. Po kasacie Towarzystwa Jezusowego w 1773 r. jezuici pozostali na miejscu, w 1783 zastąpili ich kapucyni, w 1788 dominikanie, w końcu w 1800 r. bernardyni. »»»



»»» Zaborczy rząd rosyjski znosił diecezje i parafie katolickie, zamykał kościoły, a wiernych zmuszał do odstępstwa od wiary ojców. W roku 1832 skasowano klasztor bernardynów w Jurowicach. Chociaż w 1842 r. władze carskie pozwoliły na utworzenie przy kościele jurowickim parafii katolickiej, sytuacja katolików uległa ponownie pogorszeniu po przegranym powstaniu z 1863 r. Car znowu uderzył w Kościół katolicki, znoszono parafie, a kościoły zamieniano na cerkwie prawosławne.

" Gdy w roku 1773 zniesiono zakon Towarzystwa Jezusowego, OO. Jezuici zamieszkali w rezydencyi Jurowickiej pod opieką cudownego obrazu Matki Bożej, byli zmuszeni przenieść się w inne strony, a ich miejsce zajęli OO. Bernardyni z pobliskiego Mozyrskiego Konwentu. Nieznanym jest nam powód dlaczego ci Ojcowie w następnych latach opuścili Jurowice, a ich miejsce objęli OO. Kapucyni. Wśród nieszczęśliwych losów, jakim uległa podówczas Polska, także kościół św. wielce ucierpiał.

Z aborczy rząd rosyjski znosił dyecezyei parafie, zamykał kościoły, wiernych gwałtem zmuszał do odstępstwa od wiary św. Podobnemu losowi uległ także kościół Jurowicki i okoliczna ludność katolicka. W roku 1832 wygnano zeń OO. Kapucynów, zakazano w nim odprawiać Najświętszą Ofiarę, udzielać ludowi Św. Sakramentów, zamknięto Jego bramy – co w urzędowym języku brzmiało, iż kościół "zakryto". Tak trwało przez lat jedenaście. Wskutek snu jaki miała mieć żona cara Mikołaja I., wydano z Petersburga rozkaz oddania kościoła do kultu katolickiego i utworzenia w Jurowicach parafii. Z listu W. X. Borkowskiego ostatniego przeora OO. Cystersów w Kimbarówce dowiadujemy się, że on sam w roku 1842 zaraz po wyświęceniu został posłany jako wikary do pomocy Jurowickiemu proboszczowi W. X. Modziewiczowi i przy nim pozostał aż do roku 1847. Po śmierci X. Modziewicza proboszczami w Jurowicach byli kolejno XX. Lokajet i Symonowicz, a ostatnim plebanem X. Kanonik Hugo Godecki, który wytrwał na posterunku do roku 1864.

Podobnie jak rok 1831. nie przyniósł Ojczyźnie wolności, tylko sprowadził coraz sroższe gromy ze strony rosyjskiego rządu, bijące przede wszystkiem w Kościół katolicki w zabranych prowincyach, tak po nieudanym powstaniu polskiem w roku 1863, nowe klęski na naród nasz spadły – obudziły się dawne usiłowania zniszczenia do szczętu katolicyzmu w naszej Ojczyźnie. Posypały się ukazy cesarskie, znoszące parafie – własnie tam gdzie ich najbardziej było potrzeba – kościół po kościele niszczono lub zamieniano na cerkwie prawosławne. Niepłonną miał obawę X. Kanonik Hugo Godecki, że podobny los spotka parafię i kościół Jurowicki, co potwierdzały rozmaite wieści dochodzące doń z Petersburga. Boleść ściskała mu serce, że będzie miał opuścić parafian jurowickich, że kościół zamkną, a cudowny obraz wpadnie w ręce prawosławne. Wszystkiemu nie mógł zapobiedz, postanowił jednak nie dopuścić, aby obraz przeszedł w niekatolickie ręce. Widocznie, że opatrzność boża czuwała nad nim. Oto dowiedział się, że panna Jadwiga Kiniewiczówna, umiejąca dobrze malować, zrobiła dla siebie dokładną kopię obrazu Matki Boskiej Jurowickiej i przechowywała ją w swojem mieszkaniu. Udał się więc do niej z prośbą, aby mu kopię obrazu odstąpiła, a gdy ją otrzymał, przy pomocy kilku osób wyjął cudowny obraz Matki Boskiej z jurowickiego kościoła a natomiast podłożył jego wierną kopię. Wszystkie wota jakie się znajdowały w kościele pozostawił w dawnem miejscu, także srebrną pozłacaną koronę i sukienkę zdjętą z cudownego obrazu umieścił na jego kopii; a sam zaś oryginalny wizerunek Matki Bożej Jurowickiej, dał w przechowanie pani Gabryeli z Wańkowiczów Horwattowej, Marszałkowej powiatu Rzeczyckiego, pobożnej i znanej w okolicy tamtejszej obywatelce.

W sam czas wyratowano cudowny obraz, gdyż już w parę miesięcy po tem zdarzeniu w dniu 26 listopada 1864 roku, ukazem carskim, zniesiono katolicką parafię w Jurowicach a kościół oddano do kultu prawosławnego.

Pani Horwattowa długi czas starannie ukrywała skarb Jurowicki, lecz w końcu czując, że już zbliża się dzień jej śmierci, a powtóre trwożąc się, że Matka Boska dawniej tak wielką czcią otaczana w Jurowicach, dziś pozbawiona jest kultu, postanowiła oddać go w bardziej odpowiedne ręce. W maju roku 1885 przybyła do Krakowa z obrazem, wręczyła go w depozyt

OO. Jezuitom krakowskiego Kolegium, z tym zastrzeżeniem, aby go oddali Jurowickiemu kościołowi, jesli tenże będzie przywrócony do kultu katolickiego (pogr. czc. – red.).Ojcowie przyjęli ten depozyt z podanem zastrzeżeniem i pisemnie zobowiązali się do jego wypełnienia. Tymczasem zawiesili obraz w domowej kapliczce krakowskiego kolegium, lecz po kilku miesiącach przenieśli go do koscioła św. Barbary, i umieścili w ołtarzu Opatrzności Boskiej. Opatrzność Boża czuwała przez tyle wieków nad jego zachowaniem – niech i dalej czuwa i chroni od zapomnienia!"

Jezuici troszczyli się o obraz Matki Boskiej Jurowickiej w nowym miejscu kultu. W tych działaniach wspomagali ich dobroczyńcy. W 1901 r., za zgodą władz kościelnych, ozdobiono głowę Maryi złotą koroną, a na wymalowanych szatach Maryi i Dzieciątka Jezus umieszczono srebrną i kamieniami szlachetnymi zdobną sukienkę. Głowę Dzieciątka Jezus ozdobiono złotą koroną wysadzaną brylantami. Obraz otrzymał srebrne ramy, wyrzeźbione na wzór dawnych drewnianych. Liczne wota złożone przy obrazie świadczą wymownie o nabożeństwie do Maryi oraz łaskach otrzymanych za Jej wstawiennictwem. Nic dziwnego, że o każdej porze dnia wierni ożywieni miłością Maryi klęczą przed Jej cudownym obrazem, dziękując za otrzymane łaski i prosząc o nowe.

Kto wie, czy pewnego dnia obraz Matki Boskiej Jurowickiej nie doczeka się uroczystej koronacji, do której jezuici czynili przygotowania już w okresie międzywojennym. Matka Boska Jurowicka nadal cieszy się dużym kultem czcicieli, którzy – tak jak przed wiekami – spieszą do Niej z różnymi prośbami, doznając przedziwnej opieki i wstawiennictwa.

Opr. redakcyjne na podstawie tekstu ks. Stanisława Cieślaka SJ oraz skryptu "Historya obrazu Matki Boskiej Jurowickiej autorstwa ks.Marcina CzermińskiegoT.J." z 1910r.



POSŁOWIE

... Taka jest fascynująca historia cudownego obrazu Matki Boskiej Jurowickiej, który wciąż znajduje się w Krakowie.

A co tymczasem dzieje się po stronie białoruskiej, m.in. na ziemi Mozyrskiej, w Jurowicach? – Otóż od kilku lat trwają usilne starania strony białoruskiej o powrót cudownego obrazu MB do Jurowic. W tej sprawie odbyły się już spotkania proboszcza parafii pw. św.Szymona i Heleny w Mińsku Władysława Zawalniuka z biskupem Turowskim i Mozyrskim Stefanem, i tegoż zwierzchnika cerkwi prawosławnej na Mozyrzu ze zwierzchnikiem koscioła katolickiego na Białorusi, z arcybiskupem, mitropolitą Mińsko-Mochylewskim T.Kondrusiewiczem – podczas których osiągnięto wstepne porozumienia o kontynuacji dialogu; w tej sprawie zabrał głos m.in. już i profesor Adam Maldis, a wtóruje jemu Igor Malikow, stwierdzając m.in.: "*... Być może, że przywrócenie świątyni pierwotnego wyglądu, nawet przy tym, że pozostanie ona w konfesji prawosławnej, da możliwość postawienia przed stroną polską uzasadnionego pytania o powrót na Białoruś chrześciańskiej świątyni (cudownego obrazu – red.). Krok taki stał by się jaskrawym przykładem pokojowego dialogu kultur i chrześciańskich konfesii w tym niespokojnym współczesnym świecie...*".

Czyżby naprawdę nadeszła szczęśliwa chwila, by Matka Boska Jurowicka powróciła do miejsca, które w objawieniu swoim wskazała o.Tyrawskiemu? Zapewne stałby się kolejny cud, a myśmy wszyscy razem ogromnie cieszyli z tego wydarzenia. Zanim to jednak nastąpi, spróbujmy odpowiedzieć sobie na pytanie, czy już czas na to i czy zostanie Ona powitana godnie oraz znajdzie sobie miejsce nie tylko w świątyni (tym razem już prawosławnej, bo jak pamiętamy kościół w Jurowicach po Powstaniu Styczniowym w1865 roku został przez cara zabrany katolikom i taki stan rzeczy trwa do dnia dzisiejszego), lecz także w naszych sercach? Oraz jak wygląda dzisiaj ten "dialog kultur i konfesji"?

Oficjalnie, na pokaz, wszystko jest dobrze. Republika Białoruś jest niepodległą, a zarówno cerkiew prawosławna, jak i kościół katolicki uważane są za główne religię w tym kraju, które cieszą się nieskrępowaną możliwością działania i rozwoju, a jej mieszkańcy – powszechną demokracją i wolnością sumienia.

By się dowiedzieć, jak jest naprawdę – trzeba tu żyć. Bo prawda, niestety, jakże często jest inna niż się oficjalnie podaje. Owszem, od ponad dwudziestu lat Białoruś jest republiką formalnie niepodległą. I jest zrozumiałe, że Białorusini dbają również o podwaliny duchowe swojego domu, sięgając do tradycji i wartości m.in. Wielkiego Księstwa Litewskiego. Z tej racji, że przez kilka wieków Białoruś była również jego częścią składową. Tylko jakoś to dziwnie wygląda, że Polacy – główni sprzymierzeńcy Litwinów (współczesnych Białorusinów – red.) w tamtym okresie, wciąż występują w oficjalnej historiografii białoruskiej jako ciemiężyciele narodu białoruskiego. Z drugiej strony, przytłaczająca większość obywateli Białorusi wyznaje (w większości przypadków formalnie) prawosławie, a sama Białoruś przez rosyjską cerkiew »»»

»»» prawosławną uważana jest za jej teren kanoniczny (potwierdza to m.in. fakt wyznaczania przez stronę rosyjską zwierzchnika cerkwi prawosławnej na Białorusi – ostatnio nim został rosyjski metropolita Paweł). Faktem też jest, że cerkiew prawosławna w Rosji jest ściśle złączona z państwem (i od niego uzależniona), będąc narzędziem do wykonywania celów polityki państwowej, w tym m.in. do zachowania (jak ostatnio widzimy za wszelką cenę) wpływów szczególnie na post-sowieckich terenach.

Z powyższych racji oraz z uwagi na to, że i gospodarczo, i finansowo Białoruś jest również ściśle uzależniona od Rosji, pozycja cerkwi prawosławnej na Białorusi też nie może być inną.

Inna natomiast była pozycja kościoła rzymskokatolickiego na Białorusi – przynajmniej do niedawna. Bo poczynając od czasu, kiedy w Rzymie zabrakło Papieża Polaka, bardzo rychło, już u schyłku 2006 roku wydziały ideologii RB przepuściły przeciwko Kościołowi katolickiemu zmasowany atak, wydalając z kraju pokaźną grupę księży i sióstr zakonnych z Polski, którzy pracowali tutaj od czasów "pierestrojki". I tak się dzieje ,dość konsekwentnie, do dnia dzisiejszego. Np. tylko w diecezji pińskiej w ciągu ostatniego roku odmówiono kontynuacji pracy na Białoruśi wybitnie zasłużonym dla Kościoła na Białorusi ks. Stanisławowi Pawline z Pińska, ks. Janowi Wasilewskiemu z Kamieńca, ks. Maciejowi .Szmytowskiemu z Iszkołdzi Połoneczki,… – kto będzie następny? Katoliccy księża oraz siostry zakonne z Polski, którzy oddali Kościołowi na Białorusi tyle sił, zdrowia, wiedzy, poświęcenia i czasu, opuszczają nasz kraj najczęściej nawet nie tylko bez godnego pożegnania, ale nawet bez podziękowania od parafian, którym przez wiele lat służyli – bo przecież nigdy nie wiadomo, czy tu powrócisz z nową wizą wjazdową (przez służby konsularne RB wiza w danym przypadku jest wydawana na jedne półrocze – red.). I taką jakąś niezrozumiałą jest nasza słynna gościnność, że nikomu z tych księży czy sióstr zakonnych, nawet nie zaproponowano, za tyle lat trudów, białoruskiego obywatelstwa. Dlaczego?, – ano chyba dlatego, że nie są tutaj mile widziani! Hierarchowie kościoła rzymskokatolickiego na Białorusi o tym zjawisku wolą raczej publicznie nie mówić (nie wspominając już o tym, by choć w jakiś sposób upamiętnić wkład tych wszystkich "wygnańców" w odbudowę kościoła na Białorusi), udając w imię "poprawności politycznej" że wszystko jest dobrze. Wiernym natomiast nasz biskup na skargi, że w ich kościele zabrakło już całkowicie Mszy św. w j. polskim odpiera, mówiąc: "Радуйцеся! Радуйцеся, што Ваш касцел адчынены!" ("Radujcie się!. Radujcie się, że wasz kościół jest otwarty! – red.).

Niepewność, w której przebywają u nas zaproszeni do pracy księża-obcokrajowcy, to tylko jeden z przykładów, co w pewnej mierze odzwierciedla sytuację w jakiej obecnie znajduje się kościół rzymskokatolicki na Białorusi. I czy naprawdę, musimy się "radować" z tego, że jak wygląda – **już dokonało się "upaństwowienie" naszego kościoła?** "Żadnej polityki! Tylko religia!", – często powtarzał św. pamięci ks.-kardynał K.Świątek. – Trudno z tym się nie zgodzić, ale jak teraz widać, było to tylko (i jest nadal) stanowisko jednostronne. Bo "polityka" do religii ma się zupełnie odwrotnie, traktując Kościół przedmiotowo, konsekwętnie realizując własne cele po przez ingerencję w jego sprawy wewnętrzne. Totalna rusyfikacja i białorutenizacja kościoła katolickiego i gorliwa "opieka" nad nim wydziałów do spraw religii – to tylko sposoby na osiągnięcie celu zasadniczego, jakim jest **ograniczenie wpływów religii katolickiej na białoruskie społeczeństwo** (m.in. poprzez zmniejszenie autorytetu kościoła, przy tym już i w oczach samych katolików) oraz całkowite **wyeliminowanie z kościoła katolickiego na Białorusi jakichkolwiek śladów polskości.** I wobec tego, czy można się dziwić, że klasy seminaryjne np. w Pińsku prawie świecą pustkami, że tamże na podwórku dopiero jest miejsce dla biurka bpa Łozińskiego, że podobnie jak w cerkwi prawosławnej świątynie wypełnione są "po brzegi" jedynie w czasie największych świąt dwa razy do roku; oraz że wiara nasza coraz bardziej jest "na pokaz" i sprowadza się jedynie do tradycji, a my, idąc w ślady naszych braci prawosławnych, stajemy się pomału "katolickimi ateistami"?

Większość z nas obecnie przebywa na "emigracji wewnętrznej", woląc dla świętego spokoju publicznie swojego zdania nie wypowiadać. Do tego jednak nikogo nie nawołujemy – niech każdy na powyższe pytanie odpowie w duchu sam sobie. Co zaś dotyczy opinii wiernych z rzymskokatolickich parafii ziemi mozyrskiej oraz szeregowych księży z tamtego terenu – **czas powrotu cudownego obrazu Matki Boskiej do Jurowic jeszcze nie nastał**! Co więcej, gdyby to się stało za przyczyną jakichś decyzji odgórnych, uważali by to za ich zdradę, m.in. przypominając słusznie, że zgodnie z umową depozytową obraz ten mógłby powrócić do Jurowic dopiero do świątyni katolickiej, w której od początku przebywał.

Na pocieszenie zaś wszystkim przypomnijmy, że cuda czyni właśnie dopiero nasza wiara! Tylko, że, jak i w przypadku wszystkich cudów i łask, dokonanych za pośrednictwem cudownego obrazu MB Jurowickiej, konieczny jest jeden zasadniczy warunek – serca nasze winne być uświęcone prawdziwą skruchą, być czystymi od wszelkiej pychy czy ambicji oraz przepełnione miłością i wiarą. Zapewne wówczas każdy, nawet najskromniejszy, obraz może okazać się dla nas (katolików, jak i prawosławnych) cudownym i zbawiennym w skutki.

MADONNY POLESIA

MATKA BOŻA JUROWICKA



Modlitwa do Matki Bożej Jurowickiej
o uproszenie szczególnej łaski

Pośredniczko wszystkich łask, Maryjo! Największa po Bogu moja Nadziejo! Z największą wiarą i ufnością padam do Twoich stóp i błagam, abyś mi wyjednała u Syna swego łaskę..., którą bardzo pragnę otrzymać.

Wiem, że niegodny jestem tej łaski, że więcej zasługuję na karę niż na litość. Ale wiem również, żeś Matką Miłosierdzia, która nikogo nie opuszczasz i nikim nie gardzisz. Wiem, że jesteś wszechmocna w błaganiu, że Twój Syn niczego Ci nie odmówi. Dlatego z tym większą ufnością przychodzę do Ciebie i błagam o pomoc i ratunek.

Tyle łask ludzie w tym miejscu otrzymali od Jezusa za Twym pośrednictwem. Tylu strapionych i cierpiących odeszło stąd pocieszonych i wysłuchanych. Przeto i ja mocno wierzę, że mnie wysłuchasz i pocieszysz.

Maryjo, racz wejrzeć na mnie i uczyń, co Ci Twe Serce podyktuje. Maryjo, liczę na Ciebie i powierzam się Tobie. Maryjo, w Tobie pokładam mą ufność. Maryjo, nie opuszczaj mnie! Błagam Cię, nie opuszczaj mnie!

Pod Twoją obronę...

